3

MOJE WSPOMNIENIA

O ŻYCIU TOWARZYSKIEM

NA PROWINCYI W KONGRESÓWCE,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Część druga.

POZNAŃ.

DRUKIEM I NAKŁADEM LUDWIKA MERZBACHA.

1875.

Proces Augusta.

Było to w dzień Matki Boskiéj Wniebowzięcia, 15go sierpnia w r. 1848, około 5téj z południa. Mieliśmy pójść do państwa R., mieszkających przy ulicy Oboźnéj — i czekałam na Augusta, który gdzieś wybiegł na chwilę. W tém oznajmił mi służący, że przyszedł posługacz z Hotelu Gerlacha, zapytując czy jesteśmy w domu, bo przybyła jakaś pani z Poznańskiego, która chce być u nas.

— Z Poznańskiego?! zaintrygowana szczególniéj, wybiegłam sama i zapytałam posługacza: Jak się nazywa ta pani?

— Nie wiem, bo nie zapisała się jeszcze. Przyjechała co tylko dorożką z kolei.

— Z kolei?

— Tak, bo jedzie z Krakowa.

— Proszę jéj powiedzieć, że jestem w domu i czekam na nią.

Posługacz poszedł, a ja, niecierpliwa, rozciekawiona, pragnąca gościa z Poznańskiego i wiadomości, wychylałam się oknem, by co rychléj oną panią zobaczyć.

Z mieszkania naszego przy ulicy Senatorskiéj, wprost filarów teatralnych, blisko było do Hotelu Gerlacha. Widzę zatém już po chwilach niewielu, nadchodzącą z posługaczem osobę wysoką, przystojną, mogącą liczyć lat trzydzieści-kilka; okrągławéj twarzy, śniadéj, figury dobréj. Miała na sobie szlafroczek z czarnéj mantyny z takąż mantylką; kapelusz słomkowy z wstążką popielatą i czarną woalką — i w ogóle i po szczególe każdym przedstawiała się korzystnie. Weszła do kamienicy, i pospieszyłam na jéj przyjęcie.

— Kogóż mam przyjemność powitać? zapytałam.

— Jestem Pruska — odpowiedziała mową przeciągłą, jakby unużona. — Przed tygodniem byłam w Siekierkach, gdziem przez czas dłuższy bawiła.

— W Siekierkach! zawołałam, płonąc cała, z bijącém sercem — pani ze Siekierek jedziesz? ścisnęłam jéj rękę oburącz.

— Tak jest. Przywożę pani uściśnienie od mamy, od siostry.....

— A nie pisały do mnie?

— Nie było czasu do tego.... bom nagle wyjechała.

Prosiłam ją siedzieć. Jakby wysilona upadła niemal na kanapę, ocierając czoło batystową chusteczką.

— Ale pani jedziesz z Krakowa?

— Tak.... bo mnie policya z Poznańskiego wypłoszyła.

— Pani Poznaniańką nie jesteś?

— Jestem z Galicyi.... a historya moja smutną jest bardzo — zacisnęła chusteczką oczy.

Patrzyłam się na nią ze szczerém współczuciem.

— Uciekłam z mężem z Galicyi w czasie rzezi — poczęła opowiadać, głosem nieco stłumionym — i znaleźliśmy przytułek w Poznańskiem.... u Działyńskich, Mielżyńskich, Grabowskich.... Gdy następnie wszytkim zagranicznym rząd pruski kazał wyjechać.... pomiędzy Elbę i Wezerę, wyjechał i mąż mój wraz z drugimi. Mnie zaś, słabą, cierpiącą, odwieźli do mamy pani.... do Siekierek, gdziem w ukryciu zostawała przez tygodni pare. Przyjęta gościnnie, serdecznie, opływająca we wygody wszelkie, przyszłam do siebie.... W tém dnia jednego.... przybywa pan Maciéj Mielżyński z okropną wiadomością, że.... że męża mojego.... — jękła — chłopi niemieccy zabili....— rozpłakała się i s[illegible]ściśnienia serca dostała.

Żal mi jéj było niezmiernie. Zażądała wody

selterskiéj. Po chwili uspokoiła się nieco i mówiła daléj, przerywając raz po raz opowiadanie.

— Policya mnie śledziła.... gnała z miejsca na miejsce.... bawiłam po różnych domach, w Łukowie u Grabowskich, w Konarzewie.... Przybyłam znowu do Siekierek.... a gdy niepodobna było pozostać dłużéj.... przyjechała po mnie pani Jaraczewska z Jaraczewa i przewiozła przez granicę do Krakowa.... — umilkła, jak gdyby jéj ciężko było mówić.

W téj chwili August powrócił. Przedstawiłam go pani Pruskiéj, która, smutna, przybita, złamana, głową pokłoniła mu w milczeniu.

Powtórzyłam Augustowi wszystko, com posłyszała dopiero.

— Jakżeś pani nieszczęśliwa! wymówił z współczuciem. — Ale cóż pani myślisz w Warszawie robić?

— Przejeżdżam tylko.... zabawię dzień jeden.

— I dokądże pani pojedziesz?

— Do ciotki mojéj.... hrabiny Gorajskiej. w Augustowskiem. Tam chcę i chorobę moją odbyć.... — potarła chusteczką czoło.

Litowaliśmy się nad nią jeszcze więcéj.

— Ciotka pani uprzedzona o przybyciu pani?

— Nie.... nie mogłam pisać.... byłam za nadto znękana i słaba. Ale, gdyśmy mieszkali w Hamburgu czas jakiś, zaraz po wyjeździe z Galicyi.... ciotka z wujem odwiedzili nas tam umyślnie.... Kocha mnie

.... jestem córką po jéj siostrze jedynéj.... jedynaczka także. Bogaci to ludzi. Tam znajdę opiekę i spokój.

— Czy pani jesteś już zameldowaną w hotelu?

— Zameldowaną?.... Nie. Czy to meldować się trzeba?

— A paszport?

— Nie mam paszportu.... Przekradłam się przez granicę krakowską....

— Bez paszportu? W Warszawie! — zmięszał się August — to jest niebezpiecznie.

— Jam taka nieszczęśliwa! załamała ręce. — Oby tylko dostać się do ciotki!... Oni tam tak wielkie mają wpływy.

— Ale, żeś to pani granicę tak przebyć mogła? zastanowił się August.

— Ułatwił mi to nasz adwokat w Krakowie. Zostawiłam u niego papiery, co tylko miałam kosztowniejszego, rzeczy wszystkie.... Odwiózł mnie powozem swoim do granicy.... Przeprowadził mnie zgodzony przez niego chłop.... musiałam iść pieszo.... Na stacyi kolejowéj wzięłam bilet.... i wsiadłam.

August głową pokręcił. Mnie ciężar pierś przygniatał.

— Przedewszystkiem potrzeba panią zameldować w hotelu. Ale jak?.... — zamyślił się August. — Pod jakiem nazwiskiem?.... Jakże pani jesteś z domu?

— Karska.... Córka pułkownika polskiego.

— Pułkownika Karskiego! August aż podskoczył — znałem go przecie w roku 1831!

— Matka moja miała familią w Galicyi.... i tam za mąż poszłam....

Kazałam podać kawę. — Była znużona — mało mówiła. —

— Przepraszam panią — wymówił mąż mój po chwili — ale jest godzina siódma. Potrzeba panią zameldować zaraz, bo mogłabyś na jakie narazić się nieprzyjemności. Połciu — zwrócił się do mnie — zabierz się. Odprowadzimy panią Pruską do hotelu, a ztamtąd pójdziemy do państwa R.

— R.? powtórzyła — słyszałam to nazwisko, będąc w Prusach Zachodnich.... Znałam nawet jakąś panią R..... ale nie pamiętam dobrze....

— Pani byłaś w Prusach Zachodnich?

— Gdzież ja nie byłam! — i ciężko westchnęła.

Wyszliśmy zatém razem. W hotelu August ją zameldował sam, jako panią Karską z Piotrkowskiego.

— Do widzenia się jutro! podałam jéj rękę, zaprosiwszy ją na objad jutro.

— Dobra noc. Państwo ztąd daleko idziecie?

— Blisko, na Ulicę Oboźną.

— Dobra noc!

Uszliśmy kilka kroków w milczeniu.

— Niepokoi mnie ta historya bezpaszportowa — zagadałam.

— Ej, zrobi się to przecie! — odrzekł August — namyślę się, poradzę....

Uważałam jednak, że i on był zachmurzony trochę.

Państwa R. w domu nie było, więc poszliśmy do Ogrodu Saskiego. Pełno tam chodziło osób: cały niemal świat elegancki. Usiedliśmy na uboczu. Niepokój wewnętrzny coraz owładał mnie silniéj: cały ogród niby kołował ze mną, a przechodzący wydawali się, jakoby maryonetki. W głowie mojéj dziwny był chaos — serce uderzało gwałtownie: było to zaprawdę przeczucie nieszczęścia. Nic jednakże nie mówiłam Augustowi, który także zadumany siedział.

Nadszedł jeden i drugi znajomy. Gawędzili. August rozruszał się trochę. Jam zasłoniła się bólem głowy. — Och, ta głowa najczęściéj parawanem być musi: pomięszania, kłopotu, zmartwienia ukrytego — i bólu serca!

Mąż odprowadził mnie do domu, a sam wyszedł do znajomego, by poradzić się: co z tym nieszczęsnym uczynić fantem. — Powrócił późno.

— A co? zapytałam. — Cóż poradził pan M. M.?

— Chciałem wziąść paszport dla ciebie — odrzekł — i oddać go pani Pruskiéj, ażeby pod nazwiskiem twojém tę podróż do ciotki odbyła. Ale mi M. M. przedstawił: że w razie przytrzymania jéj, naraziłbym

ciebie i złe bardzo byłyby skutki. Przeto wezmę paszport dla nas obojga, najmę dorożkę i sam ją odwiozę.

— Ależ to podróż dość daleka!

— Mil trzydzieści pare. Pocztą niepodobna jechać. To i cóż począć? Wystawiłbym ją na niebezpieczeństwo i siebie. Jesteśmy i tak już skompromitowani, że w naszym była dom: kobieta bez paszportu, prześladowana w Poznańskiem, która przekradła się przez granicę! — W obec Abramowicza zawiniliśmy już srodze, bo należało podług niego, oddać ją policyi zaraz.

— Okropnie!

— Niemasz więc innego ratunku, tylko ją sam odwieść muszę.

Nic już nie mówiłam — alem oka nie zmrużyła przez noc całą.

Nazajutrz poczynił August zabiegi o paszport: miał znajomych w biurze paszportowém, więc rzecz ubiła się łatwo. Bo i wszakżeż to był paszport tylko w powiat inny!

Na objad pani Pruska przybyła. Opowiedział jéj August zamiar cały. Pokiwała tylko głową i westchnęła.

Przyszedł ten i ów ze znajomych. Mówiła mało bardzo, smutkiem znękana i położeniem swojém nieszczęśliwém.

Na stole jakaś nowa powieść Kraszewskiego leżała. Zapytałam: czyli ją czytała?

— Czytałam podobno w Siekierkach... czy w Łukowie.... Czytuję wiele. Znam pewnie wszystkie powieści Kraszewskiego.... Ramotki.... Powieści pani.... Ale zapominam zaraz. Mam myśl skołataną nieszczęściami....

Mówiła mi dużo o Siekierkach. O matce mojéj, siostrze, szwagrze, osobach, które tam widziała. Opowiadała jakie zmiany zaszły w ogrodzie. Nawet i o ulubionéj przez matką potrawie — co oczywiście, o wielkiem wdomowieniu się w Siekierkach świadczyło. Wiedziała wszystko — a spamiętała doskonale. Słuchałam jéj z nieokreśloném zajęciem.

W ciągu tego opowiadania uderzyły mnie szczególniéj dwa wyrazy: koléj zielazna — i drobiazg zamiast drób. Jeden i drugi są prowincyonalnemi w Poznańskiem, używanemi przez warstwy mniéj wykształcone.... Zkądżeż więc znalazły się w ustach osoby wychowanéj w Galicyi — należącéj do wykształceńszéj klasy? — Łatwo bardzo każdy dostrzegę usterek, razi i zwróci uwagę moją wszystko, ale skorzéj jeszcze tłumaczę w obec saméj siebie, to co mnie raziło i nigdy nie korzystam z ostrzeżenia, że się tak wyrażę: słuchu, oka, albo i wrodzonego instynktu, bo dogodniéj mi jakoś korzystniejszéj czepiać się strony. To téż przy dosłyszanych: zielazna i drobiazg, powiedziałam sobie: osłuchała się ich pewnie

— nawykła.... — znać istotnie wyższego nie odebrała wykształcenia, tylko tak, ot, sobie zwyczajne, szlacheckie.

Była zresztą bardzo ostrożną, a gdy nie wiedziała co odpowiedzieć, by się nie zdradzić, odzywała się zwykle:

— Ach Boże! Całkiem pamięć tracę.... Te nieszczęścia zmysły odejmują.

Nazajutrz tedy, rychło, August z nią wyjechał powozem najętym à la recherche ciotki hrabiny Gorajskiéj.

Podróż, słaba i wycieńczona pani z wielką musiała odbyć wygodą. W jedném z małych miasteczek — gdzie wypadł popas — rozczulała się nad dziećmi, przypatrującemi się ciekawo podróżnym. Kupiła sto bułek i rozdała je pomiędzy nich. Umiała zatém być i szczodrą — wspaniałomyślną — z cudzéj kieszeni, bo te bułki mąż mój zapłacił.

August z wielką cierpliwością jéj przeróżne znosił fantazye, kładąc je na karb chorobliwości i nieszczęść. A nastręczała się i myśl, że dawniéj żyła zapewne w dostatkach, wygodach, i do nich nawykła.

Przybywszy do Suwałk, udał się August zaraz do Rządu Gubernialnego, zapytując o hrabiego Gorajskiego. Ale nikt nic o takim obywatelu nie wiedział. Zastanowiło go to niezmiernie, i burząc się na nieświadomość czyli, czyli raczéj na safandulstwo urzędni-

ków, — poszedł do Towarzystwa kredytowego. Tutaj przejrzano z uprzejmą ścisłością wszystkie księgi hipoteczne — ale nigdzie nie odszukano tego nazwiska.

— Musi zachodzić pomyłka — wyrzekł jeden z radzców — może ci państwo już poza kordonem mieszkają.

August podziękował, pokłonił się i wybiegł, zły i pomięszany. Bo i jakżeż sobie teraz miał poradzić?

Pani Pruska raz jeszcze o Gorajskich zapytana, odpowiedziała:

— Boże mój! Przecież byli u nas w Hamburgu. Ludzie bogaci, żyjący wystawnie. Służba ich miała pąsową liberyą z herbami, kamasze popielate....

— Ale nazwisko dóbr ich — pytał August — czy nie możesz pani przypomnieć sobie?

— Męczę się.... ale mi niepodobna.... Straciłam pamięć.... nieszczęścia zrobiły mnie niedołężną.... — zasłoniła oczy i z cicho płakała.

— Czy pani listów nie miewała od ciotki?

— Owszem, miewałam.... alem ich nie chowała z obawy przed rewizyą....

— A jakiż był znak pocztowy na kopercie?

— Suwałki.... Zapewne Suwałki.... Wiem dokładnie, że na S..... — rzuciła się na kanapę i twarz w dłoniach ukryła.

August chodził po pokoju i bił się z myślami:

co teraz zrobić?—Po chwili podniosła się pani Pruska z kanapy, westchnęła ciężko i założyła dłonie:

— Och, panie mój! — zaczęła — czy jest gdzie miasteczko Siedlce?

— Jest.

— O moja głowa!.... Ja obłędu dostaję.... Teraz zdaje mi się, że państwo Gorajscy pod Siedlcami mieszkają....

— Pod Siedlcami?! rzucił się August i zaklął w duszy. — To mil ośm od Warszawy!.... I pani teraz mówisz mi to dopiero?

— Daruj pan?.... Nie mam myśli, nie mam pamięci!.... Ależ to Siedlce, z pewnością Siedlce!... S.!... Ciotka mówiła mi i o jakichsi bułkach siedleckich.... Tak, tak, siedleckich!... Tam powiesili i Potockiego!.... mój Boże!

August zgrzytnął zębami i stłumił wzburzenie.

— To więc i zaraz wyjechać musimy — wymówił. — Każę zaprządz, zabieraj się pani.

— Jam taka słaba.... przenocujmy jeszcze....

— Niepodobna! Cóż tutaj robić mamy? Spoczniesz pani na noclegu. Nasz pobyt tutaj zwraca uwagę, dziwią się.... Musimy wracać do Warszawy.

Wyszedł i zaprządz kazał.

W niedzielę minął tydzień jak wyjechali. Byłam bez nazwy niespokojną, strwożoną — gdy w poniedziałek rano, August wbiegł do pokoju.

— O Bogu dzięki! zawołałam, witając go, bo już i nie wiedziałam, co począć z niepokoju.

August dziwnie był pomięszany.

— Czy odwiózłeś ją sam do tych państwa Gorajskich? zapytałam.

— Nie znaleźliśmy ich wcale....

— Jakto?

— Ta kobieta ma pomięszanie zmysłów, nieszczęśliwa! i opowiedział mi całą niefortunną wyprawę.

— A gdzież ona?

— Wróciła ze mną i wysadziłem ją w Hotelu Rzymskim.

Załamałam ręce.

— I cóż teraz będzie?

— Wyjdę na miasto, dowiem się o Gorajskich. Niepodobna, ażeby tutaj o nich nie wiedzieli. Wiktor ma tam krewnych... Powinienby i Klemens o nich wiedzieć.

— I znowuż ją tam powieziesz?

— Nie. Napiszemy do téj ciotki, ażeby po nią przyjechała. Wyprawię sztafetę.

Przyniesiono mężowi mojemu śniadanie. Opowiadał mi o Suwałkach, o podróży swojéj.... W tém oddano mi list z poczty: był od siostry mojéj z Poznańskiego. Rozerwałam go i przeczytałam zaraz na wstępie:

„Gdyby u Was zjawiła się kobieta pod nazwi-

skiem Potockiéj, lub innėm, oddalcie ją, strzeżcie się, bo to największy pod słońcem jest oszust. Podstępna, przebiegła, zdradziecka, a przytém i złodziejka ordynaryjna. W Księstwie uchodziła za wdowę po Pantaleonie Potockim, powieszonym w Siedlcach, — (który nigdy żonatym nie był!), — z domu Jełowicka. Umiała omamić i złudzić wszystkich. Opiekowali się nią panowie: Tytus Działyński, Maciéj Mielżyński, Grabowski w Łukowie i wielui nnych. — Bawiła po różnych domach i u nas także. Przyjmowano ją ze czcią wszelką i z współczuciem. Odwożono i przywożono karetami; opatrywano we wszystko, czego tylko zapragnąć mogła. Aż wreszcie wydało się, że służyła w kilku domach w Księstwie, potém gdzieś zniknęła. Nazywa się Józefa Majchrowiczówna i jest rodem z Czempina czyli Mosiny. — Przed rokiem zjawiła się w Trenczynie, gdzie jednego ze zacnych obywateli skompromitowała w ohydny, zbrodniczy sposób. Nieszczęśliwa, płacząca, opowiadała w obec kilku osób, że musi pojechać do sąsiedniego miasta naprzeciw matki swojéj, która do niéj z Podola przybywa, a nie może dostać do wynajęcia powozu.

— „Wozem jechać nie mogę, słaba, cierpiąca“ — dodała — „i cóżby matka moja powiedziała na to!“

„Obecny pan ** ofiarował jéj miejsce w swoim powozie, gdyż właśnie jutro tam jedzie. Przyjęła z wdzięcznością — i rozpłakała się. Nazajutrz wyjechali po-

społu. A potém oskarżyła go, że jéj z powozu zginęła szkatułka z pieniądzmi i różnemi kosztownościami.... Narobiło się hałasu dużo. Wyzyskiwała łatwowierność wielu osób, które litowały się nad nią. Pan ** był w rozpaczy.... Matka jéj, oczywiście, nie przyjechała wcale, a ona zniknęła znowu. W Trenczynie widziano przy niéj razy pare i jakiegoś nieznanego mężczyznę.

„Dopuściła się oszustw w różnych miejscach. Tutaj w Księstwie w kilku domach kradła. Mianowicie téż okradła panią J. w J. — A dziś jest ściganą listami gończemi.

„Objawiała nieraz chęć pojechania do Warszawy — zatém ostrzegam Was!...“

Do tego listu były dołączone wycinki z dzienników galicyjskich, poznańskich, list gończy z Dziennika Praw i życiopis, zgadzający się najzupełniéj z osobą mniemanéj pani Pruskiéj.

Struchleliśmy oboje. Co tu począć? — Oddać policyi niepodobna — niepodobna! Nazywałoby się to w Warszawie, pod stósunkami obecnemi, denuncyacyą.... A jeszcze zrobionoby i jaką znakomitą, polityczną figurę z oszustki Majchrowiczównéj! — Możnaby zabić się na zawsze!

August wzburzony, popędliwy, list pochwycił i pobiegł do niéj.

— Otóż list od siostry żony mojéj! zawołał. —

Jesteś podłą oszustką, złodziejką, ściganą listami gończemi! uderzył ją listem w policzek.

— Niech się pan nie zapomina! cofnęła się zalękniona, zdradzając się ruchem i wyrazem ostatecznie.

— Wyjeżdżaj natychmiast, bo inaczéj oddam cię konsulowi pruskiemu.

— Spróbuj pan! — krzyknęła czelnie. — Zresztą wyjadę, ale nie mam pieniędzy.

Wyjedziesz tą samą dorożką, którą najmę zaraz i do Kalisza zapłacę. Ale wyjeżdżaj natychmiast!

Pobiegł zaraz i najął tegoż samego dorożkarza, ale ten mógł dopiero pod wieczór wyjechać. Poszedł znowu do niéj, by jéj to powiedzieć. Nie było jéj w hotelu: wyszła. A dokąd? Nikt nie wiedział. Nowy niepokój i pomięszanie — a potrzeba było pokrywać wszystko, by ludzie w hotelu nieczystéj nie dopatrzyli się sprawy. Niespokojny, wyszedł na ulicę — wtém nadchodzi ona, ustrojona czarno, z miną languissante i interesującą.

— Gdzie chodziłaś? zapytał głosem gniewnym, stłumionym.

— Do Kanoniczek. Sprzedałam im tuzin chusteczek batystowych. (Były to te, które u pani J. pokradła!). — Przecież potrzebuję pieniędzy na drogę.

— Wracaj do hotelu, a nie wychódź więcéj, bo inaczéj oddam cię policyi. O godzinie 7 wieczorem wyjedziesz.

Poszła do hotelu. August wrócił do domu — zagniewany — zmieniony — niepodobny do siebie.

Przyszło kilku znajomych. Słuchają z ciekawością opowiadania, śmieją się. . .

— Otóż będzie Ramotka, jakiéj nie było jeszcze, w któréj sam Gucio jako bohatyr wystąpi! mówi pierwszy.

— Tylko chirurga filozofii powinien był taki spotkać figiel! śmieje się drugi. — Wyraźnie tak Opatrzność zrządziła.

— Nosił wilk, teraz i wilka ponieśli! Ale pójdę ja ten rzadki obejrzeć egzemplarz — mówi trzeci. — Szurgot taki! — Ot, zbyt poczciwe serce Gucia! — pochwycił kapelusz i pobiegł do Hotelu Rzymskiego.

Zamówił się o coś, wszedł pod numer i z nią pogadał. — Za pierwszym poszedł drugi, daléj trzeci i czwarty — bo wszyscy byli ciekawi w żywe oczy oglądać awanturnicę, która tak w pole wywiodła chirurga filozofii! — Śmiano się — baraszkowano — ale skutki były bardzo smutne, niestety!

Domyślał się teraz August — i wszyscy! — że jéj podróż do Suwałk miała jedynie na celu wyzyskanie paszportu, z którym byłaby w świat popłynęła: z paszportem wystawionym dla mnie!! — Przypomniał sobie, że raz w nocy weszła ze świecą do jego pokoju. Zbudził się nagle — porwał się — i zobaczył, że stała

przy stole, na którym leżał pugilares, zegarek i inne rzeczy. Właśnie pugilares w ręku trzymała.

— Co to pani? zapytał.

— Szukam wody — odrzekła — spać nie mogę. .... Nieszczęścia moje tak mi żywo stanęły w myśli i sercu.... Zobaczyłam pugilares i chciałam przeczytać, na jak długo paszport służy....

— Na dwa tygodnie, pani, na dwa tygodnie.

— Oczów skleić nie mogę — westchnęła ciężko i wyszła.

Wieczorem o godzinie 7 wyjechała sobie szczęśliwie dorożką z Hotelu Rzymskiego — i odetchnęliśmy wolniéj, chociaż zawsze jeszcze była obawa, ażeby jéj w drodze nie pochwycili.

Tymczasem nadszedł z Suwałk raport szpiegowski o bytności tamże Augusta Wilkońskiego, któréj sobie wytłómaczyć nie mogli. A zatém ściągnął na siebie podejrzenie jakichsi politycznych agitacyi. O czém dowiedzieliśmy się późniéj dopiero, w czasie śledztwa.

Upłynęło dni jedenaście, gdy z rana zjawił się w mieszkaniu naszém komisarz policyi Dobrônoki z dwoma policyantami — a podobno i z dwoma tak zwanymi łapaczami, którzy w sieni zostali, ażeby nie wypuścili nikogo i na wszystko zważali. Dobronoki pokazał, że ma rozkaz odbycia rewizyi — co też wykonano ściśle. Po przeszukaniu wszystkiego, zabrali

papiery męża we worek — i pan Dobronoki poprosił go z sobą.

— Pan jenerał rozmówi się tylko z panem — dodał — a potém pan wrócisz.

Miałoż to być pocieszenie chwilowe, czy téż ironia? — Stałam obok blada, jak widmo. August miną nadrabiał — alem w duszy jego czytała.

— O cóż-że chodzi, panie komisarzu? zapytał Dobronokiego?

— Ej, to z Piotrkowa odstawili kobietę jakąś, która tu była u państwa.

Dowiedzieliśmy się zatém, o co chodziło.

August mnie pożegnał — wyszedł — i nie wrócił.

W pare godzin potém przyszedł policyant powiedzieć, ażebym mu objad posłała. Zaniósł go służący, lecz Augusta nie widział. A kazali mu przynieść pościel, rzeczy, fajkę, cygara i t.p. — Co tam działo się we mnie!

Wieść o tym wypadku rozbiegła się niebawem i licznie odwiedzali nas znajomi: każdy przydążył ze współczuciem — a pocieszał, jak mógł.

Nazajutrz już — przez przyjaciół — dowiedziałam się o wszystkim.

Majchrowiczówna, zamiast dążyć do granicy, jeździła po całém Piotrkowskiem, od dworu do dworu —

jako nieszczęśliwa, prześladowana ofiara. Wszędzie przyjmowano ją z współczuciem, z poszanowaniem i cześcią dla jéj nieszczęść kłamanych. Dawano jéj pieniądze. Dano jéj szal — futro, bo już zaczęło być zimno.

Dorożkarz był zapłaconym tylko na dni kilka, ażeby ją w prostym kierunku do granicy odwiózł — ale potrafiła go ułudzić, że ją woził w kółko, z miejsca na miejsce. Bo i rzeczywiście szczególny posiadała sposób otumanienia ludzi. A widać, jak wiele poczciwych serc bije u nas, jak cały ogół współczucie przejmuje dla ofiar ciemiężycieli Polski — bez baczenia nawet na własne niebezpieczeństwo.

Nieszczęśni podróżni przybyli do Piotrkowa i stanęli w hotelu. Był tam jarmark — i pani Pruska nowe w głowie swojéj poczęła układać plany dla wyzyskiwania poczciwych, a łatwowiernych.

Dorożkarz cierpliwy i potulny dotąd, upił się na nieszczęście z kolegami jakiemiś i podchmielony wszedł do niéj, żądając pieniędzy. Nie chciała mu zapłacić. Zaczął się tedy kłócić i zrobił burdę. Policyant — bo tacy uwijają się wszędzie — ujął go natychmiast i zaprowadził na ratusz. Zapytany, co tutaj robi? Odpowiedział, że przyjechał z jakąś panią, którą po świecie wozi.

Rzecz wydała się naturalnie podejrzaną wcale. Że to zaś miała być wielka pani, więc sam naczel-

nik powiatu poszedł do niéj i do siebie ją poprosił, ażeby protokół z niéj spisać. Zawsze z poszanowaniem wielkiém — bo i jego złudzić potrafiła.

Do tegoż protokółu zeznała: że przywiozła do Augusta Wilkońskiego proklamacyą Teofila Wiśniewskiego, powieszonego we Lwowie — a wydaną pośmiertnie, wraz z listami od kilku agitatorskich członków emigracyi polskiéj, — których nazwisk tutaj dla różnych nie wymienię przyczyn.

Zapytana: kogo u nas widziała? Nie umiała na szczęście żadnego wymienić nazwiska, bośmy jéj, przypadkowo, nie przedstawili nikogo. Opisywała tylko jakiegoś młodego człowieka, który proklamacyą przepisywał — i o którego następnie na ratuszu lokaja naszego kilkakrotnie badano.. Ale nadaremnie! — bo oszustka pokłamała wszystko, a chciała się koniecznie w polityczną przedzierżgnąć ajentkę.

Po spisaniu protokółu względny ciągle dla d a m y unieszczęśliwionéj naczelnik powiatu, polecił jednemu z urzędników swoich, by ją sam, wagonem p i e r w s z é j k l a s y, do Warszawy wraz z protokółem odwiózł.

Żona urzędnika słysząc, że mąż jéj osobnym wagonem z aresztowaną pojedzie — zabrała się z nim dla załatwienia jakichsi sprawunków w Warszawie, otaczając wielkim szacunkiem nieszczęśliwą panią, która takiemu podpadła losowi.

W drodze kłamała im Majchrowiczówna znowu niestworzone rzeczy o nieszczęściach swoich: o najpierwszych rodzinach w kraju, z któremi jest pokrewnioną lub zaprzyjaźnioną — a poczciwi ludziska wierzyli jéj wszystko.

Przybywszy do Warszawy, oddał urzędnik zapieczętowany protokół, adresowany do oberpolicmajstra, jenerała Abramowicza. Wziął dorożkę, pojechał z żoną i damą aresztowaną do miasta — i stanęli w Hotelu Kieleckim przy ulicy Podwal.

W hotelu Majchrowiczowna przybrała się lepiéj i prosiła żonę urzędnika, by z nią pojechała dorożką do pani R. przy ulicy Oboźnéj, dobrze jéj znajoméj, przed którą się pożali i któréj poleci, ażeby familią o jéj nieszczęsnym powiadomiła wypadku.

Otóż i skorzystała zaraz, posłyszawszy o pani R., przy pierwszém widzeniu się z nami, by odwołać się do niéj! Znać musiała nazwisko i ulicę zanotować sobie skwapliwie na wypadek wszelki — gdy tego zapotrzebuje.

Poczciwa kobieta przystała na wszystko, byle tylko tak zacnéj pani dopomódz. Pojechały zatém. Pani R. była w domu i przyjęła ją. Żona urzędnika pozostała w dorożce przed domem.

— Kto pani jesteś? zapytała pani R. nie zbyt uprzejmie.

Majchrowiczówna jakieś wymówiła nazwisko.

— Czém pani mogę służyć?

— Szukam pani Bromirskiéj ... — odpowiedziała oszustka, która i to nazwisko gdzieś tam była zachwyciła, bo zagadnięta w ten sposób i dość cierpkim tonem przez panią R., zdekoncertowała się nieco, a może i lękała się, czy pani R. już o niéj czegoś od nas nie posłyszała.

— Pani Bromirska? ... Pani Bromirska mieszka na Lesznie — odrzekła pani R. szorstko.

Majchrowiczówna zatém widziała, że tutaj dla niéj niemasz pola. Pożegnała się, ale zamiast nawrócić do przedpokoju, którędy była weszła, biegła w głąb mieszkania. Pani R. powstrzymywała ją i zawróciła, by wyszła przez przedpokój. Kierując się do drugich pokoi, może sądziła, że tylnemi drzwiami czmychnąć potrafi — tak domyślała się pani R. późniéj.

Majchrowiczówna kazała się więc wieść na Leszno, do pani Bromirskiéj. Wysiadła przed mieszkaniem téjże, a towarzyszka znowu pozostała w dorożce. Zastała panią Bromirską w domu, weszła do pokoju, rzuciła się ku niéj od razu, dramatycznie, z załamanemi rękoma i wołać poczęła:

— Ratuj mnie, pani! Jestem prześladowana, nieszczęśliwa! Schroń mnie pani!

Pani Bromirska zdrętwiała z przestrachu — i już widziała cytadelę i Sybir przed sobą. Męża jéj nie było w domu. Co tu począć?

— Zaczekaj pani tutaj dopóki mąż mój nie przyjdzie — wymówiła przytomnie i zamknęła ją na klucz w pokoju.

Upłynął kwadrans, półgodziny — wieczór zapadł. Biedna żona urzędnika w dorożce niecierpliwić się poczęła. Wreszcie zdjęła ją trwoga, wysiadła i weszła na piętro. Zadzwoniła i zapytała o panią, która tu weszła niedawno.

Pani Bromirska nadbiegła. Towarzyszka Majchrowiczównéj w krótkich wyrazach opowiedziała jéj wszystko.

— A to weź-że ją sobie pani! Zabieraj co prędzéj! zawołała pani Bromirska. — Odjeżdżajcie co rychléj! Nie kompromitujcie siebie i mnie.

Wróciły zatém pospołu do hotelu — bo Majchrowiczównie żadne nie udały się plany. A przed urzędnikiem i żoną jego nowe poczęła rozwijać kłamsta i zawodzić żale.

Tymczasem komisarz z kolei protokół oberpolicmajstrowi wieczorem już wręczył.

— A gdzież jest aresztantka? — zapytał Abramowicz..

— Nie wiem. Nie widziałem jéj....

Jenerał krzyknął, fuknął i szukać jéj kazał. — Ale gdzie?

— To pewno jest mężczyzna przebrany, emisaryusz, komunista! Niechaj powóz zajdzie natychmiast. Sam poszukam!.... gdyby i pod ziemią była!

W chwilę potém, w asystencyi czterech Kozaków, pędził już przez ulice, od jednego do drugiego hotelu, szukając aresztantki.

Późno już było, gdy przed Hotel Kielecki zajechał i zapytał:

— Czy tu stanął urzędnik powiatowy N. N.... z Piotrkowa?

— Tak jest, jaśnie wielmożny jenerale, i z dwiema paniami.

Jenerał wysiadł.

— Prowadź mnie! krzyknął i wbiegł po wschodach....

Pod jednym numerem spał urzędnik, pod drugim żona jego z mniemaną damą.

Jenerał wbiegł. Za nim sługa ze światłem i dwóch Kozaków. Na łóżku podniosła się Majchrowiczówna i widząc jenerała, zawołała:

— Mon dieu! Mon dieu!

— Dam ja tobie, mon dieu! Wstawaj szurgocie! krzyknął jenerał.

— Niech się wasan nie zapomina! ozwała się dumnie, przybierając minę wielkiéj pani.

— Każę ci dać rózgami!

— Dotkniéj mnie wasan, to odpowiesz! pogroziła mu. — Jestem matką!

Jenerał srogim zadrgnął gniewem.

— Każę łeb ogolić, wewlec ubiór aresztancki... — i wyrzucił kilka wyrazów, których niepodobna powtórzyć.

Kobiety wstały i powrzucały suknie pospiesznie. Urzędnik po formie ubrany nadszedł, blady, wylękły. Jenerał z okropnym na niego powstał gniewem, że aresztantki nie odstawił zaraz. Biedak drżał z przestrachu: miał czworo drobnych dziatek — mógł chléb postradać....

Jenerał kazał małżeństwo i Majchrowiczównę odprowadzić na ratusz — i każde zamknąć z osobna.

Nazajutrz była u nas rewizya — a August osadzonym został w więzieniu.

Opowiadał późniéj, że strasznėm zwłaszcza w dniach pierwszych było z nim postępowanie jenerała. Wpadał zwykle w nocy. Narobił hałasu. Zajrzał do jego celi z krzykiem — a potém pod drzwiami jego różne nieszczęśliwe ofiary batożyć kazał.

O srogości i brutalności jenerała Abramowicza ciągle po Warszawie różne obiegały wieści. Spotkanych w nocy na ulicy obywateli ziemskich, szlachtę — gdy swoje robił wycieczki — kazał pokrępować powrozami, odprowadzić na ratusz i zamknąć. Zkąd dopiero rano uwolnionych wypuszczono. Niekiedy kułakował

ich sam.... a lżył straszliwie! — Przeto August zaraz dnia pierwszego kazał mu przez Dobronokiego powiedzieć:

— Nie korzystałem nigdy jeszcze z prerogatywy, jako szlachcic herbowy polski. Ale w obecnéj okoliczności, słysząc pastwienie się barbaryzmu nad bezbronnymi, nie wchodząc, za co i kto oni, — występuję z przywilejem swoim, jako Odrowąż Wilkoński. Dodając nadto: Niechaj pan oberpolicmajster nie zapomina się, niechaj w niczém honorowi nie ubliży mojemu, bo inaczéj: daję najświętsze słowo honoru, że ztąd nie puściłbym go żywo!

Zmartwiona, strwożona, chciałam pójść zaraz do jenerała Abramowicza, ale mnie powstrzymano: ażeby przeczekać spisanie protokółu, bo inaczéj, to jenerał nie będzie jeszcze wiedział, o co chodzi.

Nazajutrz poszłam do pani Niny Łuszczewskiéj, którą w łóżku zastałam. Przyjęła mnie serdecznie i pocieszała, jak mogła. Obiecała pojechać do hrabiny *, ażeby ta pani na dzisiejszym wieczorze w zamku opowiedziała namiestnikowi ze śmiechem: jak to oszustka wierutna oszołomiła sprytnego, dowcipnego, humorystycznego Wilkońskiego, że z nią odbył podróż do Suwałk, szukając jakiéjś ciotki, milionowéj hrabiny.

Sposób podobny, zręczny wcale, możeby skutko-

wał w rządzie cywilizowanym, przy systemie rządzenia innym zupełnie: gdzie nie przewodniczy nienawiść, podejrzliwość ślepa, wietrzenie demagogów wszędzie — i wola jakiéjś niepojętéj zemsty. W Warszawie jednakże — dobre chęci tych pań, umiejętne wprowadzenie i pokierowanie rozmowy, nie przydały się na nic: Paszkiewicz o Ramotkach zapewne nic nie wiedział, a literat każdy był dlań demagogiem wstrętnym i wrogiem.

Mnóstwo odwiedzało mnie osób. Bo tam, gdzie niedola zawita, podąża społeczność warszawska zaraz z okazem współczucia, życzliwości: z radą i pomocą. Warszawa pod tym względem wyżéj stoi — bo nie wszędzie to umieją. A dodajmy jeszcze, że pod rządem rosyjskim okazane współczucie osobom skompromitowanym — srodze także kompromituje.

Dnia trzeciego przyniósł mi przyjaciel nasz, pan Z. Z. wiadomość, że protokół z mężem już spisany został; że jenerał Abramowicz wścieka się na Augusta; że protokół jutro odesłanym zostanie do biura gubernatora wojennego, ks. Gorczakowa, który go namiestnikowi przedłoży.

W tém nadchodzi pani Łuszczewska. Opowiadam jéj, jak rzeczy stoją.

— To idźże pani zaraz, bez straty czasu, do jenerała Abramowicza — radziła pani Nina — zanim protokół odeśle.

Uznałam tę uwagę za słuszną, a pan Z. Z. oświadczył, że ze mną pójdzie. — Pani Łuszczewska pożegnała mnie. Zabrałam się szybko i poszłam z panem Z. Z. — Zmierzch już zapadł.

Jenerał mieszkał przy środkowym, teatralnym dziedzińcu, jakby w małéj forteczce. Biegłam z odwagą — i ani mi w myśli postało, że mogę lękać się czego.

Przed domem stała warta. Kręcili się Kozacy, żandarmi. W oknach już było światło.

W przedpokoju także siedzieli żandarmi i policyanci.

— Mamy interes do pana jenerała — przemówił do nich pan Z. Z.

Otworzyli nam drzwi do audyencyonalnego pokoju. Od sufitu spuszczała się zapalona lampa. Stało tam parę trzciną wyplatanych krzeseł i stolik. Z przyległego pokoju dolatywała nas rozmowa w rosyjskim języku. Usiedliśmy, czekając, co będzie. Czułam się spokojną — nawet i swobodną. A samam sobie tego usposobienia wytłómaczyć nie potrafiła.

Po dość długiéj chwili otwierają się drzwi: wychodzi jakiś jenerał rosyjski, a za nim Abramowicz.

Powstaliśmy. Abramowicz spojrzał się na nas swoim bystrym wzrokiem. Jenerał moskiewski coś tam jeszcze do niego zagadał. Abramowicz wyprowadził go do przedpokoju, a potém powrócił i stanął przed nami.

— Któż z państwa ma interes do mnie? zapytał brwi marszcząc, głosem groźnym.

— Pani Wilkońska — przedstawił mnie pan Z. Z.

— A ty kto jesteś? fuknął jenerał.

— Z. Z., urzędnik komisyi skarbu.

— Po co tu wszedłeś? Jeżeliś lokaj, to stój w przedpokoju, jeżeliś faktor, to przed domem. Won sobie! Hej! — krzyknął na żandarma, który ukazał się we drzwiach — odprowadzić tego na ratusz i zamknąć!

Wyszli. Z. Z. bez skinienia głową. — Patrzyłam się na tę całą scenę — świadczę się Bogiem — bez trwogi najmniejszéj, spokojnie i zimno. Dziwna może' ale tak było: znać z wysoka i w przekonaniu własném czerpałam siłę. — Powiedziałam sobie w duszy: Patrzę na srożącego się tygrysa bezbronna — ale ponad nami jest Bóg!

Gdy p. Z. Z. wyszedł, Abramowicz zwrócił się ku mnie i zmierzył mnie wzrokiem: trwało to mgnienie oka — lecz myślę, że wyczytał rezygnacyą w twarzy mojéj i spokój ducha: bo on umiał czytać w wyrazie twarzy i oka, jak mało kto.

— Pani dobrodziejka czego chcesz odemnie? zapytał tonem zmienionym, łagodnie i grzecznie — ale seryo bardzo.

— Pragnę z panem jenerałem w interesie męża mojego pomówić — odpowiedziałam.

— To proszę panią dobrodziejkę — otworzył drzwi do salonu i weszliśmy oboje. — Proszę, niechaj pani dobr. siada — wskazał mi kanapę.

Usiadłam, a on naprzeciw mnie w fotelu.

— Cóż mi pani chcesz powiedzieć?

— Prawdę, tylko prawdę, panie jenerale — odpowiedziałam — pragnę panu jenerałowi rzecz całą opowiedzieć i wyjaśnić.

— Czemużeś pani zaraz do mnie nie przyszła?

— Radzono mi, bym zaczekała na spisanie protokółu.

— Lepiéj byłabyś pani zrobiła, przychodząc zaraz! powtórzył znowu.

Zbierało mi się na płacz, żem i umilkła.

— Panią zapewne straszono — mówił znowu — żem ja zwierz jaki, żem niedźwiedź. Ale przyjdzie niedźwiadek, który gorszym będzie od niedźwiedzia!

— Nie dałabym się odstraszyć niczém, panie jenerale. Czekałam tylko, dopóki protokół sprawy nie wykaże....

— Pani byłabyś mi rzecz całą wykazała najlepiéj.

— Uczynię to teraz, panie jenerale.

— Ale przestrzegam panią, że jestem oberpolicmajster, że sobie zanotuję każde słówko pani.

— Tego właśnie pragnę, panie jenerale, bom po to przyszła, ażeby powiedzieć prawdę.

— To i niechżeż mi pani opowie wszystko.

Opowiedziałam mu zatém wszystko poszczegółowo; przeczytałam list siostry i wycinki z pism publicznych.

— Opisz mi pani rzecz całą w formie listu dla lepszéj pamięci: wolimy takie notatki piśmienne. I przyłącz pani te dowody wszystkie.

— Jutro zaraz, panie jenerale. A proszę i błagam, by ta sprawa przyspieszoną została!

— To już nie odemnie zależy. Raczéj od gubernatora wojennego, księcia Gorczakowa, i księcia namiestnika. Wypełniam tylko obowiązek straży bezpieczeństwa publicznego.

— Lękam się także, panie jenerale, ażeby nam w skutek téj sprawy namiestnik nie kazał wyjechać z kraju, a nasze interesa wymagają, byśmy tutaj pozostali jeszcze lat pare.

— Bardzo być może, że to nastąpi.

— Czyliżbym o to mogła podać prośbę do księcia?

— Zapewne. Podaj ją pani w języku francuskim i bądź sama na audyencyi. Do księcia mówi się Monseigneur albo Votre altesse. — Ale poczekaj pani, dopóki mu sprawa przedłożoną nie zostanie.

— Panie jenerale! — złożyłam dłonie — a gdy książę pana jenerała zapyta . . . .

— To i cóż mam powiedzieć? Że mąż pani jest przychylnym rządowi rosyjskiemu?

— Nie, panie jenerale, nie! Ale, że niczem nie zawinił... że został oszukanym....

— Bo myślał, że dopomaga osobie nieszczęściami politycznemi dotkniętéj! uśmiechnął się znacząco pod wąsem białym.

— Umiała udawać bardzo nieszczęśliwą!

— C'est une gourgandine!

— Et pourtant elle sait fasciner tout le monde!

— Elle ne m'a pas fascineé, moi! zaśmiał się sarkastycznie. — Kazałem jéj zaraz wszystkie pozabierać rzeczy i w ubiór aresztancki oblec: Elle peut faire des siennes à present.

— Więc mam podać prośbę do księcia, panie jenerale!

— Tak jest. Ale później, na któréj z piątkowych audyencyj.

— Panie jenerale! Dopomóż nam, panie!

— Przedstawić tylko mogę prawdę.

— O prawdę także tylko chodzi.

— Mąż pani byłby już niejednę przykrą miał sprawę. Wiem o niejedném.... bo bywają w domu państwa ludzie, którym ufacie za wiele.

Zimno mi się zrobiło. Zdrętwiałam.

— Niedawno miał awanturkę.... którąby go już była wydaliła z kraju.

Serce niby bić mi przestało. August pewnemu komuś słów kilka pogróżki rzucił — prędki — gwałtowny — ale i zaraz zmitygował się znowu.... i szanownego jegomościa na śniadanie zaprosił. Widać jednak, że zadenuncyowanym został i mimo śniadania.

Abramowicz popatrzał na mnie.

— Czyliż panią przekonałem, żem męża pani mógł oddawna do odpowiedzialności pociągnąć?

— Panie jenerale!... Panie jenerale! — nie wiedziałam co dodać więcéj.

— Ja i panią znam doskonale — uśmiechnął się z pewnym wyrazem względności. —

— Panie jenerale!

— Jestem srogi, brutal, zwierz z lasów litewskich....

— Och, panie jenerale, rozumiem, że.... — wymówiłam ciszéj — że pewno nieraz okażesz się srogim, ażeby dopomódz potém.... — zniżyłam głos aż do poszeptu.

Abramowicz spojrzał się na mnie — a milczał. Uważałam jednak, że powyższe wyrazy moje chętnie posłyszał.

— Czemuż ten Z. Z. z panią przyszedł? — zagadał po chwili.

— Odprowadził mnie. Nie byłabym trafiła. Wieczór już.... sama iść nie mogłam.

— To niechżeby panią był odprowadził, a potém odszedł.

— Czekaliśmy.... Miał mnie znowu odprowadzić do domu.

— Niepotrzebnie! Byłbym panią odprowadzić kazał, co téż i teraz uczynię. Każę go wypuścić zaraz.

— Spodziewałam się tego, panie jenerale, dla tego nie prosiłam za nim.

— Dobrześ pani zrobiła — bystrym zmierzył mnie wzrokiem, a potém uśmiechnął się niby.

Zrobił ten fajerwerk umyślnie, by sprawę naszą złagodzić: to miałam zrozumieć — i zrozumiałam.

— Lecz tyle zabrałam czasu panu jenerałowi, za co przepraszam! — podniosłam się — podobno, że i czas do teatru będzie.

— Bywam tam codziennie. — Zatém podaj pani prośbę do księcia, ale gdyby i krzyknąć miał: nie łża! co znaczy: nie idzie, — to pani się nie ulęknij. Pani R. R. podała niedawno prośbę o paszport za granicę. Książę krzyknął, rzucił się, wyszła ze łzami, dnia trzeciego paszport jéj nadesłał. — Nie bądź pani na audyencyi żałobnie ubraną, bo tego książę nienawidzi.

Czarną suknią mieć możesz, bo kolorowa raziłaby go także, gdy mąż jest więźniem.

Ta względna przestroga ośmieliła mnie, żem znowu prosiła:

— Pan jenerał racz za nami przemówić!

— Nie pogorszę sprawy: bo ja pode drzwiami nie stoję i do cytadeli nie pakuję.

Powiedział niby tak wiele, że aż mi tchu zabrakło.

— Za wiele gadacie, nie stosuję tego do pani dobrodziejki. Lecz za wiele gadają wszyscy — mówił głosem przyciszonym — nie umieją trzymać języka za zębami, a to przecie zaliczają do cnót staropolskich. Tą niesfornością języka szkodzą sobie i drugim. Bo i na cóż to przyda się wszystko?

— Prawda, panie jenerale — wymówiłam ośmielona — że ostrożność nie jest Polakowi wrodzoną, bo podejrzewać nie umie, bo to nie jest w charakterze polskim. Ale, ostrożnego sam Pan Bóg strzeże, dawne niesie przysłowie. Gadulstwo, matanie językiem est un abŷme sans fond.

— Pouczaj pani tego drugich!

— Kiedy właśnie, nam kobietom, zarzucają niepowściągliwość języka?

Znowu uśmiechnął się niby.

— Czy dowiedzieć się u pana jenerała, kiedy odejdzie protokół?

— Bądź pani u mnie za dni parę, o godzinie dziewiątéj z rana. Ale wtedy zobaczysz mnie pani w obec urzędników.

Było to ostrzeżenie znowu!

Pożegnałam go. Sam podał mi płaszczyk. Poczém zawołał żandarma i kazał d a m ę odprowadzić do domu.

Rozburzona ponad wszelkie określenie, powróciłam do domu. Głowę nawał myśli rozsadzał mi niby. Powtarzało się w niéj każde słowo powyższéj rozmowy, jakoby ognistemi wyryte głoskami. Byłabym chciała powyższą rozmowę zapisać — ależ to było niepodobna, bacząc na rewizye! Zachowałam ją przeto w pamięci — może nie wszystko — alem n i c n i e d o d a ł a.

Przebiegałam pokoje, bom i spocząć na chwilę nie mogła! Wszystkie gwałtownie uderzały tętna: byłam w dziwnym roztroju nerwowym — jakoby w gorączce.

W tém nadszedł Włodzimierz Wolski. Byłam rada, że mogę do kogoś zagadać: powtórzyć nie jedno — zrzucić tłoczący mnie ciężar — i mówiłam mu wiele.

— Ciekawa i zajmująca rozmowa — wyrzekł — i wartoby zanotować.

— To jest niepodobna! ruszyłam ramionami.

— Zapewne. Ale spamiętaj ją pani.

— Myślę, że nie zapomnę.

Około godziny 10téj wbiegł do mnie pan Z. Z. z bratem swoim, uwolniony co dopiero z ratusza.

— Pospieszyłem, ażeby zaspokoić panią — wymówił.

— Wiedziałam, że pan będziesz wolny niebawem

Przeprosiłam go serdecznie, że z mojéj przyczyny taką miał nieprzyjemność.

— Chléb to powszedni! — odrzekł z uśmiechem. Trzymano go przez cztery godziny pod zamknięciem. Brat jego o tym wypadku został powiadomionym zaraz — bo Warszawa w podobnych razach jest prawdziwie opiekuńczo troskliwą. Za co jéj cześć należy się od wszystkich.

Dnia następnego przyszedł do mnie przed południem ś. p. Antoni Lesznowski, zziajany, zasapany: mieszkaliśmy na drugiem piętrze, a spieszył się poczciwiec. Opowiedział mi, że idzie wprost od jenerała Abramowicza; że mu tenże opowiadał o mojéj wczorajszéj u niego bytności.

— Jenerał jest anszantowany rozmową z panią — śmiał się pan Antoni. — Powtarzał razy parę: „Jakaż jest prawda w téj kobiecie! A ja zaraz poznaję się na tém. Obudziła we mnie takie współczucie, że gdyby ją co złego spotkać miało, starałbym się o nią, jakby o własną siostrę.“

Powtarzam tutaj te wyrazy, bo to należy do prawdy o jenerale Abramowiczu. Zresztą ś. p. Lesz-

nowski powtórzył tę rozmowę w otoczeniu swojém — a mówił mi o niéj i pan Józef Kenig.

Zdawało się zatém, że interes męża mojego na pomyślnéj dla nas jest drodze.

List do jenerała napisałam, załączyłam wypis z listu mojéj siostry i wycinki z zagranicznych dzienników. List przeczytałam odwiedzającemu mnie doktorowi Chałubińskiemu — zapieczętowałam i przez służącego odesłałam przed południem.

— Upływa godzina — dwie — trzy — cztery — służącego nie widać — i dopiero późnym wieczorem powrócił.

— Gdzieżeś siedział? zapytuję go.

— A w kozie.

— W kozie? Za co?

— Jenerała nie było. Więc zamknęli mnie i musiałem siedzieć dopóki nie wrócił.

— To i głodnym jesteś.

— Ugryzłbym kawał kamienia.

— Idź-że, idź, Marya zostawiła ci objad.

Spokojniejsza, pocieszona, poszłam do pani Łuszczewskiéj i opowiedziałam jéj wszystko. A miała ona ciągle nadzieję, że i niektóre osoby na księcia wpłynąć potrafią. — Ale tak podobno nie było!

Przybył brat Klemens, listem o nieszczęsnym powiadomiony wypadku. I przyjaciele nasi wszyscy pocieszali mnie jak mogli.

W dni parę po owéj pierwszéj bytności, poszłam raz drugi do jenerała Abramowicza: z rana, o godzinie 9téj.

Czekałam w pokoju audyencyonalnym: był komisarz Dobronoki i urzędników kilku. Przeminęła długa chwila. Wreszcie otworzyły się drzwi od salonu. Abramowicz stanął w nich, naprężony, srogiego wejrzenia, marszcząc brwi groźno. Skłoniłam się. Skinął głową.

— Akta odesłane zostały do biura księcia Gorczakowa — wymówił tonem ostrym a mroczno. — Zwrócił się do jednego z urzędników i coś tam zagadał. Widziałam, że już nie mam czego czekać, pokłoniłam się zatém i wyszłam — z bardzo cierpkiem uczuciem, chociaż to przestrzegał mnie: że go w obec urzędników zobaczę — a zatém p o u r z ę d n i c z e m u.

Pomiędzy znajomymi naszymi był cenzor Dubrowski — Rosyanin — Słowianofil — dobry człowiek bywający na wszystkich literackich wieczorach, we wszystkich domach literatów-Polaków. Pisywał także artykuły do pism polskich, a sam wydawał tygodnik: Jutrzenka, w języku rosyjskim i polskim.

Ten pan Dubrowski zachęcił mnie, ażebym się udała do radzcy stanu Jewieckiego, który wszystkie

podania namiestnikowi przedstawia — i rady zasięgnęła jego. Jewiecki był Słowianofilem i znanym, jako prawy człowiek. Dubrowski o całéj uprzedził go sprawie — i pojechałam do niego. Przyjął mnie uprzejmie bardzo, rady udzielił i obiecał, że prośbę moją jak najprzychylniéj przedstawi.

— Winnaś pani jednakże być wprzódy u dyrektora kancelaryi księcia, radzcy stanu Eliaszewicza — dodał — bo od tego wiele bardzo zależy.

W téj chwili pokazał się w przyległym pokoju urzędnik jakiś — i zauważyłam, że pan Jewiecki naprężył się nagle: uśmiech uprzejmy pierzchnął — a przyjął wyraz twarzy poważny, zimny. Powstaliśmy oboje — i wyrzekł:

— Pani złożysz podanie w kancelaryi księcia namiestnika, a ja przedstawię je.

Pokłonił się sztywno. A ja wyszłam, widząc aż nadto wyraźnie, że chciał, ażeby nie widziano, że łagodnie ze mną rozmawia i rady udziela: że własnego lękał się otoczenia.

Nazajutrz poszłam do bióra dyrektora Eliaszewicza. Oddźwierny wpuścił mnie do pierwszéj sali. Siedziało tam kilku urzędników przy zielonych stołach.

— Pragnę widzieć pana dyrektora — przemówiłam.

Wskazali mi drugi pokój. — Wchodzę. Siedziało

tam tak samo kilku urzędników i powtarzam znowu powyższe wyrazy moje.

— Tam jest pan dyrektor! — odpowiada jeden przyciszonym głosem, wskazując gabinet obok.

Wchodzę. Dyrektor siedział przy stoliku: człowiek sześćdziesięcioletni, twarzy, jakby z kamienia wykutéj. Obejrzał się.

— Co to? zapytał.

— Jestem Wilkońska.

Wstał i przystąpił do okna — znać, ażeby go urzędnicy z przyległego widzieli pokoju.

— Jakiż pani masz interes?

— Chcę podać prośbę do księcia, ażeby sprawę męża mojego przyspieszono.

— Pani zrobisz podanie, to interes przedstawionym będzie.

— Panie dyrektorze, ale racz pan przychylnie przemówić!...

— Ja?! Za mężem pani? Przyjmował demokratów w domu swoim, demagogów, czyliż to przystoi na szlachcica?

— Panie dyrektorze!

— Jak będzie podanie, to przedstawię.

Skinął mi głową. Pokłoniłam się — i wyszłam na wpół zdrętwiała.

Radzono mi, ażebym napisała do niego i wyłożyła mu rzecz całą, jak Abramowiczowi. Uczyniłam

to — ale tego listu nigdzie przyjąć nie chciano! — W biurze — uchowaj Boże! — Służący chodził cztery razy do mieszkania jego — a lokaj i słuchać nie chciał, by list jaki do pana dyrektora miał odebrać. Mejskiéj poczty nie było wtedy jeszcze w Warszawie — zatém list spaliłam. Mogłabym go była z miasteczka którego wyprawić — jednak to może byłoby pogniewało pana dyrektora.

Eliaszewicz był Polakiem, Litwinem, katolikiem bardzo gorliwym i pobożnym. Dawniéj żył w przyjaznych stósunkach z panną Teresą Kicką — te zerwał następnie i z nikim nie przestawał z Polaków. Mówiono, że jest uczciwym, a nieprzekupnym, — lecz srogim, nieugiętym i służbistą przedewszystkiem.

Brat jego młodszy zostawał w wojsku — podobno nawet i jako adjutant przy Paszkiewiczu. Mając raz karciane towarzystwo u siebie, właśnie rozdawał karty, gdy zadrgnął nagle i padł nieżywy: żyła pękła mu w sercu. Odtąd, mówiono, dyrektor stał się surowszym jeszcze i zupełnie nieprzystępnym. Było to na lat pare przed sprawą Augusta.

Konsulem pruskim w Warszawie był podówczas pan Wagner — człowiek ugrzeczniony niezmiernie,

uprzejmy, elegancki, ładnie mówiący po francuzku i lubiący mówić tym językiem.

Zostawał dawniéj przez czas dłuższy jako konsul na Wschodzie i zatrzymał podobno niektóre tamtejsze obyczaje i zwyczaje. — W salonie, gdzie przyjmował, wkoło ścian długie były otomany.

Jako poddana pruska udałam się także do niego. Obiecał, że się wstawi za mężem moim: że zapyta o sprawę jego — ale zapewne nie dowie się o niczem, jak to już nieraz bywało. — Byłam znowu późniéj u niego po odpowiedź — ale nie dowiedział się niczego.

Nadszedł ów piątek, w którym miałam być na audyencyi. Pojechałam do zamku w czarnéj sukni, ale z kolorowém przybraniem kapelusza i w jasnych rękawiczkach.

Na sali, gdzie młody urzędnik podania odbierał i referaty przy nich robił w języku rosyjskim — mnóstwo cisnęło się osób warstw wszelkich. Można było widzieć aksamity, atłasy, pióra, koronki, złote ozdoby, mundury galowe, fraki i białe krawaty, łapserdaki żydowskie, kapoty szare i podarte spodnice. Podłoga była zabłocona — ławy brudne.

Oddałam prośbę i przysiadłam na ławce — znę-

kana i znużona tym tłumem. — Po chwili skinął na mnie policyant, ażebym do drugiego weszła pokoju. Był dość porządnym: stała tam kanapa i krzeseł kilkanaście. Siedziało pań kilka i pan jakiś w złotym haftowanym mundurze. Za mną wpuszczono jeszcze kilka osób i dwóch Żydów.

Przy drzwiach do sali audyencyonalnéj stało dwóch policyantów i żandarm. — Młody urzędnik nadszedł z podaniami w ręku — dopisawszy na każdym referat. Zwrócił je do rąk petentów i po jednemu zaczęli ich na salę wpuszczać.

Dochodziły nas gniewne, fukliwe odgłosy, a każdy, który ztamtąd powracał, był pomięszanym — czerwonym albo bladym. — Uważałam, że mnie wytrzymano aż ku końcowi. Może to ktoś życzliwy zrządził, ażeby Paszkiewicz tymczasem lepszego może nabrał humoru.

Poszedł pan ów ze złotym haftem. Krzyk powtórzył się znowu. Pan umundurowany wyszedł czerwony, zachmurzony, z zaciętą wargą, sypiąc iskry ze źrenic.

Wprowadzono dwóch Żydków. Znowu krzyk — a większy jeszcze — i lament.

W tém skinął na mnie policyant znowu. Drzwi otwierają. Wchodzę. Żydki leżą na kolanach. Paszkiewicz krzyczy. Policyanci porwali Żydków z ziemi i za drzwi ich wyrzucili.

Namiestnik stał po lewéj stronie sam jeden. Naprzeciw rzędem urzędnicy w mundurowych frakach, dziesięciu może. W środku był stół długi, zielonêm suknem pokryty. Na nim leżały papiery — i już nie wiem, co więcéj.

Policyant odebrał odemnie prośbę i podał ją radzcy stanu Jewieckiemu. Postąpiłam naprzód i pokłoniłam się..

Jewiecki wysunął się i referat podania mojego przeczytał. — Podanie było śliczną napisane francuzczyzną — ale na cóż się przydało, skoro przy niem położono referat w niezrozumiałym dla mnie języku? — Po przeczytaniu tegoż zwrócił Paszkiewicz pytanie jakieś do dyrektora Eliaszewicza po rosyjsku. Ten odpowiedział naturalnie po rosyjsku także. Nie zrozumiałam i słowa jednego — alem przeczuwała instynktem i sercem, że szkodząco sprawie przemówił. Wreszcie zdradzał to i głos jego szorstki. Gdy skończył, krzyknął Paszkiewicz, ale nie wiem co.

Odważnie postąpiłam naprzód i zaczęłam:

— Excusez, monseigneur... cobym była dalej powiedziała, ani wiem.

Paszkiewicz krzyczał. Jewiecki wziął mnie pod rękę i pół głosem wymówił:

— Impossible, madame, impossible!

Na wpół martwa wyszłam — bezprzytomna wsiadłam i przyjechałam do domu. Poczciwa moja Marya

popłakała nademną. Boć też nic innego nie miałam, tylko łzy jedne! — A byłam blada jak mara.

Eliaszewicz nieprzyjazno rzecz przedstawił — może i na przekór Jewieckiemu, którego nie lubił. — Jewiecki zmartwił się tém całém przejściem, jak mi znajomy jego zapewniał i wyrzekł nawet: „Byłbym wolał odchorować, aniżeli tę biedną kobietę na taką narazić nieprzyjemność.“

Przy całym srogim systemie rządu, wszelkie gwałcącym prawa, istniała jeszcze i ta straszliwość: Abramowicz darł koty z Gorczakowem i kogo jeden protegował, potępiał drugi. A jeszcze był i Abramowicz w łaskach wielkich u Paszkiewicza, czego mu Gorczakow i inni darować nie mogli. Eliaszewicz zaś nie cierpiał Jewieckiego — i za kim Jewiecki przychylnie mówił, tego Eliaszewicz pognębił.

Żona urzędnika z Piotrkowa, po wstawieniu się naczelnika powiatu: że ma drobnych dziatek czworo — wypuszczoną po kilku tygodniach została.

Przewielką jest prawdą twierdzenie, że złe nigdy nie przychodzi samo, ale pociąga cały szereg smutków i boleści za sobą. W połowie grudnia umarła wujenka moja na atak choleryczny. — Na tydzień przed Bożém-narodzeniem zachorowała moja Marya poczciwa. Leczył ją doktor Chałubiński. Choroba się wzmagała.

Jednéj nocy siedział przy niéj brat Klemens, będący właśnie w Warszawie — a mnie położyć się kazał.

Nad ranem chora zasnęła trochę. Potém brat Klemens wyszedł, a ja ubierałam się właśnie. Kazała mnie wołać do siebie.

— Zaraz, zaraz! odpowiedziałam dziewczynie — powiedz, że idę zaraz.

Kończyłam z pospiechem ubranie. Biegnę. Przy łóżku stała dziewczyna, służący i stangret brata. Dziewczyna trzymała talerz z klejkiem.

— Zaczęła jeść — mówi — a łyżka wypadła jéj z ręki i spuściła głowę na poduszkę.

— Kona — poszepnął służący.

Pochylam się nad nią: miała oczy przymknięte.

— Maryo! Chwytam jéj rękę. Była ciepła jeszcze, ale bezwładna. — Ratujcie! Nacierajcie ją! wołam.

— Co to nada! Już nie żyje — wymówił stary stangret ponuro

— Zasnęła! Zasnęła spokojnie — bez bólu, prawie bez konania.

Chciała mi jeszcze coś powiedzieć — nie zdążyłam. . . . Załamałam ręce i głośnym wybuchnęłam płaczem.

Brat Klemens z miasta powrócił i syn jego młodszy — zapłakali obadwaj.

Przyjechał dr. Chałubiński — nic nie mówił, lecz żal był w twarzy jego wyrytym.

Umarła podobno także na atak choleryczny, do którego przyłączyło się i zapalenie. Wszyscy, co ją znali, żałowali jéj serdecznie. — Była mi nie sługą wierną, poczciwą — ale mnie kochała jak matka.

Podałam słów kilka o jéj śmierci do Kuryera Warszawskiego — i odbierałam objawy szczerego współczucia.

Odprowadziliśmy ją z bratem Klemensem i kilku znajomymi na cmętarz. Z domu, gdzieśmy mieszkali, poszli wszyscy.

Boże, daj jéj niebo!

Jakże smutne były dla mnie święta Bożego-Narodzenia! — Brat Klemens chciał mnie wziąść z sobą do Górzna — ale czyż mogłam jechać, gdy August we więzieniu zostawał?! — Wujenka byłaby przyjechała do mnie. Bóg rozporządził inaczéj. Umarła młoda jeszcze — kochana i żałowana.

Święta Bożego-Narodzenia łączą rodzinę — są wesołe, gwarne, serdeczne: tradycyjnie wesołe. Jam była samotna — bo i wyjść nie chciałam nigdzie — smutna — przybita — wkoło mnie żałobna zaległa cisza, którą chyba tylko przerywało westchnienie! Ale .... miało smutniéj być jeszcze!

A wszakżeż nie o wszystkiem się mówi, co boli, zakrywa się rany najkrwawsze, najsroższe ... i prze-

milcza się o nich. Odsłaniamy je tylko przed Bogiem jedynie — tak i ja nieraz czyniłam i czynię.

W sam Nowy-Rok, gdy służący, jak dnia każdego, zaniósł mężowi mojemu kawę z rana — powraca z nią pobladły, zmięszany.

— Cóż to? pytam.

— Pana wywieźli w nocy do cytadeli.

Załamałam ręce z jękiem, niemal bezprzytomna na krzesło upadłam. Lecz porwałam się i zaraz, nagłą podżegnięta myślą. Ubrałam się z pośpiechem i o godzinie 9téj byłam u Abramowicza.

W pokoju audyencyonalnym był komisarz Dobronoki i jeszcze dwóch czy trzech urzędników. Do salonu drzwi były zawarte.

— Mąż mój do cytadeli wywiezionym został! — mówię do Dobronokiego.

— Tak jest, w nocy. Urzędnika * z Piotrkowa puszczono i już wyjechał koleją — była niby złośliwość w téj odpowiedzi — co Niemcy wyrazem Schadenfreude nazywają — a jakiego my w naszym nie mamy wcale języku: znać przodkowie nasi takiego nie znali uczucia.

Jenerał był niewidzialnym. Wyszłam złamana całkiem.

Odwiedzili mnie znajomi, winszując Nowego-Roku.

O, jakżeż on zaczął się dla mnie! — Istnie sarkazm losu! — Wszyscy pocieszali, że teraz sprawa pójdzie łatwiéj — bo przecież uznają, że politycznego przewinienia nie było. A skoro Augusta odstawili do cytadeli, to już i mowy nie będzie o tém, ażeby mu wyjeżdżać kazali. Pocieszali — ale zapewne nikt w to nie wierzył, co mówił.

Nazajutrz po 9téj poszłam znowu do Abramowicza, ażeby przecie dowiedzieć się czegoś. W pokoju audencyonalnym nie było nikogo. Przyjął mnie w salonie — a w przyległym pokoju krzątał się pisarz jakiś lub téż służący, nie wiem.

— Czegóż pani sobie życzysz? zapytał chłodno, sztywnie, z brwią nasrożoną.

— Panie jenerale, mąż mój jest w cytadeli....

— Tak. Musiałem go tam odstawić.

— Ale za cóż to?

— Socyalizm, komunizm!

— Och, panie jenerale! Krzycząca niesprawiedliwość podejrzenie takie.... Podam prośbę o przyśpieszenie śledztwa, a to wszelką wykaże płonność.

— Możesz pani podać prośbę — obejrzał się na drugi pokój.

— Ratuj nas pan jenerał!

— Czy męża pani? krzyknął z ironią. — Cóżbym o nim miał powiedzieć: że demokrata, socyalista.

— Ależ tak nie jest, panie jenerale!

4*

— To się pokaże.

— Panie jenerale!... — zapłakałam mimo woli.

— Jest jak najgorzej zapisanym! krzyknął znowu. — Wszystko wartogłowy, komuniści!

— Książę pana jenerała zapyta o niego.

— A zapewne.

— Pan jenerał zlituje się!

— Ej! — krzyknął — a potém dodał cicho — nie wiem jeszcze, co wtedy powiem.

Płakałam.

— W cytadeli wyśledzą! wymówił znowu krzykliwie, a potém przystąpiwszy bliżéj, spojrzał na pokój przyległy i domówił z cicha: uczynię, co będę mógł.

W milczeniu złożyłam dłonie na znak podzięki.

Po chwili pożegnałam go, ukrzepiona nieco. — Nazajutrz przyszedł do mnie Lesznowski.

— Idę od jenerała — wymówił — przykro mu bardzo, że Augusta do cytadeli odstawić musiał, ale rozkaz przyszedł od księcia.

Rozbieraliśmy tę kwestyą nieszczęsną, podejmowali domysły różne..... Ktoś zaszkodził oczywiście. Może i lepiéjby było, gdybym onego podania przed świętami wcale nie była zrobiła.

Napisałam do brata Klemensa. A dnia trzeciego po wywiezieniu Augusta do cytadeli, udałam się do je-

nerała Jołszyna — prezydującego w komisyi śledczéj w cytadeli. Weszłam do przedpokoju i mówiłam służącemu, by mnie zameldował. Poszedł i wrócił, mówiąc: Macie tu czekać.

W tym przedpokoju stało kilku żołnierzy, brudnych, czarnych biedaków, którzy szory jakieś przynieśli, dwóch Żydów i Kozak. A ja pomiędzy nimi, bo pokoik był mały — na stołku usiadłam.

Po długiéj dopiero chwili otwarły się drzwi i wyszedł jenerał Jołszyn: wysoki, chudy, blady, w długim czarnym szlafroku.

— Czegóż pani chcesz? zapytał mnie.

— Przychodzę z prośbą, ażebym mężowi mojemu mogła przesłać bieliznę, cygara, książki, materyały piśmienne.

— W sobotę możesz pani bieliznę posłać, ale nic więcéj.

— A cygara?

— Nie!

— Książki?

— Uchowaj Boże! — odwrócił się i wyszedł.

Pułkownik Rudzewicz, b. adjutant Paszkiewicza, znany mi kiedyś w Radomiu, był obecnie dowódzcą pułku żandarmów, ale tych, którzy przestrzegają porządku, a nie bywają używani przy eksekucyach, are-

sztowaniach i do rewizyi. Opowiadano, że Paszkiewicz chciał go mianować naczelnikiem policyi tajnéj, ale Rudzewicz poczytał to jakoby wyrządzoną sobie obelgę wielką — i miał powiedzieć: „Gdyby żył mój ojciec, wyzwałby księcia za to na pojedynek!“ — Różne pod tym względem obiegały wersye.

Radzono mi, ażebym udała się do niego, jako do żyjącego w zbliżonych z Jołszynem stósunkach.

Poszłam więc zaraz. Przyjął mnie uprzejmie i obiecał uczynić, co tylko podoła. Nie dostrzegłam w nim nadto onéj lękliwości, którą widziałam u innych, mimo to, że służący i jakiś niby sekretarz przechodzili przez pokój..

O jenerale Abramowiczu wyrażał się pogardliwie. O Jołszynie mówił, że jest un bon homme, ale brak mu wychowania lepszego.

Przyjechał brat Klemens. Byliśmy pospołu u pułkownika Powały Szwejkowskiego — który nas niby trochę drwinkami zbywał, jakoby wcale nie zasiadał w cytadelowych śledztwach i sądzie — a jednakże tak było. — Potém byliśmy u pułkownika Lajchte — członka aż nadto znanego komisyi śledczéj. Przyjął nas, stojąc we drzwiach.

— Wiem, że pan August Wilkoński odstawionym

został do cytadeli — wymówił, patrząc z ukosa poza siebie, bo tam jakoś kręcił się ktoś.

— My prosimy jedynie o przyśpieszenie śledztwa — przemówił brat Klemens.

— Będzie słuchanym, gdy kolej przyjdzie — odpowiedział opryskliwie i obejrzał się znowu.

Wyszliśmy. — Och, ciężkie to były drogi!

Pojechaliśmy następnie do cytadeli. — Byliśmy u kapitana Żuczkowskiego, wsławionego dozórcy więźniów — znanego pod nazwą Murdoka. — Był to Polak — z twarzą polską, piękną nawet, któréj rysów, brutalstwo i srogość — cynizm straszliwy — nie podołały jeszcze oszpecić. — Rozmowy z nim nie było żadnéj: odpychał zimnym uśmiechem — niby ironii pełnym.

W końcu byliśmy u jenerała od saperów, Staninkowicza, mieszkającego w cytadeli. Znał go brat Klemens, bo jenerał miał wioskę w sąsiedztwie Górzna — a znał go jako zacnego, honorowego człowieka. Staninkowicz był Litwinem, ożenionym z panną Włodek, śpiewaczką opery polskiéj w Warszawie, która odumarła go wcześnie, zostawiwszy mu syna.

Jenerał Staninkowicz okazał nam szczery udział i obiecał uczynić, co potrafi. Nam głównie o to chodziło teraz, ażeby śledztwo przyspieszoném zostało: ażeby się nie przewłóczyło, jak to bywało często. Al-

bowiem wiedzieliśmy, że nieszczęśliwi więźniowie niekiedy długie lata, bez przesłuchania ich, siedzieli.

Brat Klemens zagadał do jenerała o powstaniu węgierskiém: o projektowaném zajęciu Galicyi przez wojska rosyjskie dla przytłumienia Węgrów. .... Na co jenerał odpowiedział: że powstanie węgierskie w żaden sposób długo utrzymać się nie może. — Bolesno to było posłyszeć, — ale uwagi jego trafiały do przekonania. — Zresztą mówił bez żółci zupełnie — a nawet z współczuciem dla Węgrów.

Poczciwy Klemens odjechał, a mnie pozostało włóczenie się od Anasza do Kaifasza. — Po przewiezieniu Augusta do cytadeli, sprawa jego w inną zupełnie przeszła fazę — więc potrzeba było dróg szukać innych: nie ustawać w gorżkiéj pielgrzymce, przypominać się ciągle. — Przez dwa niemal tygodnie jeździłam po dniach całych od jednéj do drugiéj z figur możnych. Dr. Chałubiński, prawdziwy nasz przyjaciel, dał mi swego powozu do téj peregrynacyi — wycieńczało to i denerwowało, alem w mieszkaniu miru nie miała. — Wieczorem szukałam pociechy w domu dra Dworzaczka, pani Niny Łuszczewskiéj, Wojciekich, Korzeniowskich, pani Ferdynandowéj Biesiekierskiéj, pani Celińskiéj, Wittów, pani Olszewskiéj z Wołynia. A za doznane serdeczne współczucie niechaj im Bóg płaci!

W tym czasie przetłómaczyłam na wezwanie Ka-

czanowskiego, drukarza i wydawcy: Córkę rejenta A. Dumas'a w trzech tomach. — Gdybym tę powieść była znała poprzednio, nie byłabym jéj w obecném tłomaczyła położeniu. Męczyła mnie okrutnie — alem tłómaczyła po 30 stronnic dziennie.

Ś. p. Julian Bartoszewicz — najpoczciwszy z poczciwych, powtarzam znowu — odwiedzał mnie często, zakłopotany szczerze uwięzieniem Augusta i moją niedolą. Byłby mi duszą swoją chciał poradzić, ale niczego wymyślić nie mógł. Wreszcie przyszedł dnia jednego z ś. p. Stanisławem Lissowskim. Ten ostatni znał pułkownika rosyjskiego M..... i nie miał dość słów na pochwałę dla niego.

— Człowiek to poczciwy i pełen honoru — mówił — najszlachetniejszego serca, a miękki i tkliwy dla każdéj niedoli. Chodź pani ze mną, może nam coś zbawiennego poradzi. Ma on naturalnie i stósunki wielkie.

— Dobrze, idźmy! zawołałam. — Jestem gotowa pójść wszędzie.

— Przyjdę więc wieczorem i pójdziemy.

Przyszedł i poszliśmy. Idąc po wschodach, nagle pobladłam, sama niewiedząc, dla czego.

— Pani wyglądasz, jak gdybyś szła na stracenie — zauważył Lissowski, silną wspierając mnie ręką. — Nabierz pani odwagi.

— Och, ja się lękam...... odrzekłam.

Stanęliśmy przed mieszkaniem pułkownika. — Lissowski wchodzi — ja zatrzymałam się trochę. Słyszę głosy żalu...... płacz...... Po chwili wraca Lissowski blady, zmieniony.

— Chodź pani! — podaje mi rękę.

— Niemasz pułkownika? — pytam.

— Niemasz...... Dziś po obiedzie okuli go w kajdany i do Petersburga wywieźli. Służba jest w rospaczy.

Zeszliśmy w milczeniu, dotkliwie wzburzeni i znękani......

Takie wypadki wydarzały się nieraz — ale mało o nich wiedziano. — Na jesień r. 1847 przybył jeden z literatów moskiewskich do Warszawy i stanął w Hotelu Krakowskim. Wybrał się w podróż etnograficzną do krajów słowiańskich. W dni kilka po przybyciu do Warszawy wywieziono go okutego w kajdany — także do Petersburga podobno. — Opowiadał nam to jego osobisty przyjaciel — Rosyanin.

Jest systemem okrutnym osób do komisyi śledczéj należących, ażeby bezprzestannie trwożyć rodziny uwięzionych. Więc téż ciągłe obiegały wieści, które mnie dochodziły zaraz: że mąż mój należał do spisku socyalistów, do związku komunistów — i że

zostanie skazanym co najmniéj na lat dziesięć na Syberyą.

Wiedziałam, że do żadnego nie należał związku, że zasad socyalistów i komunistów nie podzielał, że żadnych i najlżejszych po temu nie miał stósunków i znajomości. Ale, gdyby w komisyi śledczéj podobny wyrok wydali — to i dokądże służyłaby apelacya?

Co sobotę posełałam bieliznę do cytadeli. Lecz nie przyjmowali prześcieradła, ręcznika i chustki do nosa. — Posełałam pieczeń, szynkę, chléb biały i sucharki — nadto i złotych pare na kawę. Zresztą nic więcéj. — Chélb rozkrawali zaraz, sucharki przełamywali, mięso pokrajali, czyli gdzie jakiéj nie ukryto karteczki...... To też zapewne i nie wszystko dostało się do celi więziennéj.

Przeminęła zima, a po Wielkiéj-Nocy poczęłam znowu przemyśliwać o nowém podaniu do księcia — zanim przyjdzie do kroków wojennych, które uważano jako nieuchronne.

2go maja poranek był prześliczny. Czułam się niezdrową, miałam chrypkę — lecz wybrałam się do radzcy stanu Jewieckiego pieszo, ze służącym: mieszkał poza Aleją Jerozolimską, zatém daleko odemnie. Sądziłam, że mnie cudne, wiosenne orzeźwi powietrze przechadzka pokrzepi. W drodze jednak poczułam, że chrypka się zwiększa.

Jewiecki przyjął mnie nader uprzejmie, udzielił rady — i pocieszona odeszłam.

Dziwnie znużona, wstąpiłam do pani Olszewskiéj na Nowym-Świecie, ażeby wypocząć. Litowała się nademną, bom bardzo pobladła. Chciała na obiad zatrzymać, potém swoją odwieść mnie karetą. Ale mnie było śpiesznie, bom chciała być jeszcze u pani Niny, ażeby mi, stósownie do rady Jewieckiego, utorowała drogę do pewnéj arcy-arystokratycznéj osobistości, przebywającéj często u Paszkiewicza.

Wróciłam do domu w gorączce — lecz poszłam do pani Łuszczewskiéj. Obiecała uczynić wszystko — chociaż z tamtym panem bardzo dalekie jedynie miała stósunki.

Wychodząc od pani Łuszczewskiéj, spotkałam pana S. — Powitał mnie i zagadał zaraz:

— Pani wychodzisz, a jesteś chora. Masz gorączkę.

Odpowiedziałam mu, za czém chodziłam.

— Pani moja! — zawołał — nie chdoź do tego człowieka! Nic nie zrobi, a jeszcze zadraśnie. Panią głaskać potrzeba, a nie ranić!...... Przedewszystkiem zaś idź pani do domu, bo jesteś bardzo chorą.

Pożegnałam go. Gorączką trawiona, wróciłam do siebie. Nazajutrz powstać nie mogłam. Dr. Chałubiński wyjechał był na wieś. Dworzaczka trudzić

nie chciałam — a byłby zaraz przyjechał, lubo że już żadnych nie odwiedzał chorych.

Przybiegł dr. Wirmański, który nie praktykował od r. 183?, gdy jemu, jako doktoryzowanemu w Krakowie, egzamin powtórny złożyć kazali. Dał mi jakieś chłodzące lekarstwo — i czekał, co będzie daléj.

Pan Z. Z. przyprowadził mi swojego przyjaciela doktora — i wysłał sztafetę po brata Klemensa. Nazajutrz z rana wrócił Chałubiński i zaraz przyszedł. — Wieczorem był już poczciwy Klemens przy mojém łóżku.

Chorowałam ciężko — bardzo ciężko na zapalenie płuc i wątroby — a podobno, że i tyfus się przyłączył. Chałubiński przybiegał do mnie po razy pare na dzień i przyzwał doktora Bącewicza, który mi prawdziwie ojcowską okazał troskliwość. Nadto widywał się Chałubiński i z dr. Dworzaczkiem, by mu o postępie choroby mojéj mówił. To i jakżeż ich nie mam z ciepło uderzającém sercem, ze łzą wdzięczności wspominać?

Jednemu dziwię się tylko i pojąć siebie nie mogę, żem nie zażądała wysłania prośby do Paszkiewicza, ażeby mężowi mojemu pozwolił odwiedzić mnie na dni kilka. Byłże umysł mój za słaby, za nadto rozmajaczony do powzięcia téj myśli? — Otaczający mnie także nie pomyśleli o tém — bo pewnie i nie byłoby się na nic przydało!

Pamiętam dziś jeszcze szczególne, gorączkowe marzenie, czyli majaczenie: zdawało mi się, że jestem w Indyach, że skwarne płomienie błyskotnego słońca jaskrawo-barwnie cały dziwnie piękny opromieniały krajobraz. Drzewa były zieleńsze jak u nas, lśniące świeżością i jakby o liściach kolących. Kory miały ciemne, połyskliwe. To znowu liście wielkie, rosą zbrylantowane, gdyby rozportarte wachlarze. Wkoło rosły kwiaty kolorów przecudnych, kształtów niewidzianych dotąd, we wszelkich odcieniach, jasne, świecąc, a purpurowych najwięcéj. Niebo było błękitne, nieokreślone ludzką mową. Wody gdyby zaczarowane zwierciadła. Domki prześliczne o kończastych daszkach z wieżycami złotemi, z oknami barw tęczowych. A wśród tego wszystkiego widziałam urocze dziewic postacie, w bieli ze złotem, z długiemi warkoczami czarnemi; starców o siwych brodach, w talarach białych i opaskach ponad czołem z błyszczących kamieni; jakichsiś rycerzy w oponach szkarłatnych i piórach powiewnych na głowach. Opowiadali mi dziwniejsze ponad wszystko podania: o cudach i czarach bożków — o mglistych duchach, pływających po przestrzeni......

Opowiadałam to wszystko dr. Chałubińskiemu — a byłabym tak chciała śnić dłużéj, tylko, że tam strasznie było skwarno — a widziane, słońcem pozłacane owoce, żółte, różowe, nie dosięgały ust moich, by przygasić pragnienie.

Chwile niedoli są najprawdziwszym kamieniem probierczym znajomych naszych, przyjaciół — ludzi prawych i szlachetnych.

Mieliśmy znajomego w Warszawie, którego tu nazwę panem Kajetanem. Młody jeszcze, wykształcony, miał niekiedy zupełnie odrębne widzenie rzeczy, ztąd i częste powstawały sprzeczki — ile, że August unosił się łatwo. Pan Kajetan nie zrażał się jednak i bywał.

Dnia jednego byli u nas pułkownikostwo Paszkowscy i on przyszedł także. Zagadałam się z panią. Panowie na drugim końcu pokoju dość żywą wiedli rozmowę. Dosłyszałam tylko, że pan Kajetan odzywał się przeciwko rewolucyi 1830 roku...... Nagle krzyknął August, uskoczył poza próg przyległego pokoju, pochwycił o drzwi silnie i aż targnął niemi, wzywając pana Kajetana, ażeby wyszedł, bo sobie nie dowierza — co też ten uczynił.

August wzburzony, pobladły, zasapany, upadł na krzesło — i coś tam gniewnie wyrzucił. Pułkownik parsknął śmiechem i aż za boki się ujął.

— Cóż to był za fajerwerk? zapytała pani Paszkowska.

— Potępiał powstanie 29 listopada — odrzekł August — a jam tego znieść nie mógł.

Pułkownik go ucałował, uściskał i wyrzekł:

— Chirurgu, chirurgu filozofii! Krew twoja kipi

wcale niefilozoficznie, że i lancetu byłoby potrzeba. Niech tam sobie prawią! Porządku rzeczy nie przemienią jednak. A to mi gorączka! Utoczyli ci krwi, ale warzy się zawsze.

— Przelałby ją pewnie i tamten w tej sprawie, ale po cóż plecie?...... Nie byłem panem siebie.

— Umityguj się, chirurgu.

Myśleliśmy, że pan Kajetan na wieczne obraził się czasy. Kłaniał nam się przy spotkaniu jak zwykle — a w dniu imienin moich przyszedł mi powinszować. Od czasu do czasu bywał znowu, jak gdyby nic nie było zaszło — ale już w żadne nie wdawał się rozprawy.

— Nazajutrz po aresztowaniu Augusta przybiegł zaperzony, zmartwiony szczerze. Wynurzał swoje serdeczne współczucie i ofiarował mi wszelkie swe usługi. Potém mówił o powyższém zajściu i wyraził się:

— Szanuję w panu Auguście to uniesienie, ten zapał i srogi gniew na mnie. Miał słuszność — bo krew przelewał i powinienem był zamilczeć i znać mores. No, ale takiém było przekonanie moje, bo, gdyby............ Ale na cóż tam jego powtarzać twierdzenia?

Podałam mu rękę — ze szczerém uczuciem szacunku.

Gdym chora leżała, oznajmiła mi dnia jednego służąca, że pan jakiś przyszedł, który koniecznie chce

widzieć się ze mną i bilet wizytowy podała: byłto pan Kajetan. Chciał widzieć się koniecznie — więc przyjęłam go. — Oświadczył mi głębokie współczucie, ubolewanie i wyrzekł, że chce pójść zaraz do jenerała Jołszyna, by mu wystawić chorobę moją, nieszczęście: że będzie nalegał o przyśpieszenie śledztwa.

Nie opierałam się téj szczeréj, przyjaznéj chęci: zezwoliłam — i poszedł.

Ubrał się po formie, gdyż był urzędnikiem, i kazał jenerałowi wizytę oznajmić swoją. Jołszyn go przyjął w salonie grzecznie, uprzejmie — i podał mu fotel.

— Przychodzę w interesie — przemówił poważnie nader.

— Jakiż to interes?

— Ażeby śledztwo w sprawie Augusta Wilkońskiego przyśpieszoném zostało. Żona jego chorą jest bardzo. To uwięzienie niewinnego człowieka wielkiem jest nieszczęściem.

— Zkądże pan przychodzisz do tego, byś za Wilkońskim przemawiał?

— Jestem Polakiem i on jest Polak. Gdyby był Niemcem lub Żydem, nie zrobiłbym tego. Weź pan jenerał sprawę tę pod rozwagę: bo jest krzywdą nienagrodzoną dręczyć znieszczęśliwione osoby! — Powstał, pokłonił się i wyszedł.

Może być, że to przemówienie nie pozostało bez

wpływu. Ale gdyby i nie, to wdzięczne wspomnienie należy się zawsze panu Kajetanowi! — Mąż mój uszanował charakter jego.

W tym samym tygodniu pojechała także pani G. wdowa po wysokim urzędniku, do Jołszyna — i wstawiła się za mną. Bywał kiedyś w ich domu za życia męża — znała go dość dobrze i gorliwie przemówiła do niego. Dzięki i téj zacnéj ze wszech miar niewieście!

W ciągu dalszym choroby mojéj budzę się dnia jednego i czuję się jakby zdrową zupełnie, a nawet i silną. Przychodzi brat Klemens i mówię mu:

— Jestem zdrowa, jak ryba...... Wstanę!

Spojrzał się na mnie — i w milczeniu smutno zwiesił głowę. Wziął mnie za puls — i lekarstwo mi podał.

Gdy o 9 przyjechali doktorzy, byłam głucha — przytomna niby, ale ciało postradało czucie. Nastąpiła recydywa.

Dr. Chałubiński przychodził po razy pare na dzień — i po północy. Musiało być ze mną źle bardzo. — Nie obawiałam się śmierci i tylko miałam na myśli, że już mnie August nie zobaczy! — Mówiłam to nawet i doktorowi.

Wreszcie niebezpieczeństwo minęło. Lecz byłam

słabą i wycieńczoną ponad wszelki wyraz. Brat Klemens musiał do Górzna pojechać, bo zbliżał się wełniany jarmark.

Odwiedzały mnie znajome panie, ale dr. Chałubiński nikogo do mnie puszczać nie kazał. — Marzyłam tylko o tém, jak pojadę do ogrodu Belwederskiego i napiję się wody sodowéj: to przedstawiało się w wyobraźni mojéj, jako szczyt najwyższéj roskoszy.

Smutno — tęskno — okropnie mi było. Więc czytałam — czytałam wiele — żem aż wzrok traciła. — Pociecha znikąd nie nadpływała — przytém jeszcze i ta niemoc straszna!

Zaczęłam wstawać — i posadzili mnie w fotelu, przy łóżku, za parawanem. Dnia jednego, będąc sama, podniosłam się — i chwytając za meble wkoło pokoju, zaszłam do okna, bez tchu niemal. Upadłam na krzesło -- i wyjrzałam na świat. Jakżeż mi się żółto przedstawiało wszystko — a plac przed teatrem wielkim — i wielkiemi kamienice wkoło. — Dziwne to było, a pamiętne na zawsze.

Dnia jednego zasiadłam w saloniku, na fotelu wygodnym, ostawiona parawanem, jakby w altance, mając stolik z książkami przed sobą. Przyjmowałam kto na mnie był łaskaw — bo tęsknota za ludźmi była zbyt wielką. — Jednym z pierwszych odwiedził mnie poczciwy Oskar Kolberg. — Zapytał: czyli mnie pani Seweryna Pruszakowa odwiedzić może? — Pro-

siłam bardzo, by przyszła. — Biedna, właśnie wielką przeznała boleść. — Przybyła nazajutrz. Powitałam ją uściskiem szczerym. Zabawiła godzin kilka — mówiłyśmy dużo — i niby mniéj tęskno mi było. — Pani Ferdynandowa Biesiekierska przyjeżdżała niemal dnia każdego — zacna, poczciwa, szlachetna była to kobieta! — Och, gdyby Marya moja była żyła wtedy! — Rekonwalesencya bywa przykrą zawsze i tęskną..... A życie, odmłodzone po chorobie, ciężyło mi niby.

Z pośród wszystkich jednakże cierpień i bólów, jakie życie przepełniły moje, — wyniosłam to błogie a przewielkie i rzadkie przekonanie: znalazłam w życiu przyjaźń prawdziwą i bezinteresowną. — Wierną i przywiązaną sługę, raczéj opiekunkę. Przyjaźń prawdziwą, bezinteresowną — i jakby ojcowskie, troskliwe przywiązanie w bracie męża mojego! — Pamięć taka pociesza — jest najpiękniejszą ozdobą życia — a Bogu za to podzięka na wyższa!

Przybył brat Klemens z synem Ludwikiem — ucieszyłam się ich widokiem — i miłe otoczyło mnie życie.

Wyjeżdżaliśmy dnia każdego dorożką na świeże powietrze — ale znosić mnie musieli ze wschodzów i wnosić po wschodach. — Do Łazienek, ani do Belwederskiego ogrodu nie można jednak było pojechać: rezydował tam wtedy car Mikołaj — i układano plan wojny węgierskiéj. Wojska przybyły masy, jenerało-

wie ciągle po ulicach ujeżdżali. Ruch wojskowy był ogromny.

Szczególna — gdym raz pierwszy wyszła na ulicę, nie czułam bruku pod stopami wcale — jak gdybym unosiła się w powietrzu.

Panie Olszewska, Biesiekierska, Kochańska woziły mnie w Aleje, do Mokotowa, do Wilanowa, do Marymontu. I świeże powietrze głównie siły moje podniosło wkrótce.

Gdym więcéj przyszła do siebie, napisałam powieści: „Gabryelę,“ drukowaną w Bibliotece Warszawskiéj, — „Wawrzyn,“ — „Dziecię szczęścia i dziecię niedoli,“ drukowane w „Wiązance literackiéj“. — Nadto i artykułów kilka: do „Muzeum malowniczego,“ Merzbacha, do „Życiorysów“ Wójcickiego i t. d.

W sierpniu przybył znowu brat Klemens w celu poczynienia nowych starań o uwolnienie Augusta — raczéj do przyśpieszenia śledztwa, które dotąd nie postąpiło wcale.

Pan Klemens pojechał nazajutrz rano do cytadeli. Widział się z Żuczkowskim, który — jak zawsze — zbył go niczem. Jenerała Staniukowicza nie zastał.

Pojechaliśmy do niego zatém po obiedzie oboje około godziny 5. — Byłam bladą, jak mara. Staniu-

kowicz litował się nademną i obiecał ostatecznnie wpłynąć na Jołszyna. — Mówił o tém i o owém, a wróżył rychły koniec wojny węgierskiéj.

Wtém otwierają się drzwi — i wchodzi Jołszyn. Zadrgnęłam we wnętrzu. Pokłonił się i usiadł. Przedstawień nie było, żadnych — a wyglądał, jak gdyby nie wiedział, kto jestem. Rozmawiał ze Staniukowiczem coś tam o koniach — to po rosyjsku, to po polsku. Potém zwrócił się Staniukowicz ku mnie i mówił o chorobie mojéj, uważając, żem jeszcze bardzo mizerna.

Po chwili pożegnaliśmy się. Niedaleko mieszkania Staniukowicza spotkaliśmy pułkownika Rudzewicza, zmierzającego tamże. Pokłonił się z uśmiechem uprzejmym — a nawet znaczącym. Byłam pewną, że umówili się ze Staniukowiczem, który Jołszyna zaprosił — by pospołu wpłynęli na niego. — I błogosławiłam im!

W następną sobotę kazał mi Żuczkowski powiedzieć: że mogę mężowi posłać cygara, fajkę i tytuń.

Boże! jakżeż się czułam szczęśliwą! Był to albowiem znak pewny, że śledztwo już ukończonem zostało. Wybiegłam na miasto i kogo tylko spotkałam ze znajomych, opowiadałam: „Mogę Augustowi posłać fajkę, tytuń i cygara!“

Poszłam do Wójcickich, do pani Niny — ażeby się ze wszystkimi życzliwymi tą drobną obdzielić nowiną.

W pare tygodni potém, wezwał mnie ordynans jenerała Jołszyna, ażebym przyszła do niego, bo będę mogła widzieć się z mężem.

Nowe wzruszenie i nowa radość! O jakże znękanemu, zbolałemu, niewiele do szczęścia potrzeba! — Bierzcie ztąd naukę, wy wszyscy, którzy darów Bożych, życia rodzinnego, swobody bytu, dostatecznie nie umiecie ocenić! —

Poszłam nazajutrz zaraz do Jołszyna. Przyjął mnie o wiele względniéj, w salonie, i siedzieć prosił.

— W czwartek będziesz pani mogła widzieć męża — ozwał się zaraz — przez minut dziesięć, na sali posiedzeń.

— O któréj godzinie?

— O drugiéj. Będę tam także. Ale nic pani mu nie mów, coby sprawę jego pogorszyć mogło.

— Panie jenerale! złożyłam dłonie — wszakżeż śledztwo żadnéj winy nie wykazało?

— Socyalizm....

— Och, nie, panie jenerale!

— Zresztą śledztwo jeszcze nie ukończone. Powstał. Podniosłam się także.

— Zatém w czwartek.

— Dziękuję, panie jenerale — pokłoniłam się i wyszłam.

Starałam się tych panów nigdy nie drażnić niczem: ani słowem, ni téż wejrzeniem dumném, wyzywającém,

ak to dzieje się nieraz, a potém zaszkodzi. Zachowałam się zupełnie spokojną, łagodną, grzeczną — bez cienia najlżejszego upokorzenia, — i też zawsze przynależnego doznawałam szacunku.

W przyszły więc czwartek pojechałam do cytadeli. Towarzyszyła mi uprzejmie panna Marya Paliszewska z Poznańskiego, bawiąca na ówczas w Warszawie, i wdowa wiekowa, pani Komornicka. Wysiadłyśmy przed mieszkaniem Żuczkowskiego. Nie duża to kamieniczka o piętrze, żółto pomazana, jak i cała cytadela — przypierająca do wysokiego muru, który się gdzieś długo ciągnie. W murze tym była krata żelazna, którędy na wewnętrzny wchodziło się dziedziniec. Przy kracie dwie stały warty. Żołnierze, szarki, nie po służbie, kręcili się tam i sam; toż samo i żandarmi.

Zapytuję jednego o kapitana Żuczkowskiego. Odmruknął i poszedł dalej. Warta od muru odpędzała. Zapytuję żandarma, ten coś odpowiada, lecz go nie rozumiem. W tém nadchodzi niańka z dzieckiem na ręku, wiochna polska — i zapytuje:

— Czego to panie chcecie?

— Mam dziś zobaczyć męża mojego, który tu jest więziony — odpowiedziałam — i chcę widzieć się z panem kapitanem.

— Jest teraz w biórze.

Zwróciła się do żołnierza i łamanem językiem

pół polskim pół ruskim, kazała mu pójść pana kapitana poprosić. Żołnierz niańki usłuchał i pobiegł.

Chodzimy tam i sam. Patrzymy na żółte mury. Niańka opodal chodząc, śpiewała. Długa upłynęła chwila, gdy wreszcie Żuczkowski nadszedł.

— Pan jenerał jeszcze nie przyjechał — wyrzekł. — Zaczekaj tam pani! wskazał mi sień swojego mieszkania i odszedł.

Weszłyśmy do sieni i usiadłyśmy na wschodach, wprost słońca południowego, bo sionka była mała.

Upłynęła może godzina, gdy wreszcie jenerał nadjechał, a z nim dwóch cywilnych. Podniosłam się. Wszyscy trzej weszli na wewnętrzny dziedziniec, który żandarm otworzył — i usiadłam znowu.

W pół godziny potém przyszedł żandarm i skinął, bym z nim poszła. Weszliśmy w dziedziniec — a żelazna krata zamknęła się za mną. Na dziedzińcu był odwach, i żołnierze stali pod bronią, gdyśmy przechodzili. Żandarm otworzył drzwi żelazne w murze, i na drugi weszliśmy dziedziniec. Tutaj drugi przyłączył się żandarm: jeden szedł przedemną, drugi za mną. Weszliśmy do drugiego, żółtego budynku. Nie śmiałam obejrzeć się. Szliśmy po wschodach kamiennych.... O mój Boże! niegdyś biegali po nich żoliborscy uczniowie — weseli, swobodni — nieprzewidujący bynajmniéj jak straszne czeka je przeznaczenie!

Szliśmy długim korytarzem. Zdaje mi się, że

z jednéj i z drugiéj strony rzędem drzwi były. Wprost, przy dużych podwojach stało kilkunastu żołnierzy pod bronią.

— Poczekajcie! — wymówił żandarm, wszedł po wschodach kilku, otworzył drzwi i zniknął poza niemi. Po krótkiéj chwili wyszedł ztamtąd z Żuczkowskim.

— Niech pani idzie! zawołał na mnie dozórca więzienny.

Weszłam na wielką salę. W końcu, na lewo, pomiędzy dwoma oknami stał długi stół wzdłuż wysunięty na środek, zielonėm suknem pokryty. Na pierwszém miejscu siedział jenerał Jołszyn. Po jednéj stronie Lajchte i jeszcze jakiś oficer; po drugiéj trzech czyli czterech cywilnych. Był pomiędzy nimi sędzia.... po cóż tam mymieniać nazwisko?! Uwzględniam rodzinę, — i sekretarz Blumenfeld, dość znany w Warszawie.

Podano mi krzesło — bo chwiałam się podobno.

— Pani zobaczysz męża przez dziesięć minut — odezwał się Jołszyn — ale nic pani nie mów, z czém nie należy się odezwać.

— Tak dodał Lajchte — zważaj pani na siebie, bo inaczéj przerwiemy zaraz rozmowę.

— Rozumiem.... — odrzekłam.

— Niechże przyjdzie więzień — rozkazał Jołszyn Żuczkowskiemu.

Wyszedł. Potrwała chwila, która wydała mi się dość długą. Milczeli wszyscy. Słyszałam silne uderzenia własnego serca. Sala niby obracała się ze mną.... Doleciał szmer zbliżającéj się stopy .... To on! — Tchu mi nie stało! — Otworzono drzwi — wszedł August .... blady — bez chustki na szyi. Powstałam — posunęłam się ku niemu — podaliśmy sobie ręce.

— Jak się masz? zapytał — zdrowaś?

— Jestem zdrowa teraz...

— Chorowałaś?... Widzę....

— Chorowałam. Ale teraz zdrowa jestem zupełnie. A ty?

— Zdrów jestem.

Umilkliśmy — bo i cóż mieliśmy powiedzieć?

— Cóż robi brat mój Klemens?

— Zdrów.

Umilkliśmy znowu.

Laichte spojrzał na zegarek.

— Jest już dziesięć minut — wymówił.

Żuczkowski przystąpił do Augusta.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Odszedł.... Słuchałam poszmeru odchodzących, bezprzytomna niemal.... Skłoniłam się. Wyszłam. Znowu dwóch towarzyszyło mi żandarmów — i oddaliłam się jak, przyszłam. Anim wiedziała, jak przebyłam dziedzińce obadwa — jak znowu znalazłam się przy wschodach, gdzie na mnie moje towarzyszki czekały.

Wsiadłyśmy do dorożki i w milczeniu powróciłyśmy do miasta.

Na początku listopada powiadomili mnie czuwający łaskawie nademną: że śledztwo już ukończone, że męża lada dzień do twierdzy wywiozą — na rok jeden do Zamościa. Wysłałam przeto natychmiast sztafetę do brata Klemensa. I przybył nazajutrz.

Poszedł nasamprzód do majora Placu, jenerała Tuczek, z przedstawieniem: czyliby brat jego, gdyby do Zamościa skazanym został, nie mógł w Placu, w Warszawie odsiedzieć kary. Ile, że w Placu często osadzali więźniów. Byłoby to, oczywiście, wielkiem dla nas ułatwieniem.

— Co pan myślisz? odrzekł jenerał — w Placu żaden polityczny więzień siedzieć nie może. Tutaj osadzają tylko ludzi honorowych za defraudacyą, za nadużycie w służbie.... — ale nie rewolucyonistów, nie miateżników, chciał dodać zapewne.

Po objedzie pojechał brat Klemens do cytadeli i udał się do Żuczkowskiego.

— Przychodzę z prośbą — wymówił — ażebyś mnie pan powiadomił: kiedy brata mojego wywiozą, bo mu trzeba ciepłe przysposobić ubranie.

— Nic nie wiem — odrzekł tak zwany **Murdak.**

— Podobno że śledztwo już ukończone?

— I tego nie wiem.

Od Żuczkowskiego pojechał do Staniukowicza.

— Zapytam i myślę, że dowiem się — obiecał jenerał. — Powinni przecie powiadomić, bo jakżeżby bez rzeczy pojechał?

Była godzina siódma, gdy pan Klemens powrócił.

Nazajutrz, około godziny dziewiątéj z rana, przychodzi żandarm z powiadomieniem: „Mąż wasz, August Wilkoński, aresztant, wczoraj wieczór o godzinie szóstéj, wywiezionym został do Zamościa, jako skazany na rok jeden.“

Wywiezionym wtedy został właśnie, gdy brat Klemens jeszcze był w cytadeli!! —

Zawieźli męża mojego nasamprzód do Placu, a potém Krakowskiém Przedmieściem na Pragę — i daléj: w płaszczu żołnierskim, na bryczce otwartéj, ekstrapocztą.

— „Odetchnąłem piersią całą — opowiadał następnie — patrzyłem się po ulicach Warszawy, jakby na zaczarowane pałace. Chodnikiem na Krakowskiém-Przedmieściu przechodził * i Z. — „Dobry wieczór!“ — zawołałem, ale i nie obejrzeli się wcale, może nie poznali. Siedzący obok żandarm milczenie nakazał.“

Jechał ciągle przez noc całą, bez wytchnienia, dopóki w Zamościu nie stanął.

Brat Klemensa rzeczy wysłał za nim zaraz, na ręce komendantury w Zamościu.

Wracający z twierdzy, gdzie przez rok zostawał, wydany z Prus, pan P. — przywiózł mi wiadomość od Augusta: był zdrów; siedział na Bramie Szczebrzeskiéj, w jednéj kazamacie z majorem Grossem, oficerem polskim z r. 1831, który w kampanii węgierskiéj ujęty został; niepokoił się o mnie, pragnął wiadomości bliższéj o zdrowiu mojém i powodzeniu. Napisałam do niego zaraz na ręce komendantury, donosząc: że wkrótce odwiedzę go w Zamościu.

Zrobiłam podanie do księcia o pozwolenie: ażebym męża mojego odwiedzić mogła — i niecierpliwie na odpowiedź czekałam.

Dnia jednego wbiega do mnie zacny przyjaciel domu naszego, pan S.

— Pani wybierasz się do Zamościa? zapytał.

— Czekam tylko na pozwolenie.

— Jest tu prezydent miasta Zamościa p. Kossakowski, uczynny i dobry człowiek, który może pani w niejedném być pomocą i przysługą. Jeżeli więc pani pozwolisz, to go przyprowadzę.

— Owszem, proszę! Będzie mi ulgą mieć tam kogoś znajomego.

Panu S., znanemu z prawości i honoru, ufałam bezwzględnie, i wdzięczną mu byłam, że pamiętał, aby mi dogodzić.

Przyszedł z nim zatém pan prezydent Kossakowski siwy już jegomość, niski, krągławy, rumianego lica,

uśmiechnięty dobrodusznie: ofiarował opiekę swoją i przyrzekł, że mi we wszystkiem usłuży — co téż z wdzięcznością przyjęłam.

Po dwóch blisko tygodniach nadeszło pozwolenie księcia, w rosyjskim języku: że mogę na dwa tygodnie do Zamościa pojechać. Wybrałam się więc i pojechałam do Górzna, zkąd w dalszą miałam udać się podróż.

W Górznie otworzono mi serce, tak jak zawsze. Chciałam zaraz pojechać daléj — ale ciężkie schwyciły mrozy, i brat Klemens podróż moją powstrzymał. Śniegi leżały duże -- i urządzono dla mnie powóz na saniach.

W niecierpliwości żyłam z dnia na dzień — a tu mrozy nie wolniały, i zwiększyły się raczéj. Miał ze mną jechać dla opieki i bezpieczeństwa stary i dawny rezydent górzeński, pan Trepka Nekanda: starzec liczący blisko lat dziewięćdziesiąt, ale zdrów, silny i wytrwały, jak ryś; poczciwy, duszą i ciałem do rodziny przywiązany górzeńskiéj. Mąż olbrzymiego apetytu, który podziwiać było trzeba. Zwykle nie wiele mówił, ale gdy się rozgadał, prawił duby smalone o duchach, wiedźmach, djabłach, czarach i t. p. — Polak gorący, na wszystko, co się działo przez obcych i wrogów zrządzone, pogardliwie machał ręką, Polsce wielką przepowiadając świetność.

— Wszystko to do czasu — mawiał — czart

wypłynie i zawadza, bo Pan Bóg ludzi próbuje, ale potém schwyci go za kark i w piekło wtrąci na wieki.

Wiedział, że przodek jego był jeńcem na Litwie, a następnie w orszaku Aldony Kiejstutówněj, narzeczoněj królewicza Kazimierza, do Krakowa powrócił. — Zkąd on to wiedział? Bóg wie! — Utrzymywał, że tę tradycyą, w rodzie jego, podawało pokolenie pokoleniu.

Powóz na saniach był gotów. Rzeczy moje upakowane. Pan Trepka Nekanda wybrany — mróz nie ustawał!! —

Wreszcie dnia jednego wbiegł brat Klemens do pokoju. Bierze mnie za rękę, prowadzi do okna i wskazując niebo, mówi:

— Podśwituje od zachodu. Będzie odwilż. Jutro bratowa wyjechać może, bo i mróz zwolniał zupełnie.

Jakżeż byłam szczęśliwa!

Nazajutrz wyjechaliśmy zatém. Trepka Nekanda w tęgim kożuchu, czerwonym opasany szalem, w ogromnych butach i lisiéj czapce, usiadł obok stangreta — poczciwego Stacha — bo inaczéj ani chciał słuchać! Obok mnie, spowitéj jak dziecko w różne ciepłoty — opatrzoněj we wilki w nogach, usiadła służąca, panna Karolina, rumiana i uśmiechnięta, rada z podróży.

Skinęłam raz jeszcze zacnemu bratu, bratowéj i chłopcom, stojącym przededworem — i ruszyliśmy

szczęśliwie z miejsca, z modlitwą w sercu, w myśli i na ustach.

Nocleg pierwszy wypadł w Garbowie — nie bardzo wygodny, o co mniejsza! — a drugi w Lublinie.

W czasie rekonwalescencyi mojéj odwiedziła mnie pani Zofia Ścisłowska z Lublina, znana literatka, wydawczyni noworocznika Fiołek, autorka Wspomnień z Przejażdżki po kraju, — Powieści dla młodego wieku i t. d. — Wdzięczne o niéj przechowałam wspomnienie — bo odwiedziła mnie przez współczucie, jako nieznajoma mi osobiście.... — Wieczorem kazałam z hotelu odprowadzić się do niéj. Była mi rada — i miły spędziłam z nią wieczór. — Państwo Ścisłowscy mieszkali w dziedzińcu klasztoru OO. Bernardynów.

Lublin.

Lublin nad rzeką Bystrzycą, wzniesiony na wzgórzu, nader ładne i malowne ma położenie. Wieże licznych kościołów i szczyty wysokich budynków wspaniały przedstawiają obraz. Jest miastem bardzo starożytnêm, bogatêm w dawne gmachy a ozdobne, że i na każdéj ulicy zajmujący i obrazowy otwiera się widok. W niektórych miejscach na duże wygląda miasto — na dawną stolicę.

Brama Krakowska sięga epoki Kazimierza Wielkiego. Wystawiło ją miasto w r. 1342. Można tu postać i podumać w obec tego dawnego zabytku — tak, jak przy Bramie Floryańskiéj w Krakowie. Bo one strzelnice, blanki, przejazd pod sklepieniem — jakież uobecniają wieki! — Od strony miasta, umieszczonym jest ponad wjazdem obraz zamykany św. Antoniego, w srebrnéj sukience. Od strony Krakowskiego

Przedmieścia obraz Najświętszéj Panny, oraz świętych Michała i Floryana.

Krakowskie Przedmieście od Bramy Krakowskiéj ku Rogatce Warszawskiéj, nazwanoby piękném i w każdém większém mieście. Najpiękniejsza to ulica Lublina, a całkiem w nowoczesnym guście.

Kościółek św. Ducha przy Krakowskiém Przedmieściu powstał ze składek mieszczan lubelskich w r. 1342, ale restaurowany po razy kilka, całkiem cechę dawności utracił. — Szpital św. Ducha, w którym Sebastyan Klonowicz smutnego dokonał życia, w r. 1608, dziś tylko już przedstawia ruinę, świadczącą o dawnéj architekturze, w pozostałych dziwnych odłamkach: jakby mieszkanie duchów. Szczególniéj fantastyczny w świetle księżycowém uwidomia obraz — że i rozmarza.

Ratusz wzniesiony na miejscu spalonego kościoła ks. ks Karmelitów w r. 1803, przyozdobiony czterema kolumnami jońskiego porządku, piękny stanowi budynek.

Najnowsza i najpiękniejsza część Krakowskiego Przedmieścia, nosi nazwę Ulicy Warszawskiéj. Ma piękne, okazałe budowle. Najcelniejszą stanowi gmach Rządu Gubernialnego, przerobiony z dawnego Radziwiłłów pałacu, umajony w koło klombami wdzięcznemi.

Opodal stoi kościół ks. ks. Kapucynów, odznaczony poważną prostotą, i przypomina kościół Kapu-

cyński w Warszawie. Fundatorem tegoż był Paweł Sanguszko w r. 1720. — W podziemiach spoczywają ciała książąt Sanguszków.

Naprzeciw kościoła przemawia do nas najważniejsza pamiątka Lublina: pomnik zawartéj tutaj w roku 1569 Unii Litwy z Koroną, dnia 12 sierpnia. Obelisk z żelaza, w miejscu dawnego, murowanego, stanął po roku 1815. Wyobrażone na nim są w płaskorzeźbie dwie postacie niewieście, Korona i Litwa, podające sobie dłonie. — Patrzyłam się z silném wzruszeniem na tę pamiątkę, ale i z żalem, że dawny raczéj nie pozostał pomnik. Obelisk smukły stoi na nasypie trawą porosłym, w otwartém miejscu. — Na dawnym pomniku miały być wyobrażone pastacie królowéj Jadwigi, i Władysława Jagiełły.

Rynek dość obszerny znaczy i zajmuje szczególniéj charakterystyczna budowa kamienic — zabytki arcydawne, z czasów świetności miasta. Środek stary ratusz stanowi, gdzie odbywały się niegdyś owe sławne kadencye Trybunału, — gdzie podług staréj legiendy, szatan z pocztem swoim zjechał z piekła, by niesprawiedliwy wyrok, pozbawiający sierocą wdowę jéj mienia, odwołać czyli zniszczyć: piekło okazało się sprawiedliwszém od sędziów trybunalskich, którzy ohydnie sponiewierali w dawnéj Polsce zasadę, tak pięknie wypowiedzianą przez Wincentego Pola:

„Jeżeli cześć się kiedy oddawała cnocie,
To nieszczęście poczczono w wdowie i sierocie,
„Wdowa!“ — to słowo było pobudką czułości,
A jak we łzach się zlewa żal wszystkich żałości, —
Tak w tém słowie leżała serdeczna wymowa,
I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł: „Wdowa!“ —
Wdowie w pomoc pośpieszyć nie było zasługą,
Bo z jéj błogosławieństwem biegło szczęście strugą,
Ale wdowę ucisnąć — to więcéj niż zbrodnia,
I już za życia w sercu piekielna pochodnia!“

Budowa starego ratusza stanęła w r. 1339, na samym początku panowania Władysława Jagiełły. Restauracya gmachu za Stanisława Augusta, z ujmą dla starożytności, w nowym stylu wykonaną została. Późniejsze naprawy większe jeszcze sprowadziły zmiany.

W tym Trybunale Koronnym dla Mało-Polski, zakończył życie Jan Kochanowski 22 sierpnia 1584 r. — tknięty apopleksyą, w obec króla Stefana, stawając w obronie Podlodowskiego, brata żony i przyjaciela.

Portrety królów i prymasów, zdobiące dawniéj sale, dziś w pakach leżą pod strychem — w pyle — na zniszczenie — szczurom i myszom oddane! — Że się téż żaden Rinaldini nie znalazł, któryby je ztamtąd zabrał.

Szczególniéj, a bardzo zajęła mnie kamienica Sobieskich pod nr. 12. Na początku wieku XVII była

własnością Marka Sobieskiego, ojca Jana III. Dziś ma dwa piętra, a wtedy miała cztery. Pięć okien ma frontu. A dziwna, że każde okno pierwszego piętra inne z gipsu oznaczają ozdoby. Ponad środkowém upatrują w głowie rycerskiéj w hełmie, podobieństwo do bohatyrskiego wybawcy Wiednia. A jednakże, gdy te ozdoby wykonywano, Jan Sobieski jeszcze rycerzem nie był. Duch znać wieszczy natchnął rzeźbiarza. Ponad dwoma oknami z lewéj strony, są w medalonach herby Lubicz i Mora. Ponad dwoma drugiemi różyce tylko. W czasie wojny z Karolem XII stanął w niéj car Piotr główną kwaterą.

Z rynku wychodzi się w Grodzką Ulicę — co znowu przypomina Kraków. — Dawna brama przypominała podobno także Krakowską — dziś już całkiem przeistoczoną została.

Zamek, gmach wielki, czworoboczny, na wzgórzu, z basztą, imponuje, jako zabytek dawny a okazały. Wymurował go Kazimierz Wielki. Lecz na tém miejscu kazał już Bolesław Chrobry 1025 r. zamek z drzewa wystawić. Tatarzy go spalili w r. 1240. Ale książę Halicki, Daniel, zająwszy Lublin, miasto otoczył wałem, zamek wzmocnił, i wieżę okrągłą, murowaną, pośród niego wznieść kazał. W zamku odbywały się sądy wójtowskie, ziemskie i grodzkie. Przez lat kilka mieszkali tam synowie Kazimierza Jagiellończyka, pobierając naukę od Długosza, Grzegorza z Sanoka i Kali-

macha. Zygmunt I i Zygmunt August w nim przebywać lubili. Stefan Batory zjeżdżał zawsze z dworem swoim na roki trybunalskie — i wielu deputowanych, panów i szlachty. Przepych i wystawność panowały wtedy w Lublinie, bo wiele osób jedynie dla zabawy przybywało. Zjeżdżały rodziny z Rusi, Podola, Wołynia i t. d.

Władysław Jagiełło wystawił kaplicę w obrębie zamku, poświęconą św. Trójcy — i ta najwięcéj cechę starożytności przechowała. Styl jéj jest gotycki. We wielkim ołtarzu znajduje się obraz Bogarodzicy. Małe obrazki wkoło są przez znawców cenione.

Ulica Złota prowadzi z Rynku do kościoła Dominikańskiego, który, jak gdyby ją zamykał. Wybudowanym został przez Kazimierza Wielkiego. W późniejszych przerobieniach stracił także piętno poważnego stylu gotyckiego.

W połowie 16 wieku wybudowali Firlejowie przy nim kaplicę, przeznaczając podziemię na grób rodzinny. Zdobią ją piękne sztukaterye gipsowe.

Pomiędzy grobowcami najpiękniejsze są trzy pomniki Firlejów: Michała, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkokoronnego — Piotra, wojewody ruskiego — i brata jego Mikołaja, który w młodym wieku poległ pod Sokalem. Grobowiec dwóch pierwszych przedstawia w płaskorzeźbie dwóch leżących rycerzy.

Druga odznaczająca się kaplica jest poza wiel-

kim ołtarzem, fundacyi wojewody kijowskiego Janusza Tyszkiewicza roku 1658. Zdobią ją sztuki bogate i malowidła. Mianowicie obraz znalezienia drzewa św. krzyża, bo kościół Dominikański posiada jednę z największych części tėj relikwii.

Umieszczonym jest tam także portret Janusza Tyszkiewicza w stroju niby ze szwedzka, z zarzuconą na wierzch szubą. Przy głowie wymalowany herb Leliwa, po drugiėj stronie wyobrażenie relikwiarza drzewa św. krzyża, na którego oprawę 6666 dukatów złożył.

Kościół Dominikański mieści w sobie ośmnaście ołtarzy i dziewięć kaplic.

Roku 1569, 12 sierpnia, w kościele Dominikańskim w Lublinie podpisanym został akt Unii Litwy z Koroną. *)

Stara Fara: kościół św. Michała, założonym został przez Leszka Czarnego 1282 jako podzięka za odniesione nad Jadźwingami zwycięstwo. Spalił się przy pożarze miasta r. 1575, a wybudowany na nowo dopiero r. 1610. Kopułę przebudowała kapituła, raz w r. 1741, a potėm 1771. Gdy w ostatnich czasach szczyt wieży pochylił się w jednę stronę widocznie, rozebranie jėj nastąpiło. Późniėj uznano, że gmach stary już naprawy nie wytrzyma i rozebrano kościół ostatecznie r. 1858. — Stał na przedmieściu Czwartek, w blisko-

*) Starożytności Polskie.

ści zamku. — Pomniki wszystkie przeniesione zostały do kościoła katedralnego. Z tych był najważniejszym Sebastyana Klonowicza, fundowany przez krewnego poety, Sebastyana Kajek, i tablica z ciemnego chęcińskiego marmuru z napisem łacińskim, który sobie poeta przygotował za życia.

Opodal kościoła jest dom, niegdyś mansyonarzy, starożytny bardzo. Ponad drzwiami wchodowemi znajduje się rzeźba Salwatora Rosa, z kamienia wykowana, którą Sierpiński w swoim „Obrazie Lublina“ za popiersie Leszka Czarnego podaje.

Dawniejszy kościół Jezuitów, św. Jana, należy do najpiękniejszych. Fundował go wraz z gmachem szkólnym Bernard Maciejowski, biskup krakowski, następnie arcybiskup gnieźnieński, r. 1582. Po zniesieniu Jezuitów zajmowali go ks. ks. Trynitarze. — Gmach piękny, okazały, już pod dzisiejszym rządem wyrestaurowany, na katedrę przeznaczonym został. Na sklepieniu są malowania: św. Jan stawiony przed Heroda — Chrzest Pana Jezusa — Przemienienie Pańskie — Chrystus między doktorami. Obrazy te wykonał Józef Majer r. 1757. Pomiędzy kaplicami są wielkie płaskosłupy i malowania roccoco.

W wielkim ołtarzu zwraca uwagę obraz, przedstawiający chrzest św. Jana, pięknego pędzla włoskiego. Po bokach umieszczono herby: Sas i Topór. Obok wielkiego ołtarza dwa olbrzymie obrazy: ścięcie świę-

tego Jana — i Chrystus, błogosławiący św. Jana Ewangielistę.

Zakrystya szczególną budzi ciekawość: eliptyczne jéj sklepienie głos tak silnie odbija, że cicho wymówione wyrazy przy jednéj ścianie dosłyszeć można u przeciwległéj, przyłożywszy doń ucho. Malowania są w tym rodzaju, co w kościele.

Kościół ks. ks. Bernardynów i klasztór wybudowane r. 1439. Fundator niewiadomy, a tak troskliwie się utaił, że woźnica skrzynię żelazną z sumą przeznaczoną, pozostawił wraz z wozem w uprzęży czterech wołów ukraińskich przed ratuszem. Gdy nie powrócił wcale, otworzono skrzynię, w któréj obok pieniędzy było pismo do burmistrza miasta, Jakóba Kwanty, i do obywatela miejskiego, Franciszka Grabowskiego, wyrażające wolę szczodrego dawcy i ażeby się dopełnieniem téjże zajęli.

W skarbcu przechowanym jest kufer na 3 wrzeciądze zamykany, kształtu jak karawany do wywożenia zmarłych Żydów. Zakonnicy utrzymują, że to jest ten sam, w którym fundator pieniądze przesłał.

Kościół Panien Brygidek, a dziś Wizytek, wystawił Władysław Jagiełło po odniesioném pod Grunwaldem nad Krzyżakami zwycięstwie r. 1426. Uposażył go bogato i kosztowne nadał ozdoby. — Dziś znajduje się przy nim pensya panien.

Kościół i klasztor PP. Karmelitanek, dziś Sióstr Mi-

łosierdzia — fundowała Zofia Danielewiczówna, podskarbina wielko-koronna, na początku osiemnastego wieku.

Cerkiew Bazyliańską założył Zygmunt III roku 1588 przy ulicy Ruskiej.

Kaplica grecka wybudowana została ze składek przez kupców greckich.

Cerkiew rosyjską przerobiono z kościoła Panien Wizytek, fundowanego przez Leszczyńskiego, kaliskiego wojewodę, 1702. Klasztór zgorzał — przyczém spaliło się 27 panien.

Kościół ewangielicki na Krakowskiém Przedmieściu zbudowany został r. 1785 przez członków tegoż wyznania.

Bożnica żydowska na Podzameczu przez Jelenia Doletrowicza i innych Izraelitów, za panowania Władysława IV, wzniesiona została.

Prawie wszystkie magnackie rodziny miały dawniéj w Lublinie pałace swoje i wspaniałe mieszkania, jak to: Potoccy, Radziwiłłowie, Sapiehowie, Czartoryscy, Tarłowie i t. p. — Z tych pałaców niektórym inne nadano przeznaczenie, przerobiono je i przeistoczono. Drugie piękne przedstawiają ruiny, jak n. p. Tarłów i Radziwiłłów przy ulicy Żmigród.

Czas założenia Lublina i nazwy tegoż opiera się na podaniach jedynie. Kadłubek i Bogufał twierdzą, że Leszek III po wojnach z Juliuszem Cezarem zaślu-

bił siostrę jego Julię, która miasto Lublin założyła i nadała mu nazwę Julin, które w ustach ludu przemieniło się w Lulin, a potém w Lublin.

Pomiędzy Lublinianami utrzymuje się inna znów legenda, to jest: że jakiś książę polski, chcąc téj osadzie nadać imię, kazał zapuścić sieci w Bystrzycę, aby od pierwszéj ryby złowionéj gród nowy nazwać. Wyciągnięto zamiast jednéj, dwie: szczupaka i lina. Powstało zatém pytanie, która z nich nazwę nadać miała; szczupak — lub lin? — Rozstrzygnął je niebawem książę, mówiąc: „Szczupak jest wilkiem rzecznym, a lin rybą łagodną. Nie chcę, ażeby mieszkańcy nowego miasta do pierwszego podobni byli, zatém niechaj się zowie Lub linem." — Pierwsze podanie może mniéj jest naciąganém a więcéj zbliżoném do prawdy, bo lud nasz i dziś jeszcze imię Julia wymawia Lula i Lulka.

Starożytny herb miasta Lublina przedstawia kozła, wspinającego się po winogrona. -- Wyrzeźbionym jest na chorągiewce, umieszczonéj na wieży nowego ratusza.

W roku 1831 i 1863 Lublin dawał dowody prawdziwego patryotyzmu i ofiar. — W murach jego rozstrzelanym został Kazimierz Bohdanowicz w kwietniu. Młody, piękny, majętny, kochany: nie chciał żebrać o ułaskawienie, jak się wyraził, gdy go do tego urzędnicy zachęcali moskiewscy.

— Jesteś jeszcze tak młody! — wymówił z nich jeden.

— Jestem młody, lecz sprawa nasza jest stara.

— Pomnij na matkę twoją!

— Matka moja wyparłaby się syna, któryby o życie swoje żebrał...... Ależ, panowie, miałem być rozstrzelanym o 8, teraz jest już 10 minut więcéj. Niech żyje Polska!

Była to chwila ekstazy — fanatyzmu patryotycznego — gorączkowa ofiarności żądza ..... Ach, a jakaż szkoda niewynagrodzona tych ofiar szlachetnych!

Mówiły mi wiarogodne z Lubelskiego osoby, że w r. 1863 lud tamtejszy, wiejski, lgnął duszą do powstania i powstańców. Parobcy doń zaraz w pierwszych chwilach łączyli się miejscami gromadnie. Może być, że duch ten osłabł po niepowodzeniach i klęskach ale istniał wszelako. — Kobiety wiejskie, gdy oddział przychodził do wsi — biegły każda z pożywieniem, jakie w domu miała, najlepsze. Niosły im bieliznę świeżą i chustki na szyje. Płakały, żegnając ich słowem bożém i na kolana padały...... Ale wracajmyż do dawniejszych wspomnień!

Nocleg trzeci wypadł w Krasnymstawie — nad Wieprzem.

Stał tu niegdyś za Kazimierza Wielkiego zamek

warowny. Mur, który go opasywał, w części przetrwał jeszcze.

Roku 1426 Władysław Jagiełło, złamawszy nogę w Białowieżskiéj puszczy na polowaniu, leczył się tutaj czas dłuższy.

Stefan Batory przywilejem z r. 1578 zabronił Żydom osiadać w mieście, a pozwolił tylko na przedmieściu.

W roku 1588 Maksymilian, arcyksiążę rakuzki zwyciężony pod Byczyną, osadzonym został w Krasnymstawie przez Jana Zamojskiego i pod dozorem Marka Sobieskiego, wojewody lubelskiego, rok cały przesiedział. Uchwalono następnie na sejmie: by się zrzekł, jako pretendent, wszelkich do korony uroszczeń, a wtedy wolność odzyska zaraz. Sam to zaprzysiągł. Poczém Zygmunt III odwiedził go w Krasnymstawie, a po pożegnaniu odprowadzili go Goślicki i Zebrzydowski do granicy.

Katedra — dawniejszy kościół jezuicki — budowany na wzór kościoła ś. Piotra w Rzymie, jest wspaniała, ogromna i z wielkim wykończona smakiem. — Ściany zdobią malowania al fresco, sklepienia stukowane, złocone. Budowniczy tego gmachu nazywał się Jan Huss. — Prócz tego jest w Krasnymstawie jeszcze i parę innych kościołów.

Herb miasta stanowią dwie ryby, jedna nad drugą,

w przeciwne strony obrócone — od połowu karpi, który odbywał się tutaj.

Stanęliśmy o szaréj godzinie w Krasnymstawie. Nazajutrz był tam jarmark — ztąd i wszystkie zajazdy zajęte. — Poprzednio już, w Warszawie, zaprosił mnie pan Bajer, budowniczy rządowy, by w przejeździe przez Krasnystaw wprost do niego zajechać. Korzystałam zatém z tego zaproszenia. Pana Bajera nie było, ale zarządzająca domem jego osoba przyjęła mnie, jak niemożna lepiéj — i wybredne nawet zabezpieczyła wygody.

Opowiadano mi, że kapitanem żandarmów w Krasnymstawie był podówczas urzędnik, który carowi Mikołajowi życie uratował pod Grodnem. Car przejeżdżał powozem po Niemnie zamarzniętym. Gdy już dojeżdżał do brzegu, lód pod końmi załamał się nagle, a tył powozu zanurzył się w rzekę. — Niebezpieczeństwo było wielkie, ów urzędnik — z polskiém nazwiskiem — rzucił się naprzód, z narażeniem własnego życia — podał rękę carowi i wyratował go. Car Mikołaj, podejrzliwy zawsze, posądzał obecnych o zamach na jego życie, a wybawcę swojego wysłał do Krasnegostawu na żandarma .....

Od Krasnego-stawu miałam już tylko dwie mile do Krupego — obecnéj posiadłości państwa Ludwików Słomińskich.

Byli uprzedzeni o przybyciu mojem i z otwartém czekali mnie sercem.

Zamek Krupski.

W niedalekiéj jeszcze odległości przedstawiała mi się ruina starego, warownego grodu, pięknie i malowniczo, a wcale nie jako ruina. Bo styl budowli staro-włoski, dachy kryte, mury zakończone ząbkowato (crenelé) — jakby wyrzeźbioną koronką, nadają jéj pozór dobrze przechowanego zamku. Zbliska dopiero widać, że to już tylko dawnéj świetności zwaliska.

Państwo Ludwikowie uradowali się z przybycia mojego. Z Józefiną uścisnęłyśmy się ze łzami...... — Zastałam u nich i kilka osób należących do rodziny.

Dwór ładny, obszerny, wygodny; przyjęcie, jak zwykle, nader gościnne — a było tam towarzysko, wesoło, że i niczego nie brakowało.

Krupe, jak wiadomo, wybudował Samuel Zborowski, a podobno na przekór Janowi Zamojskiemu, mającemu także zamek w Krasnym-stawie. Gmach,

który wystawił, był podobno jednym z najcelniejszych w Polsce. Miał postać czworokątu. Oprócz pałacu obejmował siedm baszt obronnych: cztery w narożnikach, trzy w pośrodku, a wszystko opasane było murem, na łokci dwadzieścia wysokim i w strzelnice opatrzonym. Widać, że dwa były dziedzińce. Mniejszy, ale warowniejszy, otaczał mieszkalną część zamku. — Był most zwodzony i bramy ciemne.

Przejście podziemne, którego jeszcze odkrywają ślady, miejscami zawalone całkiem, prowadzić miało pod jeziorem (?), na drugą stronę, do dużego nasypu ziemi. W podziemiach, w jedném miejscu — jak tego doszedł pan Ludwik — widny jeszcze marmurowy kominek, ale jest niebezpiecznie spuszczać się do niego.

Samuel trzymał tu podobno uwięzioną żonę swą, Zofią Jordanównę, córkę wojewody krakowskiego, która — jak twierdzą niektórzy dziejopisarze — przymusowo żoną jego została. — Późniejszy hetman Zaporożców — ulubiony przez nich Samucha, jak go nazywali — prowadził tu także wielce rozpustne życie.

Po ścięciu Samuela, Krupe zostało własnością córki jego, Kunegundy, żony Hieronima Gnoińskiego, a następnie jéj syna, Samuela, gorliwego Aryanina. — W wojnach szwedzkich, za Jana Kazimierza, trzymał z Karolem Gustawem i był obleganym w zamku krupskim.

Wśród lasu znajduje się pomnik, zwany grobiskiem. Jest to niby kaplica czworokątna, dwanaście łokci w kwadrat, dziewięć wysokości mająca, z obeliskiem z cegieł, bez tynku, na podstawie kamiennéj. Do sklepionego wnętrza wchodzi się przez drzwi boczne, nieco na dół po schodach. Utrzymują, że to jest grobowiec jednego z Orzechowskich, dziedziców Krupego, Socyanina, zmarłego za granicą, a którego ciało do kraju przywiezioném zostało, stósownie do jego woli ostatniéj. Nie mogło zaś być na katolickim pochowane cmętarzu. — Podobno, że przed kilkudziesięciu latami znaleziono tu medal srebrny z napisem, z którego zrobiono łyżkę — nie przeczytawszy nawet napisu!

Mnie opowiadano w Krupem, że przeszły dziedzic, zagrzany podaniami o przechowanych skarbach, kazał rozkopywać nasyp czyli mogiłę, będącą na przeciwległym brzegu jeziora. Odkopali szkielet konia z rzędem szczero-srebrnym. Szlachcic uradowany — którego i nazwisko mi podali — pojechał z nim do Lublina i...... kazał zeń łyżki porobić! — Łyżki i łyżki! — Ileż to nieubłagany wandalizm pięknych a cennych zatracił pamiątek — zwłaszcza, gdy chciwość łączy się...... z głupotą.

Jest podanie, że niegdyś należało Krupe do rodziny Krupów. Że jeden z nich wystąpił przeciwko elekcyi Władysława Jagiełły — i opierał się władzy nowo-obranego króla. A Jan Kochanowski, czepiając

się słów igraszki w nazwiskach, napisał czterowiersz:

Król Jagiełło zbił Krzyżaki
I pan Krupa chce być taki,
Suszy mózg darmo nieboże,
Krupa jagłą być nie może.

Inni znowu utrzymują, jakoby tym wierszem wydrwiwał Samuela Zborowskiego wraz z jego zamkiem, że on nigdy Janowi Zamojskiemu sprostać nie potrafi.

Z a m o ś ć.

Dnia trzeciego — na dni cztery przed Bożem-Narodzeniem — pożegnałam państwo Słomińskich i ruszyliśmy do Zamościa. Stanęliśmy tamże jeszcze za dnia, a drżałam z wzruszenia, most przebywając zwodzony. Zajechałam przed cukiernią pani Gierowej — jak mi August polecił. Poczciwa kobiecina wprowadziła nas do ciepłego pokoju i dobrą poczęstowała herbatą.

— Jakżeż mąż mój? — zapytałam.

— Zdrów jest, odrzekła. — Bywa tu czasem ze żołnierzem p r z y s t a w n y m, idąc na spacer, bo doktor kazał, ażeby się przechadzał. Ot, tylnemi drzwiami— wskazała— panowie z Szczebrzeskiéj Bramy zachodzą czasami do mnie na kawę.

— A w którymże mam stanąć hotelu?

— Wygody bo nigdzie nie ma. Ale jest nowy hotel, więc i czysty przynajmniéj.

Poprosiłam, ażeby nam go wskazali. Hotel był nowy wprawdzie, ale zbudowany licho. Dostałam maleńką izdebkę na dole, od frontu — niby to najlepszą — a pan Trepka gdzieś tam od tyłu ciupkę. — Przebrałam się nieco i pojechałam do komendanta twierdzy, jenerała hrabiego Oppermana. Mieszkał w dawnym pałacu Zamojskich — pomalowanym na żółto, jak i cały Zamość. Wprowadzono mnie zaraz do niego.

Mąż zacny przyjął mnie od razu sympatycznie bardzo. Niski, szczupły, dość już wiekowy, kulawy, chorobliwy miał wyraz twarzy, ale szlachetny i budzący zaufanie.

— Byłem uprzedzony o przybyciu pani — wymówił po francuzku — i odebraliśmy pod tym względem instrukcyą. Gdzież pani zajechałaś?

— Do jakiegoś lichego hotelu.

— Jest tu przecie wybudowany nowy. Każę tam panią odprowadzić, ażebyś miała wygodniéj.

— To jest ten sam, w którym stanęłam.

— Otrzymaliśmy rozkaz, ażebyś pani nie w twierdzy stanęła, tylko w Nowym-Zamościu, ztąd o ćwierć mili. Ale jest już wieczór, zatem niepodobna panią tam wyprawić.

Pokłoniłam mu się z wdzięcznością.

— Wsiądzie z panią kapitan od weteranów (polskich) i pojedzie z panią do Placu, gdzie pani instru-

kcya przeczytaną zostanie, ażebyś wiedziała, czego się trzymać.

Pożegnałam jenerała i pojechałam do Placu. — Plac-major przeczytał mi instrukcyą: rzeczy moje miały być na rogatce przestrząśnięte, miałam zamieszkać w Nowym-Zamościu i pod ścisłym policyjnym zostawać nadzorem. Do twierdzy w dzień wolno mi było przyjeżdżać. Z mężem widywać się mogłam w Placu, w obec majora, albo dyżurnego oficera..

Ciężkie zastrzeżenie! Ale cóż było poradzić? — Względności już doznałam tyle, że mi rzeczy nie przetrząśnięto i żem w twierdzy zanocować mogła.

Nazajutrz rychło zbudziło mnie we drzwi kołatanie mocne.

— Kto tam? zapytała Karolina.

— Komisarz policyi. Wynoś się pani ztąd zaraz do Nowego-Zamościa.

— Mnie jenerał komendant tutaj przenocować pozwolił — odpowiedziałam.

— Co tam jenerał! Ja mam inny rozkaz. Otwórz pani!

— Otworzę, gdy się ubiorę i śniadanie spożyję — odrzekłam śmiało, opierając się na względności jenerała.

— Pani powinnaś zaraz wyjechać.

— Po śniadaniu.

— Nie powinienem był pani wcale wpuszczać do miasta bez rewizyi.

— Byłam zaraz u jenerała.

— Co tam!...... — mruczał jeszcze, ale potém umilkł.

Ubrałam się, wypiłam herbatę i kazałam mu otworzyć. Wszedł śniady mocno, czarniawy komisarz w mundurze i przeczytał mi znaną już instrukcyą. Kazałam zaprządz. Wsiadłam, obok mnie Karolina, a na kozioł pan Trepka Nekanda w kożuchu swoim.

Policyant odprowadził nas za bramę. — Uważałam jakiś wielki ruch w mieście. Wojsko zaciągało jakby na paradę i zbierała się muzyka.

Ujechaliśmy kawałek drogi, gdy z przeciwnéj strony nadjechały saneczki, a w nich pan prezydent miasta, Kossakowski. Poznawszy mnie — a może już i wiedział, żem przyjechała! — kazał stanąć, wysiadł i przystąpił do mnie. Opowiedziałam mu w krótkości co zaszło. Zaśmiał się.

— To dobre człeczysko ten komisarz, Polak-Tatar, szlachcic Buczacki, ale zwyczajnie...... chciał okazać się gorliwym: instrukcyi powinien dopilnować. — Mamy dziś święto dworskie, paradę. Każ pani nawrócić, wysiądź do cukierni, a ja potém przyjdę po panią i zaprowadzę do Placu, gdzie pani zobaczysz się z mężem.

Kazałam nawrócić i uczyniłam, jak mówił.

Komisarz Buczacki, szlachcic polski tatarskiego pochodzenia, rzeczywiście dobrym był człowiekiem — ale znać i jemu wypadało taki ze mną odbyć fajerwerk. —

Około południa przyszedł po mnie Kossakowski i poszliśmy do Placu. Czekał już tam major i oficer dyżurny. Raz jeszcze powtórzyli mi instrukcyą. W téj chwili przebiegł koło okna August z żołnierzem. Drzwi otworzono — wbiegł...... i powitaliśmy się. Jam mówić nie mogła. August był wesół.

Godzinę potrwała rozmowa ni o tém, ni o owém. Major wtrącał się ciągle, chociaż po polsku nie umiał. Mówił, że mnie będzie po rosyjsku uczył i zaczął od dwóch wyrazów: skuczno, smutno — i skolsko, ślisko. I otóż wszystko, czegom się nauczyła. — Pożegnaliśmy się. Kossakowski odprowadził mnie do cukierni znowu. August poszedł z żołnierzem na Bramę Szczebrzeską.

— Pani ma mieszkać w Nowym-Zamościu, a dojeżdżać tylko do Starego — zagadnął Kossakowski. W tym samym domu, gdzie mieszkam, jest na parterze duży pokój do wynajęcia, myślę, że to dogodzi pani.

— Owszem, i bardzo! odrzekłam.

— W kuchni gospodyni może służąca pani i gotować.....

— Ale potrzebuję jeszcze pomieszczenia dla mojego towarzysza podróży.

— I to się znajdzie. Pomyślemy, ażebyś pani miała wygodę. Jest tam stajnia i wozownia.

Zgodziłam się oczywiście na wszystko — a opieka pana prezydenta była mi na rękę bardzo.

Zaledwo Kossakowski odjechał, gdy tylnem[1] drzwiami wbiegł August, z żołnierzem zawsze — którego uczęstował i cygarami taniutkiemi obdarzył.

Doktorem wojskowym w Zamościu był Litwin Onacewicz, brat znanego historyka, człowiek prawy i względny. Ten wyrobił Augustowi pozwolenie przechadzania się dla zdrowia po świeżem powietrzu, ztąd mógł i po godzin pare poza kazamatą swoją przebywać.

Pod wieczór pojechałam do Nowego Zamościa. Pokój wcale był niezły, bo duży i wysoki, z oknami na dwie strony, z piecem i kominkiem. Urządziłyśmy się zaraz o ile można było wygodnie. Pościel miałam z sobą i t. p. — Zahartowany pan Trepka Nekanda to i o wielkie nie dbał wygody. Karolina musiała mu tylko gotować krupniki, barszcze, dusić pieczenie wieprzowe, huzarskie i t. d.

Nazajutrz oddałam wizytę pani Kossakowskiéj. Była to młoda — młodziutka nawet w stosunku do męża kobietka: ładniuchna, miła, elegancka, z dobrém wychowaniem — bo pensyą w Szczebrzeszynie skończyła. Sierota, bez posagu, została żoną dość zamożnego pana Kossakowskiego, który dla niéj najwzglę-

dniejszym był małżonkiem — i przywiązała się szczerze do niego. — Po odbytéj wizycie, pojechałam do twierdzy.

Przez dni pare trwała formalność widywania męża mojego w Placu, ale potém pozwolono, że mógł do mnie do mieszkania pani Gierównéj przychodzić. Zawdzięczaliśmy tę względność jenerałowi, który o ile mógł, starał się ulżyć każdemu! A pewno major i oficer byli tą niepotrzebną asystencyą znudzeni.

Dnia trzeciego po przybyciu mojém do Zamościa, pojechałam z wizytą do jenerałowéj Opperman, z domu hrabianki Ronikier, Polki. Była piękną jeszcze, nieokreślonego powabu i dobroci. Doznałam nadzwyczaj wiele przyjemności w jéj towarzystwie. — Państwo Oppermanowie mieli trzy ładne córki i syna. Najstarsza była zaręczoną baronowi Wachten, Kurlandczykowi.

Więzienia w Zamościu dzielą się na trzy kategorye: Brama Szczebrzeska jest dla przestępców politycznych i więźniów stanu; kazamaty bywają niezamykane i więźniowie zchodzić się mogą; wychodzą także na przechadzkę i do kościoła, ale zawsze z przystawnym; mogą czytać i pisać, jak im się podoba; objady noszą im z miasta, i bywają obsłużeni przez

ludzi ku temu przeznaczonych. Na dole jest odwach z oficerem.

Na tak zwanym Kawalerze siedzą obwinieni cięźéj i o wiele mniéj uwzględniani — niekiedy polityczni także. Bywają zamykani i nie wychodzą wcale. Czasem przeniosą kogo na Bramę, a jest to złagodzeniem wielkiém. — Odwach na dole jest bez oficera — gdy na Bramie Szczebrzeskiéj oficer ma służbę.

Trzecią kategoryą stanowi rota aresztancka, zamykana na noc w kazamatach ratuszowych, a pędzona już o godzinie trzeciéj z rana do prac wałowych. Kazamaty zawierają po dwadzieścia tapczanów — a powietrze tam zabijające.

Zamość założonym został w r. 1581 przez Jana Zamojskiego, kanclerza, hetmana wielkokoronnego który wzniósł zamek warowny i otoczył go murami. Miasto kiedyś musiało być ładne, w stylu włoskim budowane — dziś zrujnowane, zszarzane, zżydowione — zabłocone

Rynek stanowi czworobok z piętrowych kamienic; dachy wyskokami zakryte, kamienne mają ozdoby. Dołem są podsienia sklepione, pod któremi w koło obejść go można. Ratusz jest duży, z wysoką wieżą. W bliskości wałów przypomina się dawny gmach akademii zamojskiéj. Naprzeciw pałac ordynatów. Kościół kolegiacki, ś. Tomasza, Fara — piękny i ozdobny.

Obok mieszkanie biskupie, tak zwany Infułat. Dalój arcypiękny, olbrzymi kościół ks. Franciszkanów — obrócony dziś na lazaret wojskowy! — Opowiadają, że gdy książe Konstanty zwiedzał Zamość i widział tę piękną, wielką świątynię sprofanowaną w ten sposób, gniewał się, że na zniszczenie skazaną została. — Opodal był klasztor żeński — Sióstr miłosierdzia — który, po wywiezieniu do Szczebrzeszyna zakonnic różnie bywa zamieszkiwanym.

Nieduży kościołek uniacki — arcy-dawny, bo podobno z pierwszych czasów chrześciaństwa — ciekawe zapewne dla archeologów nastręcza przedmioty.

W jednéj z bocznych kaplic w kościele farnym, na lewo — znajduje się duży obraz Zwiastowania Panny Maryi, rysunku Perugino a pędzla Rafaela Sancio,*) arcydzieło, jakie mało która posiada galerya— przywiezionym został z Włoch przez Jana Zamojskiego.

Siedziałam w ławce naprzeciw przez długie chwile niekiedy, zapatrzona weń — rozmarzona — a coraz większych dopatrywałam sie piękności. Najświętsza dziewica siedzi jakby na tronie, na rozłożonym pięknowzorym dywanie. O pare niby kroków klęczy na stopniu Aniół-Zwiastun. Ponad nim, w rogu, widać w półcieniu postać Chrystusa małych rozmiarów, jakoby widzenie. Święta dziewica ma na sobie szaty królowéj i piękną na głowie koronę.

*) Inni utrzymują, że go wymalował Carlo Dolce.—

Wprost, na pierwszy rzut oka, widzi się niby tylko ciemno-sinawą przestrzeń. Wpatrzywszy się jednak dłużéj, spostrzega się jakby gęstą kolumnadę.

Korona na głowie Bogarodzicy wydaje się wypukłą, nawet jak gdyby odstawała nieco. I mistrzowskie wykonanie o tyle jest łudzącém, że dwóch panów zrobiło zakład, z których jeden twierdził: korona jest metalowa nasadzona kamieniami i do obrazu przytwierdzona. — I dopiero wszedłszy po wschódkach przekonał się, że tak nie było.

Z dywanu wzór zdjęły hrabianki Adela i Marya Łubieńskie, i wyhaftowały podobny.

Ponad bocznym ołtarzem, także z lewéj strony; jest w górze nieduży obraz Matki Boskiéj, tak zwanéj Łaskawéj — przysłonięty zwykle. Wygląda jakby gruby rysunek na drzewie brunatnawém. Codziennie bywa przy tym ołtarzu msza ś. o godzinie dziewiątéj.

O tym obrazie Matki Boskiéj Łaskawéj takie jest podanie. W czasie zajęcia Zamościa przez Austryaków, przyprowadzili jakiegoś więźnia, okutego w kajdany i osadzili go w kazamacie ratuszowéj. Dnia jednego dostrzegła warta, że w celi więźnia jasno biło światło. Wbiegają zatém i widzą: na desce wyrysowaną Matkę Boską, od któréj łuna światłokręgiem bije, a więźnia klęczącego przed nią. Na ziemi leżały kajdany, które pospadały z niego.

Łuna znikła. Żołdacy okuli więźnia na nowo. W tém łuna bije znowu, a kajdany opadują. Żołnierze przerażeni pouciekali. Nadeszli oficerowie. Kazali więźnia raz wtóry okuć. Światłokręg zajaśniał znowu— i kajdany znowu opadły. Zrobiło się zbiegowisko. Lud więźnia wyprowadził. Obraz procesyą do kościoła przenieśli, gdzie w ołtarzu umieszczonym został. — Narysował go więzień na jednéj z desek ściany więziennéj — bo podobno był malarzem. Tak rzecz tę w Zamościu i okolicy opowiadają.

W podziemiu spoczywają zwłoki Jana Zamojskiego, kanclerza, hetmana zm. 1605 r. Aksamit sukni jego przechował się dotąd w całości, i jakkolwiek spłowiały, widać że był amarantowym. — Napis Hic jacet Joannes Zamojski wskazuje grób jego.

W filarze po prawéj stronie wielkiego ołtarza wmurowaną jest tablica marmurowa, nagrobek Szymona Szymonowicza z napisem łacińskim.

Wnętrze świątyni piękne, wysoko sklepione, uroczyste budzi uczucie. Stale przed wielkim ołtarzem są z ciemnego drzewa, tak samo i chór dość okazały. Chrzcielnicę podziwiają znawcy.

Trzy bramy wiodą do twierdzy: Lubelska, Szczebrzeska i Lwowska — prowadząca do Nowego Zamościa. — Ponad pierwszą była alegoryczna figura, wyobrażająca Polskę; ponad drugą orzeł Jagieloński;

ponad trzecią płaskorzeźba, przedstawiająca wjazd hetmana do Zamościa po bitwie pod Byczyną.

Biskup mieszka w Hrubieszowie. Czterech wikarych nabożeństwo odprawia. Przy uniackim kościele dwóch było kapłanów. Jeden z nich, ks. Rzewuski—żołnierz z 1831 roku odprawiał często mszą ś. i w kościele farnym.

Jan Zamojski, założywszy miasto warowne, nadał mu prawo magdeburskie, a mieszczan trudniących się handlem lub rzemiosłem, uwolnił od podatków na lat 25. Na jarmarki do Zamościa zjeżdżali się kupcy z Krakowa, Poznania, Elbląga, Gdańska, Lwowa, Warszawy i Wilna. — R. 1585 pozwolił kupcom ormiańskim osiąść, nadał im zarówne z drugimi swobody i zaręczył wolne wyznawanie wiary. R. 1589 utworzył ordynacyą zamojską — co sejm potwierdził r. 1591. — Założył akademią, którą Zygmunt III i papieże potwierdzili. — Ustanowił Bank z funduszem 10,000 zł. pol. Procenta od téj sumy wydawano na wspieranie rzemieślników biednych, zamieszkałych w ordynacyi, a procenta od sum wypożyczanych stanowiły wsparcie dla ubogich studentów. — Syn Jana, Tomasz, gmach akademicki wymurował.

W r. 1648 Bohdan Chmielnicki przez tygodni cztery oblegał twierdzę. Wstąpienie na tron Jana Kazimierza, który mu ofiarował kozacką buławę, koniec

położył tėj wojnie. Zamek spalił. — Roku 1656 Karól Gustaw ze czterdziestu dział strzelał do miasta. Jan Zamojski, dziedzic ówczesny, nie poddał się jednakże — i Szwedzi ustąpili. — R. 1705, Mazepa hetman Kozaków, idąc na pomoc Augustowi II, Zamość zdobył. Podczas konfederacyi Tarnogrodzkiėj wziął go jenerał saski 29 grud. 1715 r. — R. 1720 na synodzie, za staraniem Leona Kiszki, metropolity kijowskiego i biskupa włodzimirskiego, zatwierdzonėm na synodzie zostało połączenie kościołów rzymskiego i greckiego wyznania.

Herb miastu nadany został przez Stefana Batorego: Ś. Tomasz z dzidą.

Pokazują w pobliżu Zamościa nasyp trawą porosły, w którym mają leżeć zwłoki Bogdana Chmielnickiego. Podanie niesie, że zjechał do Zamościa w celach nowego buntu, zapadł na ciężką febrę i umarł.— Jak bądź, zawsze z tėj mogiły kilka smutnych wywiozłam kwiatków i listków.

Dawniėj otaczały twierdzę fatalne błota — które pomiędzy mieszkańcami ciągłą, zjadliwą utrzymywały febrę. Dziś już znacznie osuszone zostały. Febra jednakże i teraz ponawia się ciągle.

W dni niewiele po mojėm przybyciu — podobno w przeddzień wigilii — zjechali do Za-

mościa jako więźniowie: panowie, Henryk Łubieński i Józef Lubowidzki — prezes i dyrektor Banku Polskiego, na trzy lata skazani — i wyznaczono każdemu pokoik na Bramie Szczebrzeskiéj.

Pana Henryka odwiózł syn jego Juliusz, znany chlubnie jako profesor matematyki; pana Lubowidzkiego kuzyn jego, pan Trzciński. Przychodzili także na kawę i herbatę do tylnego pokoju w cukierni — bo poczciwa Gierowa była jakoby gosposią naszą. Miała i córkę Basię, miłą i dobrą dziewczynkę, którą polubiłam.

Zwolna, więcéj ośmielona, wsunęłam się z Augustem i na Bramę. — Zwiedziłam kazamatę środkową obszerną — w któréj siedział Łukasiński. W podłodze tkwiło jeszcze kółko żelazne, do którego był przykuty. Ze czcią pochyliłam czoło — ze łzami. — A jakżebym rada była — bym kawałek z tego kółka na pamiątkę, jako relikwią, z sobą zabrała!

Odwiedziłam nowoprzybyłych — za co dziękowali mi uprzejmie. — Przywieźli dużo książek z sobą — i udzielali ich chętnie. — Pan Henryk, bo niekiedy łzę miał na oku.

Wigilijny objad spożyłam z więźniami pospołu.

Po raz pierwszy w życiu jadłam w Zamościu na wigiliją k u t j ą. Poślednią robią z pęczaku z makiem i miodem, gęsto urobioną na misce, i przez całe święta ją jedzą. Lepsza jest z ryżu i z cukrem. U pani Kossakowskiéj zwłaszcza była wyborna, bo do maku

domięszano nawet i migdały. Jadłam u niéj także i wyśmienite bułeczki, na utartym zarobione maku, kruche a smaczne bardzo — z jakiemi potém już nie spotkałam się nigdzie.

Oficerowie, będący na odwachu, niby nie widzieli, gdym na Bramę wchodziła. Byli pomiędzy nimi Litwini, Niemiec, Tatar, Kabardyniec — książe Abaszyc, bardzo poczciwe człeczysko.

Dnia jednego byłam z Augustem właśnie u pana Lubowidzkiego, gdy nagle zawołano: Placmajor idzie!

Co tu począć? — Przykucnęłam za fotelem, na którym jakieś zawieszono suknie, a z boku zasłaniała mnie szafa. Placmajor wszedł. Pogadał trochę i wyszedł. — Nie wiedzieliśmy, czy spostrzegł kontrabandę i widzieć nie chciał — lub nie. Odtąd już byłam więcéj ostrożną.

Jenerał Opperman był prawdziwą opatrznością dla uwięzionych — ale przynajmniéj raz na tydzień, jeżeli nie częściéj — wychodziły z Zamościa denuncyacye na niego: że jest za nadto pobłażliwym i względnym. Oskarzono także placmajora, doktora, oficerów i t. d. Zatém i przykrych następstw lękali się wszyscy.

Głównym a urzędowym denuncyantem był ów dawny denuncyant, nazwisko jakoś na Rose . . . . . nie pomnę — Żyd, za którego wzięto dra Rosenbluma, o czém opowiedziałem w I seryi Moich wspomnień: O życiu towarzyskiém w Warszawie. Ska-

zanym niby to został za fałszywe donosy — na mieszkanie w twierdzy. Zajmował z rodziną swoją bardzo porządny domek blisko Placu zamkowego — i pobierał pensyą. Ażeby zatém nie próżnować, pisywał ciągłe denuncyacye i bawił się niemi. Wiedzieli o tém wszyscy. Sam placmajor pokazywał mi go, jako najwierutniejszego szpiega.

Minęły dwa tygodnie — i potrzeba było wyjeżdżać. — Jakież to gorzkie było rozstanie! — Lubo, żeśmy sobie powiedzieli: „Do zobaczenia się w maju!“ — postanowiłam zjechać do Zamościa w maju i zamieszkać tam tak długo, dopóki August zakreślonego nie wysiedzi czasu — a potém z nim pospołu wyjechać· I myśl ta była mi pociechą.

W przeddzień wyjazdu mojego, powiedział nam pan Kossakowski, że musi w okolicę Krupego pojechać, zatém towarzyszyć mi będzie, jeżeli na to pozwolę. Rozumie się, że to chętnie przyjęłam. Eskortował mnie zatém saneczkami. Że zaś dzień był łagodny, słoneczny, proponował mi: czylibym nie zechciała do jego przesiąść się sanek. Uczyniłam to, zostawiając pana Trepkę Nekandę z Karoliną — i po niewielu godzinach zarysowały się przed nami, na zimowym błękicie, piękne zwaliska wzniesionéj warowni przez nieszczęśliwego Samuela.

Państwo Słomińscy zdumieli, widząc eskortę moją . . . . . — Pan Kossakowski wyjaśnił im rzecz całą.

Zastaliśmy jeszcze na obiad, który u nich zwykle był dopiero po czwartéj — a potém pożegnał nas pan Kossakowski.

Przypuszczali wszyscy, że bytność Kossakowskiego w Warszawie, miała podróż moją do Zamościa na względzie — bo przeznaczonym mi został na anioła—stróża; że pokój, który zajmowałam w domu gdzie mieszkał, był naprzód obmyślanym dla mnie — i musiałam mieszkać w Nowym Zamościu; że wyjażdżka jego w okolicę Krupego była tylko pozorem, bo miał rozkaz czuwania nademną . . . . . A dzisiaj, gdy chłodniéj rozważam wszystko i każdą drobną okoliczność podnoszę, sama do tego przekonania przychodzę — i śmieję się z całéj duszy a raczéj litośnie ramionami wzdżymam. Bo w czémżeż ja, słaba, drobna, wątła istota, mogłam stać się niebezpieczną? Cóż to wszystko znaczyć miało?! — Jeżeli zaś takiem istotnie było rozporządzenie, nadesłane z Warszawy, — osoby dzierzące władzę w Zamościu, uznały je zapewne także, jako niepotrzebne zupełnie. Panu Kossakowskiemu—dziś już ś p. — moje szczere należało się uznanie, za względność doznaną, i że tak wszystko pogodzić umiał. Nadto, nabrałam i przekonania, że rzeczywiście dobrym był człowiekiem. Mogłabym więcéj jeszcze

powiedzieć, gdyby mnie różne nie powstrzymywały względy. Hołd jednakże prawdzie powinnam była oddać, przynajmniéj o tyle, o ile to nie szkodzi nikomu, a daje lepsze o nieboszczyku wspomnienie.

Pouczono mnie także, ażebym, wybierając się raz wtóry do Zamościa, już o niczyje nie prosiła pozwolenie, ale wzięła kartę legitymacyjną od wójta w Górznie — i w twierdzy zamieszkała nic nie mówiąc nikomu.

W Krupem zabawiłam aż po Trzech Królach. Czwartego dnia stanęłam w Górznie. Zabawiłam tam tydzień — i do Warszawy wróciłam.

Pani Kossakowska opowiadała mi następujące zdarzenie, zaszłe niegdyś w Zamościu — znała jeszcze bohaterkę tegoż.

Przed laty wielu — jeszcze za panowania Stanisława Augusta — zajechała przed kościół Franciszkański, z rana, w czasie mszy św. paradna kareta. Powóz, czwórka — a podobno że szóstka — pięknych rumaków w złocistym zaprzęgu i służba w sutéj liberyi ogólną budziły ciekawość.

Przechodnie zatrzymali się skupieni i patrzeli ciekawo. Z karety wysiadł pan poważny, a za nim wysadzono młodą i piękną pannę. Oboje byli po po-

dróżnemu ubrani, ale pięknie i bogato. Panna trzymiała w ręku aksamitny worek, zwany à la Pompadour. Dzisiaj nazwanoby go sac de voyage.

Podróżni weszli do kościoła, a ciekawa gawiedź rzuciła się ku służbie, zapytując:

— Cóż to jest za pan?

— Pan kasztelan — odrzekł galonowiec dumnie

— A z daleka?

— Oj, z daleka.

— I to jego córka?

— Naturalnie! zaśmiał się sługus i odwrócił pogardliwie.

Tymczasem, pan kasztelan ukląkł przed wielkim ołtarzem, a obok i panienka. Pan kasztelan podniósł się po chwili i usiadł w ławce opodal. Panna złożyła dłonie, pochylona kornie — i zdawało się, że całkiem zatopiona w modlitwie.

Nabożeństwo się skończyło. Pan kasztelan wyszedł z kościoła. Panna klęczała i modliła się ciągle. Kilku ciekawych pozostało, patrząc się na nią i co stanie się daléj.

Wreszcie sługa kościelny chciał zamknąć przybytek Boży — przystąpił do niéj z ukłonem i poszepnął, że czas wyjść z kościoła.

Panna zadrgnęła — obejrzała się — podjęła swój pompadour — skłoniła głową — i przeżegnawszy się, powstała. Przemknęła szybko przez kościół, a gdy

przed nim stanęła, obejrzała się za karetą — któréj nie było, bo odjechała z kasztelanem, jak to widzieli przed świątynią stojący.

Panna raz wtóry osłupiałym obejrzała się wzrokiem — pobladła jak mara — i krzyknęła przeraźliwie:

— Odjechali mnie! załamała ręce i padła jak nieżywa.

Podniosły ją nadbiegłe kobiety i zaniosły omdlałą do pobliskiego klasztoru Sióstr Miłosierdzia. Jedna z nich podjęła oną aksamitną torbę. Zakonnice troskliwém otoczyły ją staraniem i wszelkich użyto środków, by jéj życie przywrócić. Odzyskała je — ale gdy oczy otworzyła, poczęła krzyczeć, rzucać się — rwała sobie włosy — i coś tam po francuzku wołała.

— Jéj pomięszały się zmysły — wyrzekła przełożona — przywołajcie doktora!

Pobiegli po miejscowego lekarza.

Nieznajoma rzucała się ciągle, mówiła coś, to po polsku, to po francuzku — ale wszystko bez związku.

Nadszedł doktor i uznał, że biedna ma pomięszanie zmysłów. Od kiedy jednakże: czy to od dawniéj czyli téż od chwili, gdy ujrzała się opuszczoną, nikt odgadnąć nie umiał.

Poczciwe zakonnice czuwały przy niéj i otaczały ją — przy pomocy lekarskiéj — pieczołowitością wszelką. Zwolna szał jej złagodniał, ale pomięszanie zostało. — Chciano czegoś dowiedzieć się o niéj i otwo-

rzono pompadour. Znaleziono w nim nieco pieniędzy lecz mało, i trochę bielizny cienkiéj, oznaczonéj koroną bez cyfry.

O kasztelanie nikt nic nie wiedział. Ciekawi widzieli tylko, że kareta Lubelską Bramą wytaczała się z miasta. W którą jednak podążyła stronę, o tém nikt nie wiedział.

Władze miejscowe, tak cywilne jak duchowne niby to na wszystkie dowiadywały się strony. Zapytywano, ogłaszano, lecz tajemnicy nie wykryto, a kasztelanka — jak ją nazywano — pozostała w klasztorze pod opieką zakonnic. Zwolna stała się spokojną zupełnie, lecz obłąkanie i na jednę nie przerywało się chwilę. Mówiła zwykle nie wiele, i nic téż z niéj wybadać nie było podobna. Pisywała często listy jakieś bez związku i myśli, po polsku i po francuzku, ale nigdy żadnego nie wymieniła nazwiska, ni téż imienia. Grywała na organach i śpiewała głosem nader dźwięcznym, a uczonym nawet, piosenki polskie i francuzkie, mięszając jednę z drugą. Nigdy nikomu nie zrobiła przykrości, nie swarzyła się nigdy, nigdy podraźnienia lub gniewu nie okazała. Uśmiechała się rzadko. A lubili ją wszyscy.

Gdy po roku 1815, — nie pomnę kiedy — zakonnice z Zamościa do Szczebrzeszyna przewiezione zostały — zabrały z sobą i kasztelankę, już podstarzałą.

Niezadługo potém przybył do Szczebrzeszyna aptekarz nowy i przedstawił się ksieni z interesem jakimś. Był to młody jeszcze mężczyzna. Kasztelanka zobaczyła go przypadkowo, krzyknęła przeraźliwie: „Karól!“ — i zemdlała. Znać jakieś zabolało ją podobieństwo — wspomnienie dawne. Potém znowu była spokojną i już nic nie wydarzyło się podobnego.

Pani Kossakowska znała ją w latach po 1840tym roku — bądąc w Szczebrzeszynie na pensyi. Kasztelanka mogła mieć wtedy przeszło siedmdziesiątkę — a w rysach jéj regularnych, drobnych, i w oczach szafirowych, pozostały się jeszcze ślady dawnéj piękności. Była niewysoką i szczupłą, ruchów nader żwawych. Zaczepiona odpowiadała. Obłąkanie jéj żadnéj nie ulegało zmianie. Wychodziła wszędzie sama i powracała na czas. Brała od przekupek bułki i owoc. A nazajutrz, albo sama odnosiła za nie pieniądze, zażądawszy ich od przełożonéj — albo téż odesłano dług przez nią zaciągnięty, bo pod tym względem nader wierną miała pamięć. Bułki i owoc lubiła biednym rozdawać dzieciom.

W Szczebrzeszynie, jak dawniéj w Zamościu, ogólne sobie zjednała współczucie.

Umarła — nie wiem w którym roku — a tajemnica jéj wraz z nią do grobu wstąpiła.

Wiele osób, obywatele wiejscy — nawet i z okolic Zamościa — wzywali mnie, ażebym wydała książkę zbiorową, ile, że na niwie piśmienniczéj prawdziwa istniała posucha: zawieszoném zostało dalsze wydawnictwo Dzwonu literackiego przez uwięzienie Augusta, i upadł Przegląd naukowy, bo redaktor tegoż, Hipolit Skimborowicz, siedział w cytadeli.

Wzięłam się tedy do czynu i rozpisałam listy do znakomitszych literatów o przyczynki. Wszyscy odpowiedzieli mi z gotowością serdeczną i artykuły cenne posypały się do mojéj Wiązanki — o któréj pomówię późniéj.

Lękaliśmy się zawsze, ażeby Augustowi, gdy wysiedzi karę w Zamościu, nie kazali z kraju wyjechać. W tym celu wstawiał się brat Klemens do marszałka Jezierskiego, polecając mu sprawę brata; a ja za powrotem do Warszawy, znowu do różnych udawałam się osób. Słusznie przypuszczali wszyscy, że książe zapyta jenerała Abramowicza o męża mojego i jego zasięgnie zdania: czyliby mu udzielić pozwolenia, do zamieszkiwania nadal w Warszawie. Zatém potrzeba było wpłynąć na jenerała, a radzono, bym to przez pannę Gwozdecką uczyniła.

Panna Gwozdecka była baletniczką — i znano powszechnie jéj zbliżony z jenerałem stósunek. Utrzy-

mywano nadto, że ją polubił, rozłączywszy się z żoną.

Postanowiłam bez wahania się być u niéj i prosić ją, by przemówiła za nami.

Z bratem jéj, urzędnikiem w komisyi wojny, kolegował jeden ze znajomych naszych, pan F. — który go uprzedził, że chcę być u siostry jego. Pan Gwozdecki miał imię zacnego człowieka i posiadał szacunek tych, którzy go znali. Zrozumiał interes w prosty zupełnie sposób — i przyszedł do mnie z panem F., ofiarując mi usługę swoją. Ułożyliśmy, że nazajutrz pójdę z nim do panny Gwozdeckiéj, bo pierwéj miał ją o wizycie mojéj i jéj celu uprzedzić.

Nazajutrz tedy, przed południem, udaliśmy się pospołu.

Panna Gwozdecka zajmowała piękne mieszkanie w gmachu teatralnym. — Wchodzimy do salonu, ładnie umeblowanego, a potém do drugiego, większych rozmiarów. W tém, bocznemi drzwiami wchodzi kobieta: szczupła, wątła, blada. Twarz jéj ładnych rysów, jakby zwiędła przedwcześnie, miała wyraz chorobliwy, a duże piękne oczy nieco mgliste spojrzenie. Cała postać wycieńczenie jawiła. Ubraną była w ślafroczek popielaty, wełniany, z dużą peleryną kolistą. Biały, skromny czepeczek. Świeżutki prosty kołnierzyk i mankietki.

Na mój widok zapłonęła lekko i niby zmięszała się trochę. Pan Gwozdecki poznajomił nas z sobą. Podałam jéj rękę — a ona pochyliła się, by mnie w ramię pocałować. Przedstawiła mi się szczególniéj skromną — nawet pokorną, co aż zobowięzywało. Tém więcéj, że u publiczności wcale przeciwną miała opinią.

Usiadłam na kanapie. Stała przedemną — i musiałam ją pociągnąć, by obok mnie usiadła. Co znowu z wielką wypełniła skromnością. Mówiła mi — tłomacząc pewnie swój ranny ubiór — że co tylko z kąpieli wróciła: że jest dużo słabą, wycieńczoną — i widocznie cierpiącą była.

Opowiedziałam jéj mój interes — a z wyrazem prostoty ujmującéj przyrzekła, że uczyni wszystko co tylko będzie w jéj mocy.

W tym czasie weszło do pokoju śliczne dziewczątko, mogące mieć od lat sześciu do ośmiu, pokłoniło się i stanęło przy niéj. Domyśliłam się, że to jéj córeczka. Płonęła znowu i widocznie zmięszaną była. Dziecię tuliło się do niéj.

— Zapewne córeczka pani? zagadałam, przełamując jéj ambaras.

— Tak jest, pani dobr. – odrzekła, kładąc dłoń wychudłą na jéj główce.

— Śliczna dziewczka — mymówiłam. — Zapewne ma już nauczycielkę.

— O, tak, pani dobrodziejko.

Po chwili powstałam, polecając jéj raz jeszcze interes, i pożegnałam ją. Pokłoniła się nizko. Ścisnęłam jéj rękę i wyszłam — a powiem otwarcie, że . . . . ze szczerém dla niéj współczuciem, tém większém, że jéj nie lubiono ogólnie. Biedaczka!

Pan Gwozdecki odprowadził mnie do domu.

W pierwszych dniach czerwca wyjechałam znowu do Zamościa, jakoby do Górzna. A ztamtąd, opatrzona kartą legitymacyjną, wyruszyłam z dobrą nadzieją i szczęśliwa. Tym razem już bez pana Trepki Nekanda, a z lokajczykiem, powozem, i z poczciwym Stachem, drugim stangretem.

Dnie były przecudne! roślinność w koło urocza, że i radowało się serce.

W Lublinie nocowałam a nazajutrz godzin parę zabawiłam. Odwiedziłam panią Ścisłowską — i obejrzałam się po mieście.

Poza Lublinem roślinność wydawała mi się bujniejszą jeszcze, piękniejszą, zieleńszą. Mianowicie widziałam tam wierzby, jakich nie spotykałam nigdzie: o długim, szerokim liściu, przecudnie zielonym, a lśniącym w promieniu słonecznym niezrównanym połyskiem.

O jakże pięknym jest świat! Lecz tylko w polu— na wsi — wśród łąk i lasów, zawołać tak można. — Miast podniosła architektonika podziwiać się każe — sztuka zdumiewa — zachwyca — czaruje oko — ale . . . . ale tak błogiego, szczęsnego nie zrodzi uczucia: i uczucia, jakby w ujęciu kochanego i kochającego Ojca! —

Wieczorem stanęłam w Krupem. Jakże malownie, przy zachodzie słońca, stare wyglądało zamczysko! — I uczułam się szczerze pomiędzy swoimi.

Nazajutrz z rana zwiedziliśmy ruinę. Dziedzińce zalegały gruzy, porosłe trawą i zielskiem; zarosły ciernie, głogi i osty — drzewa i krzewy. Napotykało się przepaścistości, pozarywane sklepienie, podziemia. W jedném miejscu pokazywał mi pan Ludwik ów kominek marmurowy — a chcąc coś dojrzeć, należało się przechylać bardzo.

Lud w Lubelskiem jest ładny — a widziałam szczególniéj ładne kobiety i śliczne, zaprawdę śliczne dziewczęta.

Dwa dni znowu w piękném spędziłam Krupem.

Zamość leży na równinie. Roślinność licha wokoło — lecz równina przedstawia się zielono, jak daleko sięga oko.

Na tej płaszczyznie zielonej, dojeżdżając do twierdzy, dostrzegłam dwie szare postacie ku żwirówce biegnące: niby wprost ku mnie.... August! — Nie August!... — Tak, to był on! a za nim żołnierz przystawny.

Powitaliśmy się z radością. Wsiadł do powozu. Karolina usiadła z przodu, rozpięła parasolkę, nadto i zielony spuściłyśmy daszek. Żołnierz zajął miejsce z tyłu na tłomoku.

Jadąc przez rynek, spotkaliśmy kilku z roty aresztanckiej — kajdaniarzy strzeżonych przez żołnierzy z karabinami. Pokłonili się Augustowi z uśmiechem — i wymienił mi nazwiska: Kaliszów, Grygowicza, Kwileckiego.

— Służyli w wojsku węgierskiem — objaśnił mnie — wydani zostali przez Austryą i zostają w rocie aresztanckiej.

— Och, biedni!

Mieszkanie miałam najęte w kamieniczce blisko wałów, pana Sołtana — niedaleko Fary i Bramy Szczebrzeskiej: dwa pokoje z przedpokojem na piętrze. Dom z dwóch stron otaczał ogród, w którym wielkie były grusze, jabłonie, agrest, porzeczki — trawa i kwiatków nieco. Mnie wydawał się uroczym.

Rozgościłyśmy się zaraz z Karoliną — i było wygodnie a dobrze, że i nie pragnęłam lepiej.

Niezadługo otwierają się drzwi — i wchodzi Aleksander Niewiarowski: dawny warszawski znajomy — gość u nas częsty — przykląkł, gdy mnie witał, czem rozrzewnił mnie bardzo.

Wydalił się był z kraju na początku roku 1848. Przebywał we Francyi. Przed półrokiem powrócił, oddawszy się na łaskę. Siedział w cytadeli pod śledztwem — i na sześć miesięcy do Zamościa skazanym został. Siedział także na Bramie Szczebrzeskiéj i mógł z przystawnym wychodzić.

August przychodził z przystawnym zwykle przed południem i odchodził przed czapstrykiem. Niby to zawsze był na przechadzce. — Przystawny wody przynosił, drzewo połupał — za co karmiliśmy go sowicie.

W rocie aresztanckiéj — pomieszani ze złodziejami, podpalaczami i t. p. — była młodzież nasza, szlachecka i rzemieślnicza, i kilku starszych z dawniejszego wychodztwa. Używano ich do ciężkiéj pracy na wałach: do taczkowania ziemi — szlamowania rowów — do robót uciążliwych a wstrętnych. Ubrani byli w gruby drelich, z rękawami szaremi i łatą na plecach. Głowy mieli w połowie ogolone i szare czapki. Na nogach z najgrubszéj skóry buciska — i ciężkie kajdany od lewéj ręki do prawéj nogi. Mieszkali w kazamatach pod ratuszem — po dwudziestu w jednéj!

Będąc raz u jenerałowéj, mówiłam jéj, że golenie głów sprawia biednym więźniom cierpienia dużo i na wzrok ich oddziaływa szkodliwie. Zacna kobieta znać wstawiła się do męża, bo odtąd przestano im golić głowy, co zwykle najdaléj po dwóch następowało tygodniach.

Do pracy wychodzili już o godzinie 3ciéj z rana O 11téj wracali do kazamat. O 1széj wychodzili znowu i pracowali aż do 6téj, 7méj, stósownie do wydzielonéj im roboty.

Strawa ich, po największéj części, była grochówka ze starém sadłem, a w miejsce soli używano saletry. Rząd na każdego przeznaczał po pięć groszy polskich dziennie.

Gdy który z domu od rodziny lub przyjaciół dostał pieniędzy, stół ogólnie dla wszystkich był lepszym przez czas jakiś — bo dzielili się zawsze sumiennie. Kupowali mięso, słoninę, kaszę . . . . . i cygara tanie.

Obywatelstwo okoliczne nadséłało także prowiant różny: ziemniaki — kapustę — krupy i t. d.

A winnam tu poszczegółowo dodać, że Pan Henryk Łubieński wiele czynił dla roty, za co jemu serdeczne należy się uznanie. I w ogóle, chętnie zawsze dla każdego z pomocą pospieszał.

— Sam nic nie mam — mawiał — ale mam poczciwą rodzinę, która mnie szczodrze zaopatruje, że i drugim pomocą być mogę.

Przy każdym nieszczęsnym, rotnym aresztancie był żołnierz z nabitą bronią, którėj mógł użyć, gdyby zmiarkował, że więzień chce uchodzić. Nadzorcami byli podoficerowie, a każdy opatrzony kijem, którym w każdėj chwili mógł plecy aresztanta obłożyć.

Jenerał Opperman odwiedzał kazamaty roty aresztanckiėj raz w tydzień, a zauważyli, że laskę na którėj, jako kulawy, zwykł się opierać, zawsze przy drzwiach zostawiał ażeby z nią do kazamat nie wchodził. Był to wzgląd dla politycznych przestępców, wliczonych do zbrodniarzy. Z początku towarzyszyła mu jenerałowa, przemawiając do jednego i drugiego słówko uprzejme. Lecz zaszły denuncyacye — i zacna jenerałowa odwiedzin swoich zaprzestać musiała.

Już nazajutrz, po przybyciu mojėm do Zamościa przyszło do nas kilku z tych nieszczęśliwych, na wezwanie Augusta — ze swoją strażą zbrojną. I odtąd, około godziny 6tėj pod wieczór, dnia każdego, pokończywszy wydzieloną sobie pracę, przychodzili do nas na herbatę, trzech, czterech, różnie, — z tyluż żołnierzami, opatrzonymi w karabiny. Żołnierzy ugaszczaliśmy wódką i groszowemi cygarami.

W niedziele zaś i w święta, po godzin pare spędzali u nas. A wiele do opowiadania mieli.

Odwiedzali nas najczęściej: dwaj Kaliszowie, Grygowicz Józef, Stawicki Edward — późniejszy reda-

ktor „Albumu Kaliskiego“ -- i Józef Kwilecki. Zabawili godzinę — a potém do roty wracali.

Brzęk kajdan obudził mnie z rana już o trzeciéj — i dźwięk ten nieszczęsny jest, jakoby wieczne echo Zamościa, bo odgłasza się ciągle, wszędzie i zawsze.

Nawet i ptastwo po ogrodach — nie przesadzam! świegocąc, szczęk ten naśladuje: to jego pozytywka. A wiemy, że ptaszki podług pozytywki można piosenki jakiéj nauczyć, powtarzając ją ciągle.

Siedział już od lat dwunastu, trzynastu — nie pomnę — w rocie aresztanckiéj Józef Zagórowski. Jako uczeń siedmnastoletni w Krakowie, został uwięziony wraz z dwoma kolegami za podejrzenie: że zamordowali komisarza policyi Czelaka — sławnego ciemięzcę i szpiega.

Czelak wyszedł był za miasto — i ci trzej chłopcy także na przechadzkę. Ostatni wrócili, a pierwszego znaleziono zamordowanego.

Austrya, Prusy i Moskwa odbywały spólne śledztwo i sądziły młodziutkich, mniemanych zbrodniarzy. Siedzieli do ścian więzień swoich przykuci...... i strasznym podlegali męczarniom. Jeden z nich umarł we więzeniu. — Józef Zagórowski, jako urodzony w Lubelskiém, gdzie i rodzice jego mieszkali, wydany został rządowi rosyjskiemu i osadzonym następnie w ro-

cie aresztanckiéj w Zamościu. Z początku nosił kajdany i używano go do robót fortecznych. Lecz był to chłopiec wątły i zbyt słaby. Rodzice jego przyjeżdżali, starali się — i uzyskali przynajmniéj tyle, że go zamiast do taczkowania ziemi, w kancelaryi zatrudniano piśmiennie i do rachunków.

Nie dźwigał kajdan, gdym go poznała, nie golono mu głowy, lecz ubierał się tak samo, jak drudzy, w drelich. Zachodziła ta jedynie różnica, że nie tak zbrukany, jak robotnicy ziemi i nosił przyzwoitsze obuwie.

Z dobrém wychowaniem domowem, pilny w szkołach uczeń, kształcił się w rocie aresztanckiéj sam — o ile podołał. Rodzice dostarczali mu książek. Czytał więc wiele i umysłowo pracował. Uczył się języków obcych. Robił wypracowania — studya różne — i zapewne pod wielu względami na wiele przedmiotów zupełnie zapatrywał się odrębnie, oryginalnie. — Może nabrał i mylnych a cierpkich uwidzeń, przekonań; — wyrobił się w nim brak wiary w ludzi — w cnotę — w szlachetność — pewna gorycz — co, oczywiście, bardzo naturalném było następstwem.

Z wiersza, dość długiego, który mi do mojéj Książki Pamiątek ofiarował, wypisuję tutaj dwa ustępy, ażeby go lepiéj dać poznać.

....

Celem człowieka ludzkości zasady,
Rozwijać szczęście ojczystéj zagrody —

A miasto celu, namiętności wady
I wyuzdaną podłość tylko chwytać...
Niewolno badać, dochodzić i pytać; —
Och, jak bolesno mieszkać na tėj ziemi,
Gdzie niema szczęścia, gdzie niema swobody,
Błądzić jak owca, obcy... między swymi.

....

Lecz myśleć tylko i wzdychać z ukrycia,
Spoglądać zdala w ziemię upragnioną —
I żyć samotnie wśród biernego życia,
Stając się martwym na drugich cierpienia,
Nie jest to zwać się Ojczyzny cnym synem,
Nie jest to zdobić swe czoło wawrzynem:
Jest to być marą — wichrami wzgardzoną —
Bez sił — potęgi,— istoty i życia.

....

Jenerał Opperman cenił go wysoko. Przez różne starania — zachody — nadeszło mu wreszcie z Petersburga ułaskawienie. Jenerał drżał z wzruszenia, gdy je odebrał. Posłał po niego — i oznajmując mu szczęśliwą wiadomość, uścisnął go ze łzami. I ojciec rodzony nie mógłby prawie większéj okazać radości.

Tak zwany Infułat, stojący próżny, zamieszkały rodziny pp. Henryka Łubieńskiego i Lubowidzkiego:

żona tego ostatniego wraz z córką i kuzynką; panna Marya, córka pana Henryka — i panna Adela, córka jenerała Tomasza — pozostały przez całe lato w Zamościu, a nie potrzebuję dodać, że nadzwyczaj przyjemne towarzystwo składały. Nadto odwiedzali więźniów: ks. Tadeusz Łubieński, biskup Rodopolitański; ks. Konstanty, późniejszy biskup Augustowski, zmarły na wygnaniu; pani Skarzyńska z córką — i wiele innych jeszcze osób.

Księdza Konstantego — był to syn pana Henryka — odznaczała niezwykła bystrość umysłu — i też rozmowa jego zawsze głębszych sięgała przedmiotów. Był przytém swobodny, a nawet wesoły.

August po ciężkich przejściach więziennych — po cytadeli — w obecném otoczeniu i stósunkach, przy wrodzonéj mu swobodzie i pogodnym umyśle, odzyskał humor cały i zwykłe wesołe usposobienie: prawił dykteryjki, płatał figielki, tworzył ramotki — że i czułam się szczęśliwą w Zamościu! — w Zamościu!!

Odwiedzał nas dość często doktor Racewicz — lekarz miejscowy — człowiek nieporównanéj pamięci. Było tylko wspomnieć o którym z poetów naszych — a całe zaraz wydeklamował stronnice. Polak dobry — lecz wiary w przyszłość Polski nie miał. Dnia jednego szczególniéj był pod tym względem gorżko usposobiony. Upieraliśmy się z nim .... i czułam się podrażnioną, aż gniewną. Rysowałam właśnie wzorek

na kołnierzyk — i w chwilowém podniesieniu napisałam wierszyk następujący na oddartym kawałku papieru:

Do doktora R.

Ty nie wierzysz w zaświt słońca,
Świętéj wiary nie masz nic.
Nie chcesz dojrzeć nocy końca,
Zróżowionych nieba lic.

Ono wzejdzie jasne, ciepłe,
Światłem rozpromieni świat,
Życiem natchnie role skrzepłe.
Niwy przyodzieje w kwiat.

Spełni zasiewcy nadzieje,
Które w sercu żywił on:
Bo kto z wiarą ziarno sieje,
Ten obfity zbiera plon.

Mówisz z śmiechem, z powątpieniem
O spełnieniu złotych mar,
Nazywasz czczem urojeniem,
Co mi w sercu nieci żar.

Wiary wielkiéj, niepojętéj,
Nic z łona nie wyrwie mi,
W złączeniu miłości świętéj,
Z nadzieją w méj duszy tli.

Żywić w niéj te dobra drogie
Namaszczenie to i chrzest —
Wierzyć w przyszłe chwile błogie
Częścią już zbawienia jest.

A więc wiara wielka, święta
Niech orzeźwi duszę twą,
Z nią nadzieja z nieba wzięta,
Którą już miliony tchną.

Może umrę przed świtaniem
Nim zorza rozniecí brzask
Przed pięknego dnia zaraniem,
Co zapowie słońca blask.

Lecz i wtedy pożądane
Ono szczęście błyśnie mi —
Że to słońce wyglądane
Jasno nad mym grobem lśni.

Podałam mu na nożyczkach karteczkę. Począł czytać z uśmiechem — potém spoważniał jakoś, cień niby zaległ mu czoło, — papierek zwinął i w milczeniu włożył do pugilaresu. Późniéj już nigdy podobnych dyskusyi nie było.

Winnam tu także, chociaż kilku słowami tylko, wspomnieć zacną rodzinę Łojowskich: majora od żandarmów, b. oficera wojsk polskich, i żonę jego, Wendównę z domu, (z Krakowskiego), bliską krewną zna-

nych a szanowanych obywateli tegoż nazwiska. Syn i ojciec sędziwy byli więźniami przez czas dłuższy w cytadeli warszawskiéj za wypadki r. 1846. Potém syn został wywieziony na Syberyą — gdzie po latach paru umarł.

W sierpniu odwiedzili nas p. p. Ludwikowie Słomińscy i zabawili dni pare. Byliśmy z wizytą u jenerałowéj. Pan Ludwik odwiedził więźniów na Bramie Szczebrzeskiéj i w rocie aresztanckiéj. Pokazaliśmy im cały Zamość...... smutną pamiątkę przebrzmiałéj świetności!

Z Krupego miewaliśmy zwierzynę — mianowicie też przewyborne jarząbki.

A winnam jeszcze dodać przez wdzięczne uznanie, że obywatele z Lubelskiego, a nawet i z dalszych okolic, odwiedzali więźniów zamojskich. Pomiędzy tymi wymienię pana Władysława Czyżewskiego z Tarnogóry. A jeszcze przywiózł nam zaproszenie matki swojéj, ażebyśmy, pożegnawszy Zamość, w powrocie do Warszawy, do Tarnogóry wstąpili. — Współczucie dla bratniéj niedoli jest ogólną cechą serc polskich — i oby nią pozostało zawsze!

Przybył na Bramę Szczebrzeską Józef Wilczyński, znany artysta, rysownik i malarz, spółpracownik arcypięknego „Albumu wileńskiego.“ Mam pare obrazków jego, a pomiędzy temi zdjęty z wałów Zamościa, przedstawiający dwóch aresztantów rotnych i żołnierzy przy nich z karabinami: Maryana Kalisza i Józefa Kwileckiego.

W rok późniéj Maryan Kalisz wywieziony został do cytadeli warszawskiéj, zapewne do konfrontacyi jakiéj — a może do nowego śledztwa. Suchotnik — smutno tam życie zakończył. Radabym była coś bliższego o jego ostatnich posłyszała chwilach. Szlachetny i prawy Polak, z gorącą dla kraju miłością, — z poświęceniem — nie miał wszelako religii żadnéj ..... i w nic nie wierzył.

Otóż mały ustęp z tego, co mi w Książce Pamiątek napisał, ale charakterystyczny:

Ukołyszą bramy nieba
Imaginacyą, jak trzeba.
Lecz cóż wtedy?......
Niech się stanie kara zbrodni,
Gdy dla świata trza pochodni.
Sąd wasz dla ludu konieczny —
Lecz dla zbrodni niestateczny.

Brat jego Karól wyższe podobno jeszcze miał obowiązków poczucie. Był usposobienia łagodnego,

skromny i pełen prostoty. Pouczał się wszystkiego: ślusarstwa — rusznikarstwa — stolarstwa. W kampanii węgierskiéj dosłużył się rangi kapitana.

Edward Stawecki — redaktor Albumu Kaliskiego — poetyczne zawsze miał usposobienie. Opowiadano mi, że gdy w rocie aresztanckiéj — w zaduszonéj kazamacie — wręczył mu podoficer list pierwszy od matki, upadł na kolana i klęczący go przeczytał.

Poezya, którą mi napisał, myśl taką zawiera:

A choć połowy świata niechaj się krew leje,
Byle w reszcie duch został! —

Posiadał dużo zajmujących a nawet i ważnych notatek z kampanii węgierskiéj. — W skutek ciężkiéj pracy na wałach w Zamościu i zgniłego w kazamatach powietrza, wywiązała się i w nim choroba piersiowa. Po odzyskaniu wolności ożenił się z panną Teoną Grygowiczówną, córką więziennego kolegi. Lecz po latach niewielu szczęśliwego pożycia zgasł przedwcześnie — w młodym jeszcze wieku, bo podobno i lat trzydziestu nie doszedł.

Ku jesieni przywieziono do Zamościa, po dwóchletniem w cytadeli warszawskiéj siedzeniu, Hipolita Skimborowicza — i osadzono go na Kawalerze. Pó-

źniéj dopiero na Bramę Szczebrzeską przeprowadzony został.

W tymże roku, lecz w zimie jeszcze, wydarzył się w Zamościu nader tragiczny wypadek. Utrzymujący pocztę, Moskal krwi czystéj, miał żonę Polkę, szlachciankę i córkę urody prześlicznej. W téj zakochał się szalenie pułkownik, stojący z wojskiem w twierdzy, także Moskal. Panny serca nie pozyskał, odmówiła mu ręki — i zastrzelił się z rozpaczy. — Gdyśmy Zamość opuszczali starał się o nią właśnie drugi pułkownik, książę Giedrojć. Lecz nie wiem, czy ze skutkiem pomyślnym.

Widziałam ją raz w ogrodzie akademickim, gdzieśmy w towarzystwie Aleksandra Niewiarowskiego przechadzką doszli — zawsze z dwoma przystawnymi. — I wyznać muszę, że mało kobiet tak uroczych, jak ona w życiu spotkałam: średnio-wysoka, szczupła, wiotka, a nadzwyczaj zgrabna, miała główkę kształtną, twarz drobną, rysów milutkich, składny nosek i usteczka; płeć nieco bladawą, lecz świeżą, ząbki bielutkie, oczy piękne, modre, w ładnej oprawie, z brewką wdzięcznie narysowaną, włosy ciemno-płowe. Dosłyszałam, że mówiła dobrze po polsku, bo z matką i towarzyszkami jakiemiś tym mówiła językiem. O wykształceniu jéj nic powiedzieć nie umiem — ale była podobno wy-

chowanką puławskiéj pensyi. Uśmiechała się wesoło lubo, lubo, że śmierć samobójczą wywołała. Może jednak była niewinną pod tym względem zupełnie — i tak też wyglądała.

Pamiętam, że właśnie wtedy, gdym oglądała się za nią, Aleksander Niewiarowski wykładał mi naukę Towiańskiego. Niewiele z niéj pojęłam, chociaż dość ciekawo słuchałam. A August wszystkim powtarzał następnie:

— Aleksander pouczał żonę moją, że tak we wierzbie, jak i w trawie należy się uznać siostry. I że wtedy dopiero, gdy twór każdy z osobna swobodnym i wolnym zostanie, gdy nie będziemy jedli mięsa z braci: wołu, barana, cielęcia, indyka i t. p., ni téż sióstr: pietruszki, marchewki, cybuli i t. d., — cały ogół szczęśliwym zostanie.

Wszyscy się zabawili — a najwięcéj śmiał się sam Niewiarowski.

Zostawał w Zamościu jako więzień stanu — lecz mieszkał na mieście — Rosyanin Karcow, młody liberał, który przezwał się Carcellini'm, nie lubiąc zakończenia moskiewskiego swojego nazwiska. Chętnie mówił po francusku. Wiódł życie niby panicza. Ubierał się fantastyczno-modnie, i tak: nosił bluzę z zielo-

nėj materyi jedwabnėj, wyszywaną kolorami, pasek złotem tkany, kapelusz ryżowy o szerokich brzegach z wstęgą czerwoną, jasne rękawiczki i lakierki na nogach. — Był podobno jedynakiem bogatėj wdowy. — Opowiadano, że jadąc do Krakowa na początku powstania węgierskiego — w jednym wagonie z Moskiewką jakąś, nagadał jėj dużo zdań rewolucyjnych i komunistycznych, — a szanowna kompatryotka nie miała nic pilniejszego, jak podać denuncyacyą na niego. W skutek tėjże został aresztowanym zaraz i uwięzionym w Zamościu. Siedział nasamprzód na Bramie, ale potėm pozwolono mu nająć sobie mieszkanie w mieście. Znałam go niemal z widzenia tylko. Wykształcenia podobno miał mało, ale serce dobre — i dość często brak pieniędzy. — Pani Gierowa zastała go raz na czereśni w ogródku swoim — a zdradziły go szczególniėj białe pantalony. Poczęłą go łajać — i czmychnął przez płot, zostawiwszy kawałek kokardki czerwonėj. August słysząc o tėj jego przygodzie zaśpiewał:

Chciało się Zosi jagódek,
Kupić ich za co nie miała.....

W połowie września uciekł jeden z roty aresztanckiėj. Należał do dawnėj emigracyi i jako doktor

medycyny brał udział w wojnie węgierskiéj. Ujęty następnie, odstawionym został do Zamościa. Człowiek już wiekowy, życiem sterany, doktor — zjednał sobie uwzględnienie władzy: zdjęto mu kajdany i uwolniono go od wszelkiéj pracy wałowéj. Dnia jednego wyszedł z żołnierzem, jak zwykle, niby to po lekarstwo do apteki — i zniknął.

Narobiło się naturalnie hałasu wiele. Do Warszawy i Petersburga poleciały denuncyacye liczne. To téż wszystkich w rocie zaraz na krzyż we dwa zakuto łańcuchy, pogolono im głowy — i wyszedł surowy zakaz, ażeby do żadnego nie wchodzili domu. — Zatém biedacy już i na herbatę do nas przychodzić nie mogli.

Chodziłam do jenerała z prośbą o złagodzenie wyroku — lecz z żalem mi odpowiedział, że to nie od niego zależy, i odesłał mnie do kapitana od inżynieryi, wydzielającego prace forteczne. — Udałam się do tegoż. Przyjęła mnie pani kapitanowa, młoda, przystojna, elegancka, w eleganckim salonie. Przemówiłam do niéj po polsku — odpowiedziała mi po rosyjsku. Zagadałam po francusku — nie rozumiała. Po niemiecku — ani rusz. — Co tu począć? niestety!

Nadszedł pan kapitan — wcale piękny człowiek, w nowym mundurze, upaczulowany — i podobniutka, jak z panią kapitanową, była z nim rozmowa. Utrapienie prawdziwe! — Gadałam po polsku — on po rosyjsku — i nie rozumieliśmy się nawzajem.

Wiedział jednakże i domyślał się, po co przyszłam — a nazajutrz otrzymałam pozwolenie, ażeby aresztantom rotnym na wały herbatę zanosić. Było to już wiele!

Zaprawiałyśmy tedy z Karoliną herbatę cukrem i arakiem w samowarze. Ona poniosła samowar, ja koszyk z pokrajanym chlebem i szklankę. Po jednemu przychodzili biedacy i wypijali po szklance. Opodal stał żołnierz z nabitą bronią, niepuszczając więźnia daléj, jak na dziesięć kroków. A podoficerowie z kijami w ręku kręcili się wkoło.

Nastały już zimne poranki, a czapki z twardego sukna głów pogolonych nie ogrzewały bynajmniéj. Poszyłyśmy przeto na gwałt czapeczki watowane z kamlotu, które pod tamtemi nosić mogli.

Pozwolił mi nadto kapitan, strzegący roty aresztanckiéj — bo nie wiem, jak go nazwać! — że jednéj niedzieli po obiedzie odwiedziłam biedaków. Nie puścili mnie jednak do kazamat — dla zbyt zepsutego powietrza, a najohydniejszego towarzystwa, jakie tam było. Więc w kancelaryi zeszli się do mnie bohatyrowie z pod Sulnoka, Kapolny, Temeswaru, Komorna i t. d., i t. d.

Opowiadano mi, że mianowicie jeden z wyższych oficerów z szczególną nienawiścią ścigał aresztantów nieszczęśliwych....... Zostali wykomenderowani do szlamowania rowów, błot szkaradnych ..... i kilku z nich

zachorowało zaraz. Czyniono mu uwagę, ażeby jeńców politycznych, jakimi byli Polacy w wojnie zabrani węgierskiéj, inaczéj użyto. Na co on odrzekł: Posłać ich tam właśnie, niechaj wyzdychają sobaki!

Poznałam w Zamościu dwóch oficerów rosyjskich. Jeden, urodzony Niemiec, kapitan Vogt od inżenieryi, człowiek bardzo wykształcony — i chwalony przez rotę aresztancką. Bo gdy z początku on wyznaczał roboty, okazywał się dla nich względnym a sprawiedliwym. — Odwiedził nas dwa razy. Mówiłam z nim wiele o literaturze niemieckiéj, bo czytywał i dotąd cokolwiek wychodziło znakomitszego w Niemczech. — Drugim był Rosyanin z czysto moskiewskiem nazwiskiem — którego nie pamiętam. Także wykształcony i rzeczywiście liberalny człowiek. Mówił po francusku i doskonale po niemiecku. Odbył kampanią węgierską i dużo mówił nam o niéj. A pomiędzy innemi opowiadał: że w lazaretach, debreczyńskim i pomniejszych, na cholerę, tyfus i inne choroby umarło przeszło 30,000 żołnierzy, którzy w boju nie byli wcale!

Aleksander Niewiarowski już w końcu września opuścił Zamość — lecz i znowu przybyli inni.

Nadchodziła jubileuszowa rocznica ks. Paszkiewicza jego pięćdziesięcio-letniéj służby. Rodziny zatém Łubieńskich i Lubowidzkich skupiły się w Warszawie, aby dla osadzonych w Zamościu więźniów, przy tym obchodzie, ułaskawienie wyjednać.

Dnia jednego wieczorem deszcz padał i ciemno było, że choć oko wykól — przybiega do Augusta posłaniec z Bramy z biletem od pana Henryka, zawierającym te kilka wyrazów:

„Przybył w téj chwili Trzciński końmi kuryerskiemi i przywiózł nam ułaskawienie. Eheu! Eheu!“

Było to nazajutrz po onéj rocznicy — a zatém od jubilata wypłynęła ta łaska.

Podzieliliśmy radość pocieszonych. August podskoczył zaraz, chwycił za płaszcz i czapkę, by pobiedz na Bramę.

— Pójdę z tobą! zawołałam — Zostać tu nie mogę.

— Ale jak? Deszcz lał, o to mniejsza. Błoto jednakże zdawało się dla mnie nie do przebycia — bo ulica bruku nie znała wcale. Nie zważałam jednak na nic. Wciągnęłam buty jakieś na kalosze swoje — które potém w błocie zgubiłam...... I August doniósł mnie na ręku, bym sama nie uwięzła — gdy przystawny niósł przed nami latarnkę.

Na Bramie wielka była radość. W celi Lubowidzkiego wszyscy zgromadzili się więźniowie — także

Carcellini i oficer z odwachu — a szampanki tryskały. Pan Lubowidzki uśmiechał się szczęśliwy, rumiany, wesoły — i kazał sobie panu Trzcińskiemu powtarzać: jak to żona jego była na audyencyi i t. p. — Pan Henryk bo więcéj rzewno był usposobionym.

Nazajutrz przyszli do mnie obadwaj panowie.

— Już bez sołdata! zawołał Lubowidzki i w tył stopą wyrzucił. — Jakaż to roskosz być wolnym!

Łubieński uśmiechał się, oczy mu błyszczały — ale okaz radości jego więcéj był cichym.

Dnia trzeciego pospołu opuścili Zamość.

....

Dnia następnego przybyli do Zamościa brat i siostra jednego z siedzących na Bramie Szczebrzewskiéj. Przyszli do mnie z wizytą i opowiadali: że p. p. Łubieński i Lubowidzki ułaskawionymi nie zostali.

— To być nie może! zawołałam — przybył kuzyn pana Lubowidzkiego z ułaskawieniem i już wczoraj wyjechali.

— Zawierzaj nam pani, że nie są ułaskawieni! Jedziemy z Warszawy. Chwilowo krążyła wiadomość, że książę ich ułaskawił, lecz to ułaskawienie cofniętém zostało...... Cofnął je cesarz.

— Ależ to jest okropnie!

— Zapewne. Cała Warszawa tą nowiną wrzała.

Nadszedł August i jemu w pierwszéj chwili wydawała się posłyszana wiadomość niepodobieństwem.

Nazajutrz poszłam do jenerałowéj. I otóż prawdą było, cośmy posłyszeli.

— A jeszcze co więcéj — dodała — fatalność prawdziwa! Syn starszy pana Henryka pędził kuryerskiemi końmi z Warszawy, ażeby powstrzymać wyjazd tych panów z Zamościa. Tymczasem znużony podróżą, niewywczasem, zdrzemnął się zapewne i minął ich w Krasnymstawie. Zabawił tutaj tylko kwadrans i zaraz znowu pogonił napowrót.

Wiadomość ta na nas wszystkich nader przykre sprawiła wrażenie. Żal nam było sędziwych ludzi, zawiedzionych tak srodze.

W listopadzie skończył się rok siedzenia Augusta.

Pożegnaliśmy szlachetną rodzinę Oppermanów z uczuciem serdecznéj wdzięczności, zacnych Łojewskich, dra Onacewicza, dra Racewicza, poczciwą panią Gierową i jéj ładną córkę, księży wikarych i ks. Rzewuskiego.

Wstąpiliśmy do roty aresztanckiéj. Żegnali nas ze łzami — żem aż ściśnienia serca dostała.

Po objedzie poszliśmy na Bramę Szczebrzeską — i spędziliśmy godzin pare z kolegami niedoli Augusta.

Słomińscy przysłali po nas powóz. — Do więźnia, pana Waligórskiego, przybyła na dni pare żona jego. Miała już znowu do Warszawy powracać. Ofiarowaliśmy jéj miejsce w powozie naszym, które chętnie bardzo przyjęła. — Biedaczka, była zaledwo pare tygodni po ślubie, gdy jéj męża ukochanego wydarto. — W cytadeli siedział pół roku — i na pół roku był do Zamościa skazanym.

Późniéj zrobił go August sekretarzem przy Dzienniku Warszawskim Henryka Rzewuskiego. Pisywali do nas dość długo. A gdy im urodziła się córeczka, prosili mnie, bym ją do chrztu podała. Uczyniłam to przez prokuracyą — i podobno moje dano jéj imię. Gdym następnie odwiedziła Warszawę, w r. 1855, nie zastałam ich tamże, bo pan Waligórski na prowincyi posadę otrzymał.

Pod Krasnymstawem jest włość śliczna, Tarnogóra: pałac na wzgórzu ponad jeziorem w otoczeniu pięknego ogrodu.

Wezwani serdecznie przez dziedziczkę, panią Czyżewską — korzystaliśmy z wdzięczném uczuciem z uprzejmego zaproszenia.

Panią samą z dwiema ładnemi córkami zastaliśmy przy nader pięknem zatrudnieniu: układały zioła zaszuszone, do domowéj przeznaczone apteki. — Syn,

pan Władysław, nadjechał z pola — i spędziliśmy godzin parę w tém nader miłém, wykształconém gronku. powitani i pożegnani tak szczero-życzliwie.

Późnym wieczorem stanęliśmy u Słomińskich. Zabawiliśmy tam dzień następny. Pana Ludwika nie było — bo po uroczystościach warszawskich, na które wybrał się także, w dalszą jakąś puścił się podróż. — Opowiadano nam jednakże wiele o balach i teatrach, na których rodzina carska uczestniczyła wszędzie.

Jadąc do Lublina, popasaliśmy w zajeździe, w Wojsławicach — tak straszno-pamiętnych z roku 1863, zamordowaniem przez rozjuszone żołdactwo moskiewskie, ś. p. Wojciechowskiego i popełnione bezprawia okrutne.

Położenie Wojsławic jest ładne bardzo. Było to święto jakieś, a w zajeździe pełno ludu wiejskiego. August wdał się z niemi zaraz w pogadankę. Zapytał żartobliwie: czyliby która z dziewcząt ze mną pojechać nie chciała? I znalazły się dwie gotowiuteńkie: dwie śliczne dziewuszki, młodziutkie, hoże, wysmukłe, z wielkiemi niebieskiemi oczyma, jasnym warkoczem, białego lica, a świeżutkie. Wśród wiejskiego ludu nigdy równie ładnych nie spotkałam. Biedaczki! Chciały w świat obcy pojechać, porzucić rodzinną chatę i wioskę! — Więc i one w głowinach swoich znać o jakimś uroczém roiły zaświeciu — marzyły młodo — i wyobrażały sobie świat piękniejszym poza ich rodzinnym zakątkiem! Żal mi ich było — żem aż połajała Augusta: po cóż

je zbudził tak złudnie?! — Pogłaskałam ich wdzięczne lica; powiedziałam, że w lecie znowu tędy przejeżdżać będę; że w zimie daleka podróż bardzo jest przykrą.... Dałam im po wstążce w upominku — i pożegnałam.

Może tam i nieraz śniły jeszcze o wylocie z matczynego gniazda, wyglądały, czyli nie nadjadę po nie.... aż chyba Stach jaki lub Jonek kazał im o reszcie świata zapomnieć.

W Lublinie dali państwo Ścisłowscy dla nas wieczorek i dość dużo zebrało się osób.

Opowiadali nam rzecz arcydziwną: stał w rogu pokoju na słupie zegar brązowy, zepsuty od lat kilku — nie nakręcany wcale. Gdy oto wczoraj wieczorem nagle wybił godzinę którąś i posuwał się odtąd. Nie umieli sobie tego zjawiska wytłomaczyć bynajmniéj.

Ktoś z obecnych twierdził, że może mysz zakradła się w środek i poruszyła sprężyny. — Co stało się daléj? nie wiem.

Zabawiliśmy do godziny 10téj i pożegnali życzliwych.

W hotelu czekał nas ekwipaż gorzeński — i wyruszyliśmy nazajutrz rychło z Lublina.

Poza miastem spotkał nas nowy transport więźniów do Zamościa. Byli pomiędzy nimi i znajomi.— Daléj znowu prowadzeni przez Kozaków, powiązani stryczkami rekruci. — O smutne, smutne to wrażenia! —

Serdecznem ponad wszelki wyraz było powitanie w Górznie. Poczciwy brat Klemens śmiał się — a miał łzy w oczach.

Przyjechali nazajutrz państwo Stanisławowie z Chotyni — i przybywali łaskawi sasiędzi, by nas powitać. — Poczém spieszyliśmy do Warszawy, bo termin zakreślony upływał.

Na obchód jubileuszowy księcia Paszkiewicza — nie pomnę którego października — wielkie, przewielkie w Warszawie, jak wiadomo, poczyniono zachody. Marszałkowie szlachty zapraszali obywatelstwo: wskazując, że wpływ zbawienny wywrzeć potrafią, gdy zjadą i udział wezmą w uroczystościach i balach: że niejedno tym sposobem wyjednać potrafią, gdy w razie przeciwnym wywołają tylko podraźnienie, nienawiść — i zemstę.

Marszałek Jezierski przybył do Górzna i przedstawień nie szczędził.

Zacny, poczciwy Klemens, podówczas sędzia honorowy powiatu Garwolińskiego — ociągał się z początku, ale wzgląd na Augusta ..... na stósunki nasze — i wskazane przez Jezierskiego cele, spowodowały wreszcie, że do Warszawy pojechał.

Wiadomo, że obywatelstwo zjechało się licznie — a bardzo licznie. Wszystkie hotele były przepełnione, i prywatne nawet wynajęto mieszkania.

Recepcya w dzień jubileuszowy była w dworcu księcia przy Alei Belwederskiéj. Wszystko podążyło tłumnie.

To, co powtórzę tutaj, opowiedział mi brat Klemens z zastrzeżeniem wyraźném, ażebym spamiętała i powtórzyła kiedyś.

— Bratowa spamiętaj — napominał — bo to pamiętna była chwila. — Zebrało się nas kilkudziesięciu w drugim salonie, obok tego, w którym znajdował się książe, wielcy książęta rosyjscy i dygnitarze. W tém nadbiega marszałek Jezierski i bierze marszałka szlachty gubernii Kaliskiéj pod rękę, mówiąc:

— „Hrabio, otóż i chwila stanowcza! Wybudowałeś kościół w Lędzie na chwałę Bożą, a teraz, ku chwale ludzkości ratuj nieszczęśliwego, wieloletniego sybirskiego skazańca: daj mu szczęście i powróć go rodzinie! Wstaw się za Filipem Grodzickim! Chodź, chodź, jednéj nie traćmy chwili!“ — pociągnął go z sobą i weszli do drugiego pokoju. Było słychać głos jednego i drugiego . . . . odpowiedź księcia . . . Jezierski wybiegł z promieniejącą twarzą, za nim Gutakowski...... W godzinę potém już pędził kuryer z Warszawy, niosąc Grodzickiemu wybawienie! — Serca nam podskoczyły i niejedno zwilgotniało oko:

Bóg dozwolił, że nieszczęsny wygnaniec odetchnie znowu powietrzem ojczystém i na łono rodziny powróci! . . . W niemym uścisku podaliśmy sobie dłonie.

Och, czemuż panujący, możnowładzcy, tak mało własny rozumieją interes? — Znać taką jest wola opatrzności, która na szali losów przyszłość ludów waży.

Był bal świetny u namiestnika. Drugi wyprawił magistrat w salach ratuszowych. Trzeci został zapowiedzianym przez marszałków szlachty.

W tém zaczęła po Warszawie obiegać pogłoska, że zebranemu obywatelstwu zostanie do podpisu przedłożoną prośba: by królestwo kongresowe car miłościwie do cesarstwa wcielić raczył. Raziło to piorunem oczywiście wszystkich.

— Ziemia paliła się podemną — opowiedział brat Klemens — stanęła mi przed oczami Targowica albo Sybir! . . . Późno do mieszkania wróciłem. Uporządkowałem papiery, poczyniłem rozporządzenia niektóre. Chodziłem po pokoju. Otworzyłem okno i wychyliłem się na pustą ulicę. Chłód nocy mnie owiał, ale krew po żyłach kipiała i tętna wszystkie uderzały gdyby młotem. Żegnałam już w myśli rodzinę i na kibitkę wsiadałam. . . . Rzuciłem się na łóżko, ale sen był dalekim i nie skleiłem powiek. Wstałem rychło . . . syn miał przyjechać na bal marszałków . . . . i wysłałem sztafetę, ażeby nie przyjechał, żadnego nie podając powodu. — Wyszedłem na miasto. Wszyscy

znajomi, jak powarzeni chodzili. Wreszcie zebraliśmy się u sędziwego pana. *)

— Mówiono o wieści obiegającéj, i że często rozpuszczą naprzód to, co uczynić zamierzają: ażeby osłuchała się publiczność, zanim akt nastąpi. . . . . Gdy w tém, szanowny a rozumny starzec, następującym nieco zaspokoił nas argumentem: „Jakżeżby od nas takich zażądano podpisów?“ — wyrzekł. — „Kongres wiedeński traktował nas jak dzieci małoletnie, powiązał nam ręce, rozrządził nami, — zatém nic o sobie stanowić nie możemy. To téż i prawo nie posługuje nam żadne, byśmy na podobnych prośbach podpisy kładli nasze. Otóż co odpowiemy, gdyby ich od nas żądano.

— To dictum znanego obywatela pokursowało znowu. — Bal marszałkowski odbył się wystawnie i pięknie. Księżne i książęta krwi Romanowych, Holstein-Gottorp, tańczyli ze szlachtą polską. Zabawa odbyła się z wielkim wdziękiem i harmonią. O akcie onym przygotowanym do podpisu, już mowy nie było więcéj — i rozjechaliśmy się do domów.

Nadto powtórzył nam brat Klemens, że marszałek Jezierski przyrzekł wstawić się za Augustem, gdyby mu jeszcze co zagrażało.

*) Obywatel ten już od lat kilku nie żyje.

Pożegnaliśmy Górzno — i już tam nie postałam więcéj. . . . .

Zaraz nazajutrz z rana, po przybyciu naszém do Warszawy, poszedł August zameldować się Abramowiczowi. Przyjął go w salonie, a grzecznie bardzo— po polsku. Rzucał znaczące frazesa . . . . któremi niby-to łagodził srogie swoje z nim postępowanie w ratuszu. O mnie wyrażał się, jak gdyby August cenną posiadał perłę . . . . . Ogółowi kobiet nie szczędził sarkazmów — zwłaszcza téż we wyższych sferach, dodając:

— Jestem oberpolicmajstrem . . . . i poznałem wszystko.

A wreszcie śmiejąc się z ironią, wyrzekł:

— Kiedyś może pan opiszesz mnie, jak węża. Ale, to i cóż począć na tym nędznym świecie?

Dnia następnego odwiedzili nas panowie Lubowidzki i Łubieński — znękani doznanym zawodem, ale i zrezygnowani. Otrzymali wyrok na trzy lata: Łubieński do Kurska, Lubowidzki do Orła. Piękneż to zatém było ułaskawienie! — Mil tyle daléj — w kraj obcy — a jeszcze i rozdzieleni! — Czyliż nie stokroć lepiéj było w Zamościu? — Zaiste, że dziwna była to łaska! —

Wyjechali w ciągu zimy. Każdemu ktoś z rodziny towarzyszył, ażeby im srogą niedolę wygnania osłodzić nieco.

Witani przez wszystkich, rozpieszczeni niemal — Warszawa ukołysała nas w przyjaznèm objęciu po doznanych goryczach i bólach. Z widzenia zaledwo znane nam osoby, zastępowały nam powitalnie na ulicy — zaczepiały na koncercie — wyciągając ręce do uścisku. Niekiedy pamięć zawiodła, że i nie poznawaliśmy, kto nam tak szczerą okazuje życzliwość— ale wdzięcznèm i aż rzewnèm odpowiadaliśmy uczuciem.

Tymczasem potrzeba było w obec władzy nie zasypiać gruszek w popiele, — nie, s'endonner dans la neige, jak mówią Francuzi. Radził nawet i Abramowicz, by utorować sobie drogę do księcia i zrobić podanie o przedłużenie paszportu.

Przyjechał brat Klemens i posłał dowiedzieć się w mieszkaniu marszałka Jezierskiego, czyli nie jest w Warszawie — bo chciał go odwiedzić. Nie było go — ale nazajutrz odwiedził nas syn jego starszy, Waldemar, adjutant Paszkiewicza. Zobowiązał nas niezwykłą uprzejmością, wyrażając się:

— Ojciec mój uczyni wszystko, gdy będzie w Warszawie. A gdybym w czemkolwiek mógł być użytecznym, skińcie państwo tylko na mnie, a stawię się zaraz.

Odwiedził nas i późniéj znowu — a zobowiązał zawsze.

Wybrałem się na audyencyą do księcia. Przed zamkiem zbierała się wojskowa parada, panował ruch jakiś niezwykły. Będąc już na wschodach, zobaczyłam z drugiéj strony nadchodzącego Paszkiewicza, w otoczeniu jenerałów, adjutantów, wyższych oficerów. Dostrzegł mnie Waldemar Jezierski, usunął się, przybiegł i skłoniwszy się, poszepnął mi:

— Dziś audyencyi nie będzie.

Wróciłam zatém z niczém do domu. — Przybycie jakiéjś wielkości książęcéj przeszkodziło audyencyi zwykłéj.

Tymczasem zbliżył się do nas Henryk Rzewuski i szczególną Augusta odznaczał względnością. Doznawał łask wielkich u księcia, był w zamku gościem codziennym — zdawało się zatém, że opinia jego jest tamże wszechwpływową.

Uradzili przyjaciele nasi, ażebyśmy niezaczepiani, na teraz nie poruszali kwestyi pozostania, bo ta utrze się sama zapewne: a kto zapytuje, ten i niepotrzebną często odbiera odpowiedź. Nadto zapewniał pan Waldemar, że ojciec jego będzie miał nasz interes na pieczy.

1go lutego zachorował nagle brat nasz ukochany Klemens. August pojechał bez zwłoki do Górzna z drem Majewskim. — 5go lutego powrócił z rana, a wchodząc do pokoju głośnym, jak dziecko, wybuchnął płaczem. . . . . Zrozumiałam bolesną — najboleśniejszą, niepowetowaną stratę.

W pierwszéj seryi Moich wspomnień już o śmierci ś. p. Klemensa mówiłam — i tutaj znowu łzawą święcę mu pamięć.

Projekt Henryka Rzewuskiego, założenie dziennika w Warszawie i zaproszenie natarczywe Augusta do redakcyi — niby to dawało rękojmią, że już pozostaniemy spokojnie w Warszawie. O czém i Rzewuski sam zapewniał.

August wzdrygał się z przyjęciem współudziału— jak to już powiedziałam — ale namówili go wreszcie ludzie zacni — że i przychylił się do wezwania.

Znaną — opowiedzianą już w dawniejszych Moich wspomnieniach jest smutna katastrofa nakazu namiestnika: byśmy w przeciągu dwudziestu czterech godzin opuścili Królestwo.

W dwudziestu czterech godzinach! Srogi wyrok aż nadto — bo zostaliśmy, jakby z procy wyrzuceni.

August pobiegł do jenerała Abramowicza, by nam zwłokę na dni kilka wyjednał: dla uregulowania interesów.

— To Rzewuski wam zrobił! wymówił Abramowicz z sarkastycznym uśmiechem. Uczynię co potrafię.

I wyjednał nam na dni sześć przewłokę.

Pod wieczór tegoż dnia przyszedł adjutant Waldemar Jezierski i ofiarował że do ojca napisze. August mu podziękował, ale życzliwéj ofiary nie przyjął.

— Zprzykrzyły mi się te machinacye wszystkie — wymówił — straciłem brata, którego całą duszą kochałem, to i pobyt mój w Kongresówce już dla mnie stracił wartość i powab. Wyjadę!

I wyjechaliśmy.

Józefa Majchrowiczówna.

Niegodziwa szalbierka w r. 1851 do granicy pruskiéj odstawioną została z córeczką, którą urodziła w więzieniu karném w Warszawie. — Mówiono nam, że w więzieniu miała zawsze pieniądze, za które sobie kupowała łakocie. Zkąd je miała? Nikt nie wiedział.

Przybywszy do Księstwa, czyli to z dawniejszymi spiknęła się spólnikami, czyli téż nowych znalazła, — dość, że znowu poczęła poprzednie prowadzić rzemiosło Jeździła z miejsca na miejsce, była i w Wrocławiu, gdzie oszukała kupca Immerwahra. Przybrała rolę nieszczęśliwéj, prześladowanéj i wyzyskiwała litościwe serca na nowo. Wreszcie ujętą za włóczęgę i oszustwo, osadzono w Ostrowie, gdzie przez lat pare zostawała pod śledztwem. A następnie r. 1856 skazał ją wyrok sądowy na trzy lata do karnego więzienia w Kościanie.

Po wyjściu z Kościana niewiadomo gdzie się obracała. Ale właśnie, gdy to piszę, w czerwcu r. 1872 na-

deszła wiadomość ze Lwowa, że tam pojawiła się znowu, jako ofiara prześladowań moskiewskich: matka synów poległych, porozstrzelanych, powieszonych; że sama wraca ze Syberyi, gdzie jeszcze jéj córka jedyna zostaje. Pań kilka pierwszych zajęło się jéj losem, doznała opieki i wsparcia — aż wreszcie poznał ją pan K. P., jako tę, która go w r. 1864 zadenuncyowała. Poznali ją i inni, jeszcze z czasów dawniejszych. . . . . Policya szałbierkę schwyciła i podobno odstawiła do granicy pruskiéj.

Poprzednio już nadeszło do niektórych osób ostrzeżenie ze Lwowa, o wierutnéj oszustce do Księstwa i załączono jéj fotografią — w któréj Józefę Majchrowiczównę poznano.

Jest ona córką ogrodnika z Czacza w Kościańskiem. Służyła do szycia w niektórych dworach. Wyjeżdżała i za granicę z paniami swojemi. W r. 1844 siedziała za kradzież przez sześć miesięcy w Rawiczu. Wypuszczoną ztamtąd, uwięziono znowu za oszustwo. Poczem wyjechała do Galicyi, a w r. 1847 do Hanoweru. — Była podobno i w Paryżu. Z kim i jak?- Niewiadomo. — Wróciwszy do Księstwa, występowała jako Potocka, Jełowicka z domu — a niby to, jako wdowa po Pantaleonie Potockim, powieszonym w Siedlcach! — i najpierwsze w Księstwie wyzyskiwała rodziny. Bawiła i czas jakiś w Pusach Zachodnich.

Przybierała nadto i nazwiska: hrabiny Bielińskiéj, Gostomskiéj, Jabłonowskiéj, Kutznerowéj, Sławińskiéj, Zielińskiéj i t. d. —

Brat jéj rodzony, Ludwik, ogrodnik w Kunowie u pana Mittelstaedta, wystąpił ze świadectwem przeciwko niej, wykazując jéj złe sprawy od lat najmłodszych.

Może późniéj więcéj jeszcze posłyszymy o niéj.

Powrót do Księstwa.

Z bólem serca i w głębi duszy pożegnaliśmy Warszawę i Kongresówkę — jak to już powiedziałam poprzednio, — zbrojąc się jedno w obec drugiego, by ciężkiego nie okazać żalu.

August chorował w drodze na żółciową febrę — i zabrał z sobą recepty od zacnego przyjaciela lekarza, dra Ferdynanda Dworzaczka, które niebawem przywróciły mu zdrowie. — Jam była złamana, ale na pozór spokojna. Pozostawiliśmy wiele za sobą, do czego serce siłą całą przylgnęło.

Wprawdzie nie żył już brat Klemens — ale zostawiliśmy poza sobą rodzinę — wuja mojego i przyjaciół szczerych, prawdziwych, bezinteresownych. Bo takich z błogiem przekonaniem — a tak nieskończenie rzadkiem! — liczyliśmy w kole znajomych naszych. — Niedawno mówił jeden z publicystów tu-

tejszych w obec kilkunastu osób: „August Wilkoński był w swoim czasie najpopularniejszym człowiekiem w Warszawie.“ — I zaprawdę, że o nim wszyscy wiedzieli — wszyscy jego powtarzali dowcipy i humoreski, a nawet i niejedno na jego rachunek stworzyli: wszyscy go poszukiwali i lubili. — Humór zawsze miły, żartobliwość swobodna bez kaleczenia, serce najpoczciwsze w świecie i gotowość życzliwa usłużenia każdemu, jednały mu liczne grono przyjaciół. — O sobie tyle tylko powiem — co mi Julian Bartoszewicz powtarzał wielokrotnie i na pamiątkę zapisał: „że nikt nigdy nic złego, nic ubliżającego nie powiedział o mnie.“ ...... — To i jakżeż nie mieliśmy czuć się szczęśliwymi w przyjaznych kołach Warszawy?

Zatém nic dziwnego, że przybywszy w Poznańskie — o, wybaczcie zacni Współrodacy moi! — wydawało mi się ono chłodném...... — i całując kolana ukochanéj matki, ściskając siostrę, pieszcząc jéj dzieweczki — witając krewnych i znajomych, — dusza rwała się do Kongresówki, do Warszawy — gdziem więcéj odczuwała ciepła — więcéj życia — więcéj współczucia — i pocieszania się nawzajem w spólnéj niedoli.

Spędziliśmy tygodni kilka w drogich mi Siekierkach — które niewysłowionym objęły mnie urokiem. Wypłakałam się przy grobie ojca — bo wspomnienie zacnego, poszanowania godnego męża jasną gwiazdą

dzieciństwo moje rozświeca; popłakałam przy grobie najmłodszéj siostrzyczki ukochanéj Oci — stawałam się z dniem każdym więcéj wątłą i cierpiącą. W skutek więc narady lekarzy wyjechaliśmy w pierwszych dniach lipca do Karlsbadu.

Interesowały mnie szczególniéj wszystkie figury napotykane w wagonach, bo ciekawam była widzieć i słyszeć Niemców po roku 1848. — Różne też o uszy moje obijały się zdania — ale mało tylko odpowiednie oczekiwaniom naszym.

Jeden z podróżnych zmiarkowawszy, żeśmy Polacy, wdał się w pogadankę i opowiadał nam: że był przez trzy kwartały w kantorze bankiera Koniara w Warszawie. Gdy wjeżdżał do kraju, zabrano mu na granicy kufer z książkami do cenzury — nadto ryciny i rękopisa jego, bo dawniéj pracował w górnictwie. — Starał się o ich odbiór, ale zwłóczono go od czasu do czasu. Wyjechał tymczasem z Warszawy — i dotąd jeszcze, po latach, kufra nie odebrał. Sarkał więc — biadał i przeklinał tamtejszy system — oczywiście, jako nim osobiście dotknięty.

Od Szczecina jechał w wagonie z nami wyższy jakiś oficer pruski i kilku bardzo rozmownych cywilnych — wszyscy konserwatyści podobno. August się wmięszał do ich rozmowy — bo to już niepokonaném było w jego żywéj naturze. Rozmowa weszła na pole o latach przebytych po roku 1848 — i następstwach

onych wypadków. I zanotowałam sobie wyrzeczenie oficera: „Gdybym żył w Warszawie, byłbym demokratą zapewne, ale nie takim, jak ci u nas w roku 1848. A pamiętne mi na zawsze słowa znaczące jednego z Polaków lewicy naszéj: „W interesie Ojczyzny mojéj wypada mi głosować z wami, ale nie chciałbym pomiędzy wami zasiadać.“

Poczęli następnie opowiadać anegdotki gorszące o demokratach berlińskich. Ośmieszali dni marcowe... A jednakże, jednakże niestety! — dni te tyle krwawych położyły ofiar!! — Przytaczali fakta, że wielu z przywódzców barykadowych byli...... tylko przebrani w bluzy i paletoty ajenci policyjni: by wywołać porwanie się głów zapalonych (Hitzköpfe) — dla poczynienia z nich ofiar ku podźwignieniu i wzmocnieniu sprawy konserwatyzmu! — Okropność!! — Późniéj w różnych pismach niemieckich podobne sprawozdania napotykałam. Oczywiście, że z nieokreśloną ciekawością i oburzeniem słuchaliśmy rozmów powyższych.

Gdyśmy na dworcu kolei w Berlinie stanęli — zamknięto nas na klucz w wagonach — dopóki każdy z podróżnych paszportu nie złożył swojego! — Współtowarzysze naszego wagonu mieli teraz pole wyszydzania słusznie owych Errungenschaften z roku 1848 — co też nach Herzenslust czynili ku wielkiéj zabawie Augusta.

Och gromiące wyrazy Freiligrath'a: Die Tod-

ten an die Lebenden, — ileż gryzącej zawierają prawdy!

„Die Kugel mitten in der Brust, die Stirne breit gespalten,
So habt ihr uns auf blut'gem Brett hoch in die Luft gehalten....."

A potém co? — Otóż poeta woła?

„Weh' euch, wir haben uns getäuscht! — Vier Monde erst vergangen —
Und Alles feig durch euch verscherzt, was trotzig wir errangen!
Was unser Tod euch zugewandt, verlodert und verloren....."

Aż wreszcie zawitały:

„Der Aberwitz des Dänenkriegs — die letze Polenschande!"

Och, nie ostatnia to jeszcze była sromota! Nie ostatnia! Wieszcz nie przeczuwał Jubelfestu roku 1872! — Ale będzież to już i ta ostatnią Polenschande?!

W Berlinie zabawiliśmy dzień następny. W Operhaus'ie przedstawiono wieczorem Proroka, a występował Roger z Paryża — to i jakżeż pójść nie było?......

Wystawa podziwiać się kazała, mianowicie też poranek zimowy — wschód słońca — sztuką Gropiusa

nadzwyczaj wykonany złudnie. — Ogromna skala głosu panny Wagner, czystość metaliczna i nieznużenie tegoż; akcya i pozy, do których jéj wysmukła, wysoka szczególniéj nakłaniała się postać, — wszystko przeświadczało, że nie łatwo o drugą podobną F i d e s. — Roger'a piękny tenor wtedy w całéj jeszcze przechował się sile i głębi — ale nie dał zapomnieć naszego Dobrskiego! —

Przejechawszy granicę saską, nęcą oko wdzięczne, zielone krajobrazy, roślinności podziwu godnéj: ciągnące się winnice nieprzejrzaném pasmem — i każda piędź ziemi uprawna, zużyta, plon przynosząca — że aż niby duszno . . . . nawykłym do widoku porosłych darnią i tarniną obszarów, dotąd pługiem nietkniętych jeszcze — gdzie bociany zwykle nieprzeliczoną zbierają się gromadą przed wylotem swoim po za ocean.

W Dreznie zabawiliśmy dzień jeden — i wprzelocie jedynie zobaczyli wszystko, niby-to n a t e r a z tylko.

Dorożkarż który nas obwoził, chciał nas zawieść do grobowca jenerała Moreau — zkąd podobno rozległy widok i najpiękniéj przedstawia się Drezno. Lecz nie chciałam pojechać — na co i August się zgodził: nie chciałam oddać téj czci Francuzowi, który połączył się z wrogami własnéj ojczyzny i przeciwko braciom swoim broń podniósł. — Woźnicy dziwném się

to zdawało, bo znać dużo tam woził podróżnych. Pomnik ten odwiedzali przecie króle i cesarze! —

Podróż dalszą z Drezna odbyliśmy koleją a nie statkiem parowym. Nie potrzebuję wypowiedzieć ile mnie przecudowne Saskiéj Szwajcaryi zachwycało panorama — bo to już tylu a tylu tak dokładnie a pięknie powiedziało przedemną.

W wagonie naszym siedział oficer saski z żoną, a mieli wysiąść na stacyi wprost Königstein'u; jakiś krągławy jegomość, rumiany, dobrodusznego wyrazu— i dwóch młodych mężczyzn. — August, chętny zawsze rozmowie — niebawem pogadankę z oficerem zawiązał. Ja tymczasem zatopiłam się wzrokiem w prześliczne widoki — a myślami gdzieś tam zatonęłam daleko. W tém z tego rozmarzenia, wyrwały mnie nagle głosy podniesione .... August wszedł słowem na pole polityki — mówił znać o stanie obecnym w Europie — i posłyszałam wyrazy oficera: „Ich schere mich nicht um Politik! Bin kein Bürger sondern Soldat und der unterthänigste Knecht des Königs, meines Herrn. Gehe wo er mich schickt und lasse mich todtschiessen wann er's befiehlt.“

Mowa ta ostatecznie zniecierpliwiła Augusta. Rzucił się — coś tam gorżkiego powiedział ... Przerażona do żywego poszepnęłam mu:

— Na Boga, zmityguj się! Pomniéj, że nie stoisz na trybunie! Miéj wzgląd na mnie. ....

Umilkł — zaciął zęby i sapał. Oficer patrzał w milczeniu przed siebie — pomięszany. Żona jego coś mu tam poszepnęła także. Potém zwróciła się do nas z wyrazem nadzwyczaj uprzejmym i poczęła o... Dampfschiff'ie mówić. Odpowiedziałam jéj również grzecznie. Zagadałam o Königstein'ie — i odpowiadała mi widocznie rada, że spór się już skończył.

Na stacyi wysiedli oboje. Oficer podał Augustowi rękę, mówiąc:

— Nichts für ungut! i wyskoczył.

Żona jego wdzięcznym udarzyła nas ukłonem. Gdy już odeszli, krąglawy jegomość i dwaj młodzi zaśmiali się wesoło. Jegomość podał Augustowi rękę, mówiąc:

— „Ich bin ein Rheinländer und vertrage gar nicht diese servilité. Aber Sie haben es ihm gut gesagt.

Dwaj młodzi uścisnęli Augusta także, oznajmiając, że są Czechami: że zrozumieli każdy nasz wyraz, w polskiéj wyrzeczony mowie. Okazywali serdeczne współczucie dla wszystkiego co polskie. Zapytywali o Warszawę — o Moskali — o nieszczęsne stosunki kraju. Do czego także Nadreńczyk swoje domieszywał uwagi.

Dwaj Czechowie mówili nam dużo o Pradze — i o swoich znakomitościach. O nienawiści dla Niem-

ców — a z zapałem o wielkiéj wszechsłowiańskiéj jedności. . . . . —

Stanęliśmy w Bodenbach — i tutaj rozjechaliśmy się z braćmi Czechami: pojechali do Pragi — a nas wiodła droga do Cieplic.

Och ślicznie obrazowo, wprost, w oddali rysuje się czarno na błękicie, w przerwie skalisto-leśnéj, w kształcie fantastycznym, zamek Schreckenstein — przywodząc w pamięci i rojeniach mistycznych, wszystkie o nim powzięte poetyczne tradycye — a na ich czele Consuelo! — Przypatrywałam się temu widokowi z nieokreślonem zajęciem — różne, przeróżne w rozbudzonéj fantazyi skoro pochwycone rozwijając wysnówki, dopóki mnie August niemal gwałtem do nakrytego nie powiódł stołu, gdzie nas dobrze sporządzony czekał beefstaeck.

W Cieplicach zanocowaliśmy — spędziwszy wieczór w pięknym parku. — Nazajutrz wyjechaliśmy nie rano — bo czułam się znużoną bardzo.

Popasaliśmy w Dux — dawnéj Wallensteinów siedzibie — co mnie zadowoliło nad wyraz. Szyllerowskiego Wallenstein'a przeczytałam siedm razy — a kabalistyczna to liczba! Jestem więc niby pod zaklęciem tego wielkiego poetycznego dramatu — a postać księcia Friedlandu mam przed oczyma duszy w bardzo żywéj pamięci — bo w młodych ujętą latach, gdy nierada tylko byłam, że urocza Tekla i bo-

hatyrski Max Piccolomini, byli kreacyami wieszcza jedynie.

Udaliśmy się nasamprzód do kościoła — a potém do pałacu. Znajdujący się tamże zbiór starożytności— co zwłaszcza dla zgłodniałych pod tym względem jak my, wcale był interesującym. — Są tam i pamiątki po Wallenstein'ie. Pomiędzy innemi kołnierzyk koronkowy z ciemnemi krwi plamami — bo miał go podobno na szyi, gdy w Egerze, najemny morderca życia go pozbawił. Powtórzyłam sobie w myśli wyrazy:

„Es giebt keinen Zufall!
Und was uns blindes Ohngefähr nur dünkt,
Gerade das steigt aus den tiefsten Quellen. —

I smutno mi się zrobiło — bo podobno, że to wyrzeczenie prawdziwą zawiera prawdę — najprawdziwszą. Nie traf ślepy rządzi światem i losami naszemi — lecz wszystko jest wynikiem poprzednich działań i następstwem ich nieuniknioném. Widzimy przykłady pouczające, jakoby opatrznościowe przestrogi, a nie umiemy z nich korzystać z powodu ułomnéj człeczéj natury. Mamy oczy, a nie widzimy — mamy uszy, a nie słyszymy. — Wallenstein'a zagnała pycha pod nóż mordercy.

W bibliotece, dość obfitéj w stare księgi, zobaczyliśmy i dzieła w języku francuskim, dotyczące historyi polskiéj.

Z okien pałacu, który nieco stoi wyżéj, śliczny jest widok na ogród piękny — w wiekowe drzewa bogaty.

Z przyjemnością spotkaliśmy się tutaj z rodziną polską p. p. S. z Gostyńskiego. Zostawali na kuracyi w Cieplicach, namawiali, byśmy zawrócili i zatrzymali się tam także. Mnie jednakże Karolowe-Wary przepisane były. Chodziliśmy wszędzie pospołu. Spotkanie rodaków na obcéj ziemi zawsze bardzo jest miłém — więc téż zdawało nam się, żeśmy sobie już dawniéj znajomi byli. Nastąpiło pożegnanie, aby nie zobaczyć się więcéj! Powrócili do Cieplic — a myśmy ruszyli daléj — i z góry na górę.

Stanęliśmy w Saatz przed wieczorem po dość nużącej podróży — i zostaliśmy tamże na noc.

Nazajutrz, około godziny piątéj z południa, byliśmy w Karlsbadzie. August pobiegł szukać mieszkania i znalazł dwa dość dogodne, a niezbyt drogie pokoje im Monde naprzeciw kościoła. — Tylna strona domu schodzi do Sprudl'a — co mi dogadzało wielce.

Miałam z sobą moją Eleonorę — ową Warszawiankę, która to opuścić mnie nie chciała, więc i rozgospodarowała się niebawem. Zabraliśmy pościel swoją w dużym tłomoku — po dawnemu, jak to czynili ojcowie nasi — i samowar, jako nawyczek nowszych czasów. Co zaprawdę kosztu nie przysporzyło, a dało wszelki comfort.

Nazajutrz poprosił August do mnie doktora Gans z Pragi — do którego mieliśmy list od dra Chałubińskiego. Był to już niemłody, przyjemny i zacny człowiek: zwykły lekarz Polonii. — Bywał u nas codziennie. Przychodził nawet na herbatę niekiedy — którą lubił bardzo — i też z tego powodu wolno mi ją i przy Sprudl'u pić było. Opowiadał, że przez kilka miesięcy zimowych bawił przed laty kilkoma w jednym z pierwszych domów na Podolu, nawykł tamże do herbaty i nauczył się cenić ją i uznawać, jako napój najzdrowszy.

Karlsbad.

Karolowe-Wary wdzięcznem są miejscem. Miasto leży amfiteatralnie, w padole, do którego w różnych zjeżdża się zakrętach, otoczone skalistemi górami, porosłemi całkiem świerkami i jodłami ciemnemi. Jest to park piękny, w każdym kierunku wdzięczne przedstawiający widoki.

W każdym domu, wszędzie na ulicach wzorowa panuje czystość. Uprzejmość mieszkańców dla gości nic nie pozostawia do życzenia.

Przerzyna Karlsbad rzeczka Tepla — Ciepła — bo wrzącemi są jéj wody. Z brzegów, przemienionych w opokę, wytryskują wązką, prądem wyżłobioną szczelinką, drobne, bystre, nieprzeliczone strumyczki, wpadające i zaraz znowu w objęcie matki swojéj Tepli. Zatrzymywałam się niekiedy dłuższą chwilę, by przypatrzeć się temu obrazowi ożywionemu twórczéj natury.

Ziemia na stóp kilkanaście od Tepli bywa gorącą, rozpaloną niemal.

Wieczorem — zwłaszcza, gdy księżyc w śrebrzyste wszystko ujął światło — lubiłam przystawać na moście, łączącym: Die alte i Die neue Wiese — i patrzeć się w zadumce na piękne, nocne panorama: na Drei Kreutz-Berg — one trzy Boże-męki dużych rozmiarów, rysujące się wyraziście uroczysto-mistycznie; na Hirschsprung — na wierzchołku którego także krzyż sterczy i szeroko na gwiazdzistém niebie czarne rozwiera ramiona — jak gdyby wierzących w swoim uścisku chciał przytulić. Na skałach czarne świerki, rzędy domków białawych, a poniżéj tu i owdzie znowu krzyże — bo lud czeski bardzo jest pobożnym — zapełniają panorama. Ponad wszystkiém zaś najpiękniejsze niebo, przeczyste, jasne miliardami światów — a u stóp kipiąca Tepla chwyta niby w łono swoje cały ten urok: błękit, księżyc i gwiazdy.

Blisko Wiese, wśród drzew zarośla, jest w skale maleńka kapliczka, w niéj obraz Matki Boskiéj: Maria hilf! — Zrana lubiłam tam zachodzić, bo tam tak spokojnie, błogo i dobrze, zacisznie, ustronno — i mało kto tędy przechodzi, chyba wieśniaczka jaka która przyklęka i paciorek zmawia — albo też przechodzień, który na dalszą wybrał się wycieczkę!

Sprudel! Cudowny Sprudel! Cóżbym ja o nim

jeszcze powiedzieć miała? — Zdumiona, stałam tutaj długo i patrzyłam z podziwem na szumiący wytrysk ukropu, rozpryskujący się w szerokich promieniach, prześlicznych, brylantowych kropelek! Wkoło basynu ładne dziewczęta w zielonych spencerkach podają warem napełnione kubki.

Tutaj zwykle gość każdy najpierwéj zawita, by ciekawości swojéj zadość uczynić. Patrzy — głową kręci z podziwu — chwyta kubek napełniony, by co rychléj tego cudu natury skosztować — do ust niesie od razu — i parzy się!

Sprudel ma zagorzałych wielbicieli, którzy jemu odzyskanie zdrowia zawdzięczają: pozbycia się cierpień — więc i nic dziwnego! — Spotkałam tam panią Cz., która na każdą wzmiankę o dobroczynném tém źródle w entuzyazm wpadała. — Bo też przywieźli ją zreumatyzowaną, że i ruszać się nie mogła, zchorowaną na wątrobę, zbolałą, złamaną — a odzyskała zdrowie, siły, pozbyła się cierpień — i znowu pięknym światem bożym cieszyć się mogła.

Wszystkie też skały, zwłaszcza idąc do Posthof i Freundschaftssaal, noszą dziękczynne dla błogosławionych źródeł napisy w licznych, przeróżnych językach. Odczytywaliśmy je niekiedy przez godziny całe, a zabrali z sobą jeden z polskich, który tu zamieszczam:

Polaku! za cóż pijesz wody wrzące,
Co je wulkanu moc czyni gorące? —
Wszak twe podobne łzy do tego ścieku!
Pij więc łzy własne, dar smutnego wieku,
A w głębi skał tych kuj grobowiec sobie —
Nie masz Ojczyzny, cóż po życiu tobie?!

Hirschsprung, góra wznosząca się niemal prostopadle, cała świerkami porosła — na któréj rysują się amfiteatralnie domki białe o czerwonych i ciemnych dachach. Podanie opiewa, że tutaj Karól IV polując r. 1358 postrzelił jelenia. Ten rzucił się z góry, psów sfora pogoniła za nim; jeden z nich wpadł w źródło kipiące, ukryte w zaroślu — i ugotował się od razu. Cesarz dobiegł i źródło odkrył.

Gdym do sił przyszła, weszliśmy tam dnia jednego w kółku znajomych. Przechadzka nie była bardzo męczącą, a widok z góry prześliczny: na uśmiechnięty, wesoły, umajony zielenią Karlsbad, na piękną okolicę, wioski, łąki i pola, tu i owdzie wystrzeloną wieżyczkę — a daléj znowu góry.

Kazaliśmy sobie dać kawy, mleka i cały stos wybornych Oblaten, jakich nigdzie niema.

Opodal grały i śpiewały trzy arfiarki. Słuchałam ich piosenki: była to pochwała gór i lasów ojczystych z zakończeniem zpamiętanem zwrotki każdéj:

„Dies schöne Land,
Mein Steyerland,
Ist mein geliebtes Heimathsland.“

Wyrazy te i dźwięki targnęły mi w duszę......— Zdawało się, że dziewczęta czuły, co śpiewały — gdy w tém nagle inna zadźwiękła nuta — skoczna, rażąca niemal — i zaśpiewały:

„Dein Herz ist mein Herz,
Und ist mir auch geblieben,
Ich werde Dich schon kriegen!
Nur langsam! Nur langsam!“

Żałowałam, żem przy ostatnich tonach pierwszéj nie odbiegła piosnki, bo ta druga rozwiała cały urok tamtéj. Towarzystwo moje pośmiało się szczerze z onéj pięknéj poezyi.

Daléj w górach jest pomnik — kolumna — wystawiony przez wdzięcznych Karlsbadu mieszkańców hr. Findlater, który przyczynił się wiele do upiększenia miasta.

Posthof, ładne miejsce z ogrodem, najwięcéj przez gości kąpielowych bywa odwiedzaném. Drożyna doń wiedzie prześliczna wśród skał, drzew niebotycznych, krzewin rozłożystych — ponad bystrym strumykiem, poza którym pociąga gościniec pocztowy do Marienbadu.

Daléj za Posthofem jest drugie miejsce podobne, der Freundschaftssaal — również ładne.

Przy drodze do Posthofu jest źródło: der Sauerbrunn. Do kwaśnéj jego wody dodany cukier nader przyjemny czyni napój. Wiele téż osób przychodzi tu z cukrem — i raczy się tą jakoby limoniadą.

Opowiadano mi, że mieszkańcy Karlsbadu, posługujący gościom z niezmordowaną skrzętnością przez całe lato, w zimie nagradzają sobie wszystkie trudy i bawią się doskonale: Klatschkaffe's i Tanzvergnügen gonią jedne za drugiemi.

Sprudel jest dla nich świętością: ogniem Westy czyli Znicza, którego strzegą, jak ongi pogańskie kapłanki ofiarnego płomienia. A gdy przed laty kilkudziesięciu — w skutek groźnego wybuchu Wezuwiusza — Sprudel przez dni kilkanaście wytryskiwać zaprzestał, sądzono, że duch-niszczyciel skrzydła swoje ponad Warami Karolowemi rozpostarł: wszystko w głęboki pogrążyło się smutek — trwoga całe przejęła miasto — kościoły stały otwarte i zapełniała je na kolanach leżąca ludność.

Przez zimę bawi w Karlsbadzie zawsze po kilku i więcéj Anglików, używających sprudlowéj kuracyi. Spleenicy pewnie! — Bo Karlsbad musi w czasie téj pory dla gości być smutnym bardzo. Mnieby tłoczyły te sterczące wkoło — jakby w kotle — w ciasnéj przestrzeni śniegiem pokryte góry.

Dawniéj — niegdyś — może przed stu latami — używający kuracyi wypijali po 30—40 kubków spru-

dlowego waru, leżąc przy tém w łóżku! Ludzie dzisiejszego pokolenia zabiliby się leczeniem takiem od razu.

W księgarni widziałam obraz pani Bathyani, wdowy po nieszczęśliwym rozstrzeleńcu! Trzyma w objęciu małego synka. — Wracałam do tego obrazu po razy kilka — a zawsze rozraniał mi duszę.

Towarzystwo w Karlsbadzie znaleźliśmy nader przyjemne — a na pierwszym planie obrazu stawiam piękną postać poety naszego, jenerała Franciszka Morawskiego. Przygarnął nas uprzejmie do siebie. Widywaliśmy się po razy pare na dzień — i wdzięczne a niezatarte w pamięci mojéj zajął miejsce.

Ileż to zdań poczciwych, rozumnych, szlachechetnych z ust jego słyszałam! Ile dowcipnych, nieokreślonego humoru opowiadań! — Augusta polubił bardzo — i zawsze z nim miał coś do mówienia, do dowcipkowania. Przychodził do nas często. Spotykaliśmy się na Wiese i razem odbywaliśmy przechadzki.

Mąż mój zawsze zabierał dla mnie ciepłą okrywkę, deszczochron i kalosze w torebkę — bo deszcze padywały często, a niekiedy zupełnie niespodziewanie. Ztąd jenerał nazywał go wzorowym małżonkiem, dbałym troskliwie o zdrowie moje.

Na pamiątkę dni tych mile spędzonych pospołu,

twórca tylu pięknych poetycznych puścizn, napisał mi śliczną bajeczkę:

Dzwonek.

Śmiali się z pana Jakuba sąsiedzi,
Że jego synek zawsze jak mruk siedzi.
By się więc trochę rozruszył Szymonek,
Ojciec dał mu dzwonek.
Chłopiec, gdy zabawkę zoczy,
Ledwo z skóry nie wyskoczy.
Dzwonić i dzwonić zaczyna.
Cieszy się tatko nagłą zmianą syna.
Lecz gdy ciągle z dzwonkiem w dłoni
Lata i wciąż głośniej dzwoni,
Ojciec się kwasi i krzywi,
Wreszcie tak się zniecierpliwi,
Że wydarłszy serce z dzwonka,
Wypycha za drzwi Szymonka.
Tak króle prawa dają i znów łamią,
Dają ów dzwonek a dzwonienia bronią,
Cóż się więc dzieje, gdy króle tak kłamią?
Ludy na gwałt dzwonią!

Na pamiątkę Karlsbadu.

Fr. M.

Czytałam mu Nocnice Antoniego Sowy, drukowane następnie w Wiązance. Słuchał z uwagą — przytakiwał głową — a potém wyrzekł:

— Wdzięczne to wprawdzie, ale i grzeszy przyjętą na dziś ogólną niemal manierą.

— Jakto, panie jenerale? zapytałam.

— Żalem i skargą w jakiéjś mistycznéj obsłonie, co już przeszło w manierę, więc i przejadło się. Niechajby nam młodzi nasi wieszczowie raczéj dali myśl jędrną, rzeźwą, z siłą otuchy, wiary i nadziei. Jasność i pogodę duszy, a nie te wymanierowane lamenta i mistycyzmy żałosne. Przyznaj pani sama, że w tę manierę — bo innego użyć nie mogę wyrazu — popadają dziś wszyscy.

Niepodobna mi było zaprzeczyć.

— Ale...... — zagadałam w obronie mojego poety — Antoni Sowa cierpiał rzeczywiście, cierpi..... cierpi za siebie i za drugich, a dziś jest skazańcem w Ołonecku.

— Ha! — kiwnął głową, podjął kartki zapisane przez Edwarda Żeligowskiego, przeczytał je uważnie — i westchnął, a potém dodał:

— Nie mówię o nim, bo biedak czyni wyjątek, lecz o ogóle poetyzującym. Zatém nie skargi zawodzić, lecz rzeską zabrzmieć pieśnią; nie żalić się, ale słowem i czynem pracować na glebie ojczystego piśmiennictwa i siać ziarno wiary i otuchę, by zwątlone wskrzepić siły.

— Oj, panie, daj nam pieśń taką! — złożyłam dłonie.

— Jużem za stary — odrzekł — kończę siódmy krzyżyk: stary na duchu i na ciele. Z całéj mojéj dawnéj poezyi została mi tylko miłość wierszowania, ale rozumiem i czuję, czego dzisiejszemu pokoleniu potrzeba, bo widzę i słyszę, a mam serce.

Och, miał serce, a zaprawdę szlachetne i prawe!

Za powrotem naszym do Siekierek napisał August list długi do niego, a ja dołączyłam moją Wawrzynę. Czém chata bogata, tém rada. Odpowiedział zaraz uprzejmie bardzo — i przytoczę tu ustęp z jego listu:

„Z wdzięcznością, za pośrednictwem Pańskiem, odebrałem dziełko, przesłane mi przez zacną Jego małżonkę. Chciałem zaraz zasiąść do przeczytania Wawrzyny, ale synowa moja mi ją porwała, utrzymując, że do niewieściego utworu ona ma pierwsze prawo. Zajrzałem przecie do kart pierwszych i miło mi było znaleść wierny obraz obrzędów i czytać piosenki, których się nasłuchałem w dzieciństwie, kiedy młode panny ze wsi przychodziły stroić się do ślubu pod okiem jéjmości, a całe wesele na drugi dzień przyszło pohulać w sali jadalnéj, gdzie i obojga państwo i ich dziatki i sługi do upadłego tańczyli. — Woskowane posadzki i barwiste kobierce wygnały z domów szlacheckich te patryarchalne zwyczaje, ale dla tego miło będzie polskim sercom znaleść ich opis niezmyślony w Wawrzynie, za co serdecznie dziękujemy.

„Co się tyczy przemian świata, o których Pan wspominasz, istotnie są dziwne i wielce dziwne. Palmerston kozła przewraca. Prezydenty się wciskają: po jednookim, królik zupełnie ślepy na tron wstępuje. . . . . Łatwiéj coś obalić, jak uorganizować nowe. Dowodem tego Francya teraz, gdzie i konstytucya i prawa organiczne idą jak z kamienia. Prawda, że trudno budować, gdy ziemia się trzęsie, ależ przecie przez dwa miesiące można było coś więcéj zrobić nad wymazanie napisów wolności; jak pościnanie wolności drzew. Nie tak ś. p. stryjaszek działał. — Dobry był bardzo artykuł w Debatach, dowodzący prezydentowi, że położenie jego stryja zupełnie było odmienne od jego położenia, i że nierozumnie byłoby chcieć go naśladować. Tamten nic nie zastał i musiał wszystko stworzyć; ten zastał wszelkie instytucye — i konserwować, utrzymać, doskonalić, wypełniać powinien jedynie.

„Ale na co nam rozumować o świecie, mamy swoją biedę . . . . i Putkammera! Czyż nie dosyć na tém?— Literatura nawet nasza coś ucichać zaczyna, zwłaszcza poezya, którą tak świetnie żyliśmy przez lat kilkanaście wśród zamarłego w materyalizmie świata. Też same łzy płyną zawsze, ten sam wiatr niedoli owiewa nas ciągle, a poezya ucicha! Wielcy nasi wieszcze oniemieli — smutna to oznaka i wróżba! — W najpotrzebniejszym więc może czasie ukaże się Wiązanka

bo nie da ostatnim zgasnąć iskierkom i wzmoże znowu zobojętniałych.

„Tém bardziéj żal mi, i serdecznie żal, że w téj chwili do Wiązanki większéj objętości przyczynić się nie mogę. Wszystko mi zrabowano, z mojéj teki a lichotki starego gęślarza na śmiechby tylko zasłużyły przy tylu młodych i gienialnych utworach. Trzeba umieć samego siebie osądzić, a pewno na wstyd się nie wystawim. Siedmdziesiąty rok kończę, święty mówić mi paciorek a nie wiersze pisać. — Łatwo mógłby mi kto przytoczyć ów wiersz Naruszewicza:

„Kozom tobie nie rymom zaplatać ogony!“

Gdybym przecie coś lepszego nabazgrał, bez powtórnéj odezwy sambym przesłać pospieszył, przez wdzięczność za pamięć o mnie. Pański patron z wszystkich władz umysłowych najbardziéj pamięć podziwiał, a więc i ja najbardziéj ją cenię, zwłaszcza gdy zacne dusze przypomnieć mnie sobie raczą. . . . . .

„Przepraszam za długość listu, a bardziéj jeszcze za bazgraninę: bito mnie w szkole po palcach, ale nic nie pomogło, natura zwyciężyła, bazgrzę jak kura.

. . . .

Fr. Morawski.

Lubonia, 15 stycznia 1852.“

Po śmierci męża mojego napisał mi szanowny sędziwy przyjaciel:

„. . . . Przeszedłszy dawniéj przez taką samą stratę, jaką Pani teraz opłakujesz, całém sercem i duszą pojmuję i dzielę Jéj boleść, a tém bardziéj dzielę, że zaznawszy Was obojga w Karlsbadzie, widziałem ile w Waszym węźle było dusznéj spójności, rzewności w przywiązaniu i nieudanego szczęścia. Długo, długo jeszcze boleść ta rozdzierać będzie Jéj serce. Czas i religia złagodzą Jéj pierwszą żałość, ale nie ostudzą jéj w duszy. Cierpiący tak sprawiedliwie do grobu podobne czucie zanosi, i tak nakoniec ta boleść drogą nam się stanie, że ją jak skarb jaki pokochamy i za nicbyśmy go pozbyć się nie chcieli. W każdéj naszéj myśli odzywać się będzie, w każdém marzeniu, czuciu, trosce i niedoli do pamięci wróci, jako gość przyjazny, pocieszający i wszystko dzielący z nami. Takie były dzieje mojéj boleści — takie i Jéj serca będą.

. . . .

Fr. Morawski.

Lubonia, 29 marca 1852.“

Przestawaliśmy najwięcéj w gronie sędziwych państwa Jełowickich ze Lwowa i wnuczki ich panny Maryi Czackiéj; pani z Wąsowiczów Czarneckiéj i córki jéj pani Maryi Bożydar Podhorodeńskiéj — znanych nam

z Warszawy; jenerała Morawskiego, jak to powiedziałam wyżéj. A wymienię jeszcze z przyjemném wspomnieniem: państwa Mysłowskich z Podola i matkę ich, dziwnie przyjemną osobę, panią Martynę z Grabianków Czarnecką; pana Pieniążka z córką, Franciszków Niemojowskich, hrabiego Rusockiego; p. p. Mittelstaedtów Janów z Poznańskiego — Gólczów, księgarza Bobrowicza z Lipska, p. Buchowskiego z Warszawy, jenerałową Dłuską — i t. d.

Odbywaliśmy w pomniejszych gronach wycieczki różne. A wieczory spędzaliśmy najczęściéj u państwa Jełowickich — przy fortepianie i śpiewie.

Z onego życia karlsbadzkiego pozostały mi w pamięci dwie śmieszności. — Jeden z dygnitarzy z Kongresówki — Polak — zgorszony, że do źródeł cisną się wszyscy pospołu, a raczéj ordynkiem, bez względu na urodzenie i r a n g ę: że szara spodnica wieśniaczki wyprzedza z kubkiem swoim hrabinę lub księżną, a rzemieślnik panicza — jenerała — ministra, — robił projekt, ażeby pacyenci na klasy podzieleni zostali, a każda klasa w pewnéj godzinie przystęp miała do źródła, przez co uniknęłoby się p l e b s u.

— Chryste Panie! zawołał na to hrabia Russocki.— Panie łaskawy! Słońce świeci dla wszystkich zarówno i dla wszystkich dzieci swoich dał Bóg wszechmocny to źródło błogosławione. Nie mów, panie, więcéj tego bo gdyby Karlsbadczykowie posłyszeli, to pewnieby

nas ztąd wyprosili: toćże myśl podobna, rzucona pomiędzy ludność, mogłaby rewolucyą wywołać!

Dygnitarz zaciął zęby i umilkł.

Drugą śmieszność spowodował pan * * z Galicyi. Nadęty, pyszny, spoglądał z góry na wszystkich.

— Któż jest ten Wilkoński? Co to za Wilkoński? zapytywał o męża mojego. — Wydrukował jakieś ramoty. . . . Czyż to dobry szlachcic?

— Odrowąż Wilkoński! Arcydawna to szlachta — odrzekł jenerał Morawski.

— Co? Co? I on za pieniądze drukuje to co napisze?

— A tak.

— To nie na szlachcica! Nie na Odrowęża! O tempora! złożył dłonie i westchnął. — Wynaturzenie się! Brać pieniądze za druki!

— Pan Dobrodziéj bierzesz także pieniądze za pszenicę, za żyto, wełnę. . . . .

— To i co? wyprostował się pan * * i spojrzał dumnie. — Ależ drukować za pieniądze!

— Ha, mości dobrodzieju! uśmiechnął się jenerał miłym, figlarnym uśmiechem — i ja także piszę i za pieniądze drukuję.

— Pan jenerał!! . . . . — przeraził się pan * * i poczerwieniał. — Pan jenerał?!

— Tak, tak, mości dobrodzieju, drukuję książki i sprzedaję.

Pan * * umilkł zgryziony wyraźnie mniemaném poniżeniem godności szlacheckiéj! Odtąd jednakże był nader grzecznym dla Augusta i mimo to, że ramoty za pieniądze drukował.

Mówiąc o panu * * przypomniałam sobie powinowatego mi: człowieka młodego z wyższém wykształceniem, który odbył kampanią węgierską, bił się doskonale, a odznaczył się szczególniej pod Kapolną; następnie zostawał przez lat kilka na wychodztwie! Ten, po przeczytaniu Ostatniego z Siekierzyńskich wyrzekł z oburzeniem: „Jakże téż Kraszewski mógł taką powieść napisać! Bo co do mnie, to wolałbym żebrać, aniżeli kupczyć!“ — Dziś, chwała Bogu i rozsądkowi ludzkiemu, przesądy te wsteczne zacierają się coraz więcej — i są ośmieszone. To nam odrodzenie rokuje.

Przypadło 28 lipca wielkie, rozgłoszone od dawna zaćmienie słońca. Więc w dniu tym udaliśmy się w nader liczném towarzystwie do ogrodu przy strzelnicy, wyżej położonego od miasta.

Zaćmienie, spowodowane zajściem księżyca na tarcz słoneczną, było takiém, że pozostał się tylko wązki brzeżek słońca, jakby księżyc na nowiu. Gwiazdy wszystkie stały się widome, chłód zapanował, niemal

zimno — że wszyscy ciepłe zarzuciliśmy okrywki. Ale przy tém atmosfera dziwnie była ciężką i duszącą. Kwiaty roznosiły woń mocną. Ptastwo ulatywało spłoszone niby z gałęzi na gałąź, niekiedy pisk trwożny wydając. Psy kładły się na ziemię i skowyczały. Trwało to podobno blisko dwóch godzin. Potém znowu zrobiło się jasno — gorąco — aż niby wesoło — jakby po przebytéj trwodze. I myśmy także przy podwieczorku arcy-skromnym, wesoło dnia resztę spędzili.

W Karlsbadzie można niemal wszelkie spotykać narodowości: od Meksyku do Rzymu, od Chin do Lisbony! — To téż widzieliśmy tam Turków, Amerykanów, Szwedów, Bułgarów, Anglików, Włochów i t. d. i t. d.— i Rosyan wiele ze sfer arystokracyi petersburgskiéj i moskiewskiéj — jenerałów, dygnitarzy, dyplomatów.

Jeden ze Szwedów lubił zbliżać się do Polaków— niby pobratymstwa szukając. Znał dość dobrze dzieje nasze — i gorąco wyrażał się o sprawie polskiéj. Niemców nie lubił — Moskali nienawidził. Mówił po francuzku i po niemiecku. Musiał być majętnym, bo trzymał sobie ekwipaż, do którego często Augusta zapraszał.

Wielkie moje zajęcie obudzała pani Delfina Potocka z Paryża przybyła. Wysoka, szczupłéj budowy, pochylała się nieco, jakby z unużenia, co jednakże bez gracyi nie było. Zachowała słodycz spojrzenia pięknych oczów szafirowych. W wyrazie twarzy regularnego ry-

sunku, cierpień przebytych, zaryły się ślady. — Mimowoli powtórzyły mi się w myśli ustępy z Przedświtu.

Między wielu innymi gośćmi z Paryża, był także i jenerał Kazimierz Skarzyński. Okazywał jeszcze jak pięknym był za młodu, — a pozostał starannym o powierzchowność swoją. Wybrany w mazurze przez jednę z panien na reunion'ie — puścił się grzecznie ale i zaraz zakończył, bo nogi były już za słabe. — Mówiłam mu o rodzinie jego, którą znałam w Kongresówce — i słuchał mnie z zajęciem. Gdym Warszawę wspomniała — ruszył ramionami i westchnął. — Daléj był w Karlsbadzie i pan Saçy, jeden z redaktorów Journal des debats — a zostawał, jak się zdawało, w bliższych stosunkach przyjaźni z jenerałem.

Raz na Wiese przedstawił się nam redaktor jednego z pism liberalnych niemieckich. Wszczęła się rozmowa o wypadkach lat ostatnich . . . — o obecnym stanie rzeczy . . . — o przyszłości . . . — i redaktor ów wyrzekł twierdzenie, które mi żywo pozostało w pamięci: że przyszłość ludu niemieckiego spoczywa w ręku podoficerów — mianowicie téż pruskich — którzy nie dopuściliby już nigdy, ażeby wojsko znowu na lud strzelać miało, jak w marcu r. 1848.

Bywały od lat kilkudziesięciu już podobno, dwie siostry w Karlsbadzie, baronówny von Kotz z Pragi

— znane wszystkim, którzy Karolowe-Wary odwiedzali. Panny te miały wtedy już najmniéj sześćdziesiątki latek po za sobą. Należały do najpierwszéj arystokracyi. Odwiedzali je nawet i ukoronowani goście Karlsbadu. Urody zapewne nie posiadały i w dniach wiosny: były niskie, nasiadłe, a twarze ich pospolite— lecz zdobił je wyraz dobroduszny, szczery, swobodny i pełen pogody. Toaleta ich elegancyą i smakiem poszczycić się nie mogła: nosiły suknie jakieś czerwonawe, wełniane, czasem bareżowe, wązkie i krótkie; chustki w pasy albo w kraty, poślednie zupełnie; trzewiki grube na dużych nogach, widomych z pod opiętej sukni; rękawiczki niezgrabne, nieświeże — niekiedy i bawełniane, ale nie nowe; kapelusze słomkowe na tulowych czepkach z grubawą ślarką — a na większą galę czarne niby-koronkowe, zaszarzone już, z pąsowym kwiatem. Resztki bułek niedojedzonych przy kawie— i w obec gości książęcych przy swoim stoliku, zabierały w torebki. Po francuzku mówiły dość płynnie, ale, oczywiście z niemieckim akcentem. Dla mnie — wyznaję — były sympatyczne wcale. Miałam sposobność zagadania do nich na W i e s e, z czego widocznie były rade, wielką dla Polaków okazując sympatyą. Były rozumne i dowcipne, a zapewne i poczciwe. Lubiły bardzo czytywać romanse. Znały wszystkie, które Aleksander Bronikowski na tle historyi polskiéj napisał — i nie mogły zapomnieć onych bohatyrów - Po-

laków. Cieszyły się wszystkiém co posłyszały — i lubiły nowinki. Znały doskonałe genealogie wszystkich dynastyj monarchicznych — i wszystkich rodzin von hohem Adel w Niemczech. Lecz brały to naturalnie zupełnie. — W lat parę póżniéj umarły podobno, jedna w krótce po drugiéj. Mówiono, że majątek miały znaczny — ale zawsze żyły oszczędnie. — Były to postacie typowe w Karlsbadzie.

Jenerałowie i dygnitarze dyplomacyi rosyjskiéj wyższą w Karlsbadzie tworzyli sferę — i dworowało im wszystko. Książęta i hrabiowie niemieccy stali na pierwszym planie tego towarzyskiego obrazku. Lecz zbliżały się do nich i niektóre osoby z towarzystwa polskiego. Głośnie ładną francuzczyzną mówili i włoskimi rzucali frazesami. — Przykro było patrzeć, gdy Polacy i Polki dążyli w te kółka arystokratyczne, niemieckie i moskiewskie — które ich, widocznie, z przymuszoną tylko przyjmowały grzecznością.

Księżna Esterhazy w Posthof'ie, pod gołem niebem wielką dawała kawę. Zebrał się świat cały arystokratyczny — mundury złote haftowane — i szale wartujące po kilka tysięcy talarów. Z polskiego towarzystwa nikt nie był: sądzono, że nikogo nie zaprosiła. W tych gronach odznaczała się dystynkcyą i pięknością

księżna Roohan-Roran, z domu hrabianka Wallenstein z Dux.

Zaraz nazajutrz po przybyciu naszém do Karlsbadu wzięłam się do przeglądu listy gości kąpielowych — a spotkawszy napis: „Heinrich Laube, Hoftheater-Director aus Wien" — uradowana tém niemal, zawołałam Augusta i pokazałam mu to nazwisko.

— To chyba inny Laube — wymówił — bo zkądżeż on byłby dyrektorem nadwornego teatru we Wiedniu?

— Ale przecie Heinrich Laube!

— Ha! zapytamy jutro doktora Gans.

Henryka Laube znaliśmy z pism jego, sympatycznie, gorąco mówiących o sprawie polskiéj. Należał ongi do Junges Deutschland i stał obok Börne'go i Heine'go — gdy pierwszy wydał: Menzel, der Franzosenfresser, prawdziwe arcydzieło satyry i zabójczéj ironii, — a drugi: Der Denunziant, rzecz pożyczanego dowcipu, wymierzona także przeciwko Wolfgangowi Menzel.

Laube, jako gorący liberalista, niepoślednią zajaśniał zdolnością. August umiał na pamięć ustępy z jego ślicznéj książki: Polen — którą nadto w różnych polskich napotykaliśmy domach. Wiedzieliśmy,

że był wydawcą pisma czasowego, że zawsze w kierunku wolnomyślnym pracował, za co nawet dwa lata był więziony — podobno w Szpandawie. Uważaliśmy go zawsze jako szczerze liberalnego, jako gorącego przyjaciela Polski i sprawy naszéj i stawialiśmy nazwisko jego obok: Hundt von Radowsky — Harro-Haring — Platen - Angermünde — Spazier — Horlossohn — Mosen — Theodor Mundt i t. d.

Niemcy spotykani w Warszawie nieraz mówili nam o nim. Zatém całą naszę posiadał sympatyą. — Skoro więc tylko przyszedł nazajutrz doktor, zapytaliśmy skwapliwie o Henryka Laube: czyli to jest ten sam, któregośmy jako autora znali.

Doktor ruszył ramionami i odrzekł:

— Jest — i nie jest. Jest nim ciałem, ale nie duszą i duchem. Więc nie odpowie w niczem oczekiwaniu pańskiemu.

I opowiedział nam: „Henryk Laube mieszkał w Lipsku przed r. 1848, ceniony jako wielce zdolny literat i człowiek czystych zasad liberalnych. Bywał każdego lata w Karlsbadzie i znanym był wszystkim z tendencyi swoich. Siedział w więzieniu, był prześladowanym — i tém więcéj cenionym. Gdy więc nadszedł rok 1848, obrano go jednozgodnie i jednomyślnie z powiatu Eger jako deputowanego do zgromadzenia narodowego we Frankfurcie. Przyjął wybór. Miał ar-

cypiękną mowę o wszechwładztwie ludu, jego wolnéj woli, sprawiedliwych wymaganiach i przynależnych mu swobodach. Przyjęto każde słowo jego z niesłychanym aplauzem, postawiono go na stole — i obsypano oklaskami. Wyjechał pobłogosławiony...... Stanął w Frankfurcie i...... od razu zasiadł na skrajnéj prawéj, jako najgorliwszy monarchizmu obrońca.“

— O!! zawołaliśmy unisono z Augustem.

— A co więcéj — mówił daléj doktor — wydał w tym samym czasie książkę: Ueber das Königthum, w któréj rząd monarchiczny, bodaj nie despotyczny — stawia jako najwyższe dla ludzkości dobro. Zjednało mu to, oczywiście, łaski wielkie...... i pokrótce został dyrektorem nadwornego teatru we Wiedniu. Bywa jak dawniéj każdego roku w Karlsbadzie, ale wszyscy go unikają: stał się on tutaj prawdziwie Parya'sem towarzyskim. Chodzi sam jeden zawsze od źródła do źródła. Sam jeden na Wiese siada przy osobnym stoliku, by kawę wypić swoją. Sam jeden odbywa przechadzki. I nigdy nikt w czyjemkolwiekbądź nie zobaczy go towarzystwie. Jestem lekarzem jego......... i powiem mu — dodał z uśmiechem — żeście państwo zapytywali o niego.

— Gdzieżby go zobaczyć można? odezwałam się skromnie a z toru zbita.

— Z rana przy Mühlbrunn'ie, przy Sprudlu, a po objedzie na Wiese.

— Jakżeż on wygląda?

— Niski, szczupły, twarzy dość brzydkiej, z zadartym nieco nosem, cery żółtéj, oliwkowéj. Nosi czarny aksamitny rajtfrak i popielaty kapelusz.

— Nie mam żadnéj ochoty poznać go — wymówił August.

— Ale ja go zobaczyć muszę — dodałam.

August poszedł następnie do księgarni miejscowéj. Zapytał o Henryka Laube. A wiele mu tam niezalecających go nagadali rzeczy.

Już nazajutrz widzieliśmy go przy Sprudlu: dokładny dał nam doktor rysopis. Laube powierzchowność miał nieprzyjemną i zawsze sam chodził.

W dni kilka późniéj przybył do Karlsbadu znajomy nasz, pan E. Z. — Opowiadał, że ma zamiar starać się o katedrę historyi w Krakowie.

— Bawi tutaj minister Münch-Billinghausen — dodał — łatwiéj może w miejscu kąpielowém będzie zbliżyć się do niego i interes przedstawić.

— Ach, wiesz! zawołał zaraz August, tak skory awsze i chętny do usłużenia każdemu — jest tu Henryk Laube. Jako dyrektor teatru nadwornego musi niezawodnie mieć przystęp do ministra. Już nie chciałem go poznać, bo w sposób fatalny zmienił barwę...... Ale tém lepiéj jest podobno widzianym. Uczynię to dla ciebie, że zrzucę pychę z serca: poznam go i z nim o tobie pomówię.

Pan E. Z. chętnie zgodził się na to.

Po obiedzie wyszliśmy na Wiese w towarzystwie pana N., — Podolanina, znającego dobrze język niemiecki.

Zaledwo pod piękne weszliśmy kasztany, gdy oto na osobnéj ławeczce siedzi pan Heinrich Laube — a przed nim na stoliku próżne już naczynia od kawy.

August szybki zawsze w działaniu i rzutki, od razu ze mną przystąpił do niego.

Laube porwał się, pomięszany nieco.

August wymienił nazwisko swoje i mnie przedstawił.

Laube twarz ponurą ujrzejmym rozjaśnił — raczéj skrzywił uśmiechem i wyrzekł: że mu doktor Gans już mówił o nas.

Pragnęliśmy pana poznać — zagadał August.

W téj chwili szybko przystąpił jenerał Morawski, ujął Augusta pod rękę z wesołym śmiechem i opowiadając coś tam żartobliwego, pociągnął go z sobą, jak to zwykle bywało. Pozostałam się więc sama z autorem Essex'a, bo pan N. usiadł był przy stoliku opodal — w oczekiwaniu, co daléj nastąpi, jak to sam wyznał.

Laube podał mi krzesło. Obejrzałam się za Augustem, którego jenerał coraz uprowadzał daléj. Usiadłam — i Laube także. Położenie moje stało się nie-

co dziwnem — lecz potrzeba było nie tracić fantazyi. Dokończyłam zatém frazesu Augusta: żeśmy pragnęli poznać twórcę pięknéj książki, Polen, podziękować mu za jego współczucie dla nieszczęść naszych: za cześć, oddaną ukochanéj ojczyźnie naszéj,...... i jéj ofiarnikom.

Zmięszał się. Oliwkowe lica chwilowo ciemniejsza powlokła barwa — dygał się niby to — lecz wyrazy moje widocznie nie do smaku mu były.

— Prześliczne a tak wielce sympatyczne Polen pana we wielu polskich znajduje się rodzinach. Pan należysz, z pomiędzy obcych pisarzy, u nas do najpopularniejszych: mówię o Warszawie i Królestwie Kongresowem — dodałam umyślnie, bo jako Poznanianka powinnabym przecie była wiedzieć o jego sprawach we Frankfurcie, skoro nas, jako autor, interesował tyle. — Pan tak głęboko pojąłeś ból srogi przemocą zgnębionego, wolnego narodu, krzywdy do Boga wołające i nadzieje święte!

— Nadzieje..... pani..... — począł się jąkać — nadzieje...... Mein Gott! Es hat sich seitdem so Vieles geändert......

— Wie so? O jakichże to pan zmianach mówisz? zagadałam coraz śmieléj, uważając pomięszanie jego. Może to było i złośliwie — alem zmieniła naturę swą w téj chwili.

— Denn...... die Polen — zaczął — sollten

sich in die Wege der Vorsehung fügen und ihre Hoffnungen aufgeben......

— O! zawołałam, unosząc się — Polak zmazałby i Dantowski nad piekłem napis: Lasciate ogni speranza! — Denn der Pole hofft auch in der Hölle noch!

— Gnädigste Frau, to są marzenia, których naród, dążący do prawdziwéj oświaty, pozbyć się winien.

— Marzenia?! powtórzyłam -- raczéj myśl i przekonanie z polską duszą zrosłe: a wszakże prawdziwa oświata żąda swobody ducha i dąży do wolności ogółu. Przecież sam król Fryderyk Wilhelm IVty wyrzekł: Freie Fürsten, freie Võlker.

Laube niby westchnął — i wymówił:

— Das ist Poesie, aber nicht Realität.

— Tak tylko reakcya twierdzi — uśmiechnęłam się — a do téj pan nie należysz, i wsteczny frazes powtarzając, myślisz inaczéj!

Poruszył się niespokojnie na ławce.

— My pana przecie znamy, czcimy, bo kochasz wolną wolę ludów i sercem ciepłem i umysłem szlachetnym sprawę nieszczęśliwego narodu polskiego objąłeś......

— Ja, mein Gott! — westchnął znowu a potém zapytał: którą część Polski zamieszkujemy? — widocznie do innego chciał przejść przedmiotu.

— Rodziliśmy się w Poznańskiem — odrzekłam — mieszkaliśmy w Warszawie, Namiestnik Paszkiewicz w skutek denuncyacyi kazał nam Królestwo Kongresowe w przeciągu dwudziestu-czterech godzin opuścić. Powróciliśmy zatém w Poznańskie, a mamy zamiar osiedlić się w Krakowie.

— So!...

Rozmowa urwała się znowu.

— Mit Erlaubniss, a gdzież państwo tutaj mieszkacie? zapytał po chwili.

— Im Monde, naprzeciw katolickiego kościoła.

— Znam ten dom. I jeżeli państwo pozwolicie, to złożę moje uszanowanie.

— Bardzo proszę. A przepraszam za oddalenie się mojego męża, którégo jeden ze znajomych znać w nagłym interesie odwołał.

Powstałam, oglądając się za Augustem, któremu jenerał w pewném od nas oddaleniu ciągle coś prawił.

Laube stał przedemną — i niby nie wiedział, co począć. Ukłoniłam się. Zdarł z głowy kapelusz i pokłonił się głęboko. Odeszłam. Pan N. podał mi rękę i poprowadził do męża.

— Miałem zabawę prawdziwą — mówił mi — przysłuchując się rozmowie i patrząc na twarz tego pana Laube, który pomięszania swojego utaić nie potrafił.

— A co tam? zwrócił się August — już nadchodzisz, a właśnie chciałem przysiąść się do was.

Powtórzyłam całą powyższą rozmowę.

— Laube będzie u nas — dodałam — więc rozmówisz się z nim.

— Już go i niema pod kasztanem — zauważył pan N.

— Nie licz pani na jego wizytę — uśmiechnął się jenerał — nie przyjdzie on do was i raczéj sobie z Karlsbadu drapnie: pani przypomniałaś mu jego Jugendsünden, które radby pogrzebał, bo drażnią nieprzyjemnie pamięć pana Hoftheater-Director'a. Chodźmy ot lepiéj do Posthofu.

I zaprawdę, że szanowny jenerał przewidział dobrze — bo jużeśmy nie ujrzeli Laube'go: zniknął od razu jak kamfora bez pieprzu. Raziło go zapewne, żeśmy jego Polen uwielbiali — i znali pisma jego, należące do Junges Deutschland; raziło go, że nam Paszkiewicz z Warszawy i z Kongresówki wyjechać kazał; lękał się, byśmy go nie skompromitowali, gdy zamieszkamy w Krakowie — i usunąć się wolał.

Pan N. umyślnie razy pare rychło bardzo szukał. go u źródeł, lecz nie spotkał nigdzie, aż nareszcie powiedział nam doktor, że Laube przedwcześnie z Karlsbadu wyjechał.

Późniéj — tegoż samego roku — napotkałam w Kladeradatsch'u jakiś o nim skandal, za-

kończony wyrazami: „O Heinrich Laube, mir graut vor Dir!“

Szkoda wielkiéj zdolności, że ją zbrukał! Szkoda tego, co cechę niegdyś młodych Niemiec nosiło! — Minęło! — zniknęło!

„Die Freiheit lebt nur in dem Reich der Träume,
Und Alles Schöne lebt nur im Gesang.“

Właśnie przeczytałam w odcinku Gazety Narodowéj rozbiór dramatu „Fałszywy Demetryusz — rozpoczęty po mistrzowsku przez Szyllera, a dokończony przez Laube'go. Szanowny recenzent odmawia téj dorόbce wszelkiéj artystycznéj wartości: strona historyczna grzeszy nieświadomością zupełną i fałszem a Polacy — wyraża się — są tam wystawieni jako banda opryszków. — Tłómacz chciał publiczność polską z tym oswoić utworem — ale jakżeż go dyrekcya teatru lwowskiego mogła na scenie polskiéj przedstawić?! Cóż zwłaszcza niższe sfery pomyślały, widząc dawnych Polaków, wystawionych jako bandę opryszków?! — Zaiste, zbyt wiele honoru dla Laube'go — a gorżkiego dla polskiéj społeczności uczucia!

Dnia jednego wbiegł do nas pan K. i oznajmił przybycie jenerała Abramowicza do Karlsbadu.

— Chodzi właśnie po Wiese — dodał — po cywilnemu: w granatowym surducie i czarnym kape-

luszu, w którym mu przy bielutkim wąsie do twarzy bardzo.

Gdyśmy po obiedzie wyszli, spotkaliśmy go pod kasztanami. Przystąpił i powitał nas ponad wszelki wyraz uprzejmie i grzecznie: znikła na ten czas dzika bystrość wejrzenia i zwykły mu wyraz przenikliwego szyderstwa.

— Niemasz złego, coby na dobre nie wyszło — zwrócił się ku mnie z ukłonem — czyliż państwu dzisiaj nie lepiéj tutaj, na wolném powietrzu?

— Ależ tutaj nie Polska — odrzekłam. — Tęsknię za Warszawą. A bolesno pomyśleć, że tylko po za Polską wolném powietrzem odetchnąć można.

Spuścił głowę w milczeniu i za biały wąs targnął.

Spotykaliśmy go codziennie niemal. Zawsze nas powitał. A gdy do mnie zagadał, zwykle kapelusza uchylał, co aż mnie mięszało.

Razu jednego, gdyśmy w gronie kilku osób szli do Posthofu, dobiegł nas. Zbliżył się do Augusta i zagadał przyciszonym głosem:

— Warszawa wielkiego pozbyła się łotra. Czy pan słyszałeś?

— Nic nie wiem.

— Umarł naczelnik szpiegów. . . . . A na jego miejsce książe zamianuje pewnie Rzewuskiego — zaśmiał się sarkastycznie.

Nie nastąpiło to jednakże!

Do wspomnień o zacnym jenerale Morawskim przytoczę tu jedno, które w kole znajomych jego serdecznie przyjętém zostało.

Brat jednego z dygnitarzy rządowych, człowiek dumny, zarozumiały, pychą nadęty — opowiadał w gronie kilkunastu osób, gdzie był i jenerał:

— Cesarz nic nie zrobi bez naradzenia się z bratem moim, i każdą myśl swoją jemu powierzy, pomysł każdy z nim przedyskutuje. Brat zaś we wszystkiém odnosi się do mnie — naprężył pan wielki pierś szeroką — z każdym planem i projektem do mnie pospieszy. . . .

— A! zagadał jenerał do najbliższego sobie — wiadomo, że lokaje często, wywierają wpływ nieograniczony na panów swoich, bo nie uznają o tyle ich wielkość jak inni śmiertelnicy: il n'y a pas de grand homme devant son valet de chambre. Ale, ażeby bracia lokajów stawali się panami sytuacyi o tém nie słyszałem nigdy!

W piśmie czasowém Erinnerungen, wychodzącém w Pradze, znalazłam niejedno co nas obchodziło. Były tam życiorysy Kossuth'a, Goergey'a, Dembińskiego Bema i t. d. — Anegdotki historyczne i miscelanie ciekawe, opowiadania z wojny węgierskiéj i t. d. — Między innemi przeczytałam w jednym z zeszytów

z roku 1849 jak Cyganka przepowiedziała Bemowi: że umrze za trzy lata — i rzecz dziwna, bo przepowiednia ziściła się następnie.

Pom iędzy anegdotkami było i o odwiedzinach Adama Mickiewicza u Goethe'go.

„Der berühmte polnische Dichter“ — opowiada sprawozdawca — odwiedził sędziwego księcia poetów w Wejmarze w r. 1829. Przy pożegnaniu zażądał od Goethe'go upominku — a ten pochwycił pióro, nakreślił słów kilka i podał mu je: to jest pióro, którego się dotknął, a nie nakreślone wyrazy............ „Man schweigt beim lesen dieser Anegdote“ — mówi autor artykułu — „erstaund über die Grösse des Selbstgefühls, mit welcher Goethe seinen Werth erkannte. — Aber lächerlich war es, wenn der Dichter dem Dichter ein Werkzeug schenktę, dessen Geringfügigkeit beide wohl kennen mussten.“— Arcy-słuszna to uwaga! tem ważniejsza, że ją Niemiec wypowiedział.

Przypominam sobie, żem powyższą anegdotę już gdzieś dawniej czytała, ale z pewną korzystniejszą odmianą, bo tam Goethe'mu te wyrazy włożono w usta: „Bierz to pióro moje! dostanie się ono w godniejszą rękę, bo niem wszechwładnie władasz, moja zaś już skończyła się twórczość:

Zabawił nas wierszyk:

„In England verehrt man den Grog,
In Bayern den Bock,
In Russland den Stock.“

Opowiadano nam, że przy onéj wielkiéj uroczystości ku czci jedności Niemiec: „Das kölner Dombaufest“ pare niefortunnych zaszło pomyłek. I tak: tablica, zapuszczona w fundament, ma napis łaciński — a położono zamiast czwartego września, w którym uroczystość miała miejsce: tertio idus septembris, co znaczy dziesiątego września. Potém wyryto na tablicy spiżowéj, na kilka dni wprzódy, imiona królów: hanowerskiego i wyrtembergskiego — przypuszczając niezawodnie, że na obchód przybędą, a tymczasem ni jeden ni drugi nie dopisał: zatém we fundamencie onéj jedności jest kłam. — Na domiar zaś niewłaściwości położył i jakiś jenerał rosyjski nazwisko swoje pod protokółem — orzekującym obchód — który obok tablicy wmurowanym został.

Po sześcio - tygodniowéj kuracyi pożegnaliśmy Karlsbald i miłych znajomych: „Do widzenia! Do zobaczenia!“ — i wyrazy te skłamały znowu.

Dla poznania i innych okolic obróciliśmy drogę naszą na Zwickau i Lipsk, lecz niemal byłabym żałowała tego, gdyby nie myśl odwiedzenia grobowca księcia Józefa. Fabryki wielkie, oczywiście, podnoszą dobrobyt kraju, dają pracę i zarobek, podnoszą kulturę a zarazem i oświatę ludu — ale...... ale — wybacz mi ceniony słusznie przemyśle i wszechpotężny materyalizmie! — zacierają urok świata i przyrody. Przez mil kilkadziesiąt, aż do Lipska, oddychaliśmy powietrzem zadymionėm — a kopeć pochłaniał wszystko: poczerniały, zawiędły, niszczały drzewa i trawy — przestwór cały kopciowa powlekła barwa. — Przed domami wszędzie siedziały pracowite wieśniaczki i zręcznie robiły koronki — tak zwane czeskie i saskie — połykając to zakopcone powietrze.

W całéj podróży, od Karlsbadu aż do Lipska, niemal jeden tylko przecudny, malowny oko orzeźwił widok: zamku altenburgskiego. Zaprawdę, że piękny — piękny a dawny zabytek. A z widokiem jego łączyły się zaraz i historyczne wspomnienia Prinzenraub'u. Rozpacz księżny Turyngskiéj, gdy jéj Kunz von Kaufungen synków z objęcia wydzierał — dnia 9 lipca 1455 — Ernesta i Albrechta, od których wywiązały się następnie dwa szczepy saskie.

Biedna matka! Lecz ileż to matek polskich jest

również biednych...... — a ile sto-kroć nieszczęśliwszych!

Nie jedna matka płacze
U szubienicy stóp,
A gad koło niej skacze
I czarny bije ptak!

Lipsk i pomnik księcia Józefa.

Nazajutrz z rana zaraz poszliśmy do ogrodu Reichl'a — by zwiedzić grobowiec i miejsce śmierci bohatyra naszego.

W maleńkim domku, tuż przy wejściu, znajdowały się na pułkach różne pamiątki po księciu Józefie. Na ścianie był zawieszony portret jego i kilka obrazów. Za szkłem umieszczono czerep konia, na którym w nurtach Elstery utonął. Przy wszystkiem były napisy. Dalej autografy — listy — i wielka księga — w której zapisywali się wszyscy, zwiedzający te miejsca. Znaleźliśmy tam wiele ciekawych i nader zajmujących pamiątek. Zapiski w przeróżnych językach — sympatye i cześć dla polskiego bohatyra — współczucie dla Polski — wspomnienia i poezye. — Zain-

teresowała nas śliczna poezya niemiecka: An die Gräfin Aniela Mielżyńska — którą poeta widział we łzach, klęczącą przy grobowcu. — Duszę jego ten zachwycił obraz, że i wieszcze zaimprowizował zwrotki. — Nie mogę sobie wybaczyć, żem tych wierszy nie wypisała — że z téj księgi parę przynajmniéj nie wyniosłam wspomnień. A gdzież ona obraca się teraz? — Cóż stało się z temi drogiemi dla nas pamiątkami?

Ogród dość duży był piękny i utrzymywany starannie. Stare drzewa niebotyczne, rozłożyste, trawniki i kwiaty powabem i świeżością nęciły.

Na środku niemal stał duży grobowiec z piaskowca — rodzaj sarkofogu — na podniesieniu trzech stopni z napisem:

Wojsko polskie swojemu wodzowi.

Przyklękliśmy. Łzy polały mi się z oczów bez skrzywienia jednego muszkułu — bo wprost ze serca płynęły. A mam je i w téj chwili, gdy to piszę, na źrenicy. Wyciska je żal duszy po têm, co było, gdy Polska miała jeszcze uznanie wśród obcego ogółu — gdy potępiano wyrządzone jej krzywdy — gdy czczono jéj bohatyrów — a szanowano boleść i żałobę narodu. Gdy Johannes Müller wyrzekł, że rozszarpaniem Polski: „wollte Gott die Moralität der Grassen zeigen“,— a Rotteck w historyi swojéj powiedział: „Der Fall Po-

lens verkündet mit Donnerstimme der civilisirten Welt den völligen Umsturz des Gleichgewichts, die siegende Herrschaft der Gewalt und sonach den Fall alles öffentlichen Rechts.“ Dziś jest inaczéj — o wiele inaczéj! Dziś w obec Polski nieszczęśliwéj i Polaków — niby Paryasów wszechspołeczności — stawa cynizm bezczelny i urąga wszystkiemu, co dawniéj nazywano rycerskiém i szlachetném. — Ale będzie jeszcze inaczéj! Opatrzność ponad wszystkiem swoje rozpościera skrzydła! Wszystko na ziemi jest czasowém jedynie. — Ufajmy!

Klęczeliśmy długo. Nadchodzili goście zwiedzający pomnik — mówili po angielsku. Powstaliśmy — i w milczeniu poszliśmy daléj, w głąb ogrodu, ponad Elsterę.

Wąska to rzeczka. Od strony ogrodu brzeg jéj jest niski — przeciwległy wyższy. Stał tam — a pewnie stoi jeszcze — drugi pomnik, postawiony przez jenerała Rożnieckiego: czworobok — odznaczony na tle gęstego klombu świerkowego — z napisem:

Towarzyszowi broni.

Opodal, obrazkowo stoi domek z chińskim, wyginanym daszkiem — gdzie fotograf jakiś swoje obrał siedlisko.

Usiadłam na wybrzeżu — patrzyłam się w spo-

kojniuteńkie dziś nurty Elstery — słuchałam przycichego jéj szumu — jak gdybym jaki poszept wieszczy posłyszeć miała.

August wsparł się o drzewo i dumał także. Potém przystąpił — podał mi rękę z dziwnie posępnym, rzewnym wyrazem — i w milczeniu zawróciliśmy do ogrodu.

Bliżéj domku spotkaliśmy pare osób znajomych z Kongresówki — z Warszawy. Powitanie było serdeczne — do czego i miejsce usposobiło — a zawarło się w wyrazach wieszcza:

Witam cię — bądź zdrowy!

Zapisaliśmy się oboje w księdze — i pod smutném nader wrażeniem miejsce pamiątek naszych pożegnali.

Przeszliśmy się po mieście, wstąpili do księgarni Bobrowicza — gdzie August kupił piękny poemat Stanisława Koźmiana: Ostatni — i Dzień dzisiejszy Zygmunta Krasińskiego.

Stanąwszy w hotelu, otworzyłam pierwszą książkę na chybi trafii i przeczytałam głośno:

O Panie! o Panie!
Gdyś męczennicy Twéj dał panowanie,
Niech na tej ziemi — po raz pierwszy ona
Niepokonalne na ziemi — pokona!

Czego nie mogły żadne świata pany:
Szlachta — ni króle — ni lud — ni mieszczany —
Przemienne tylko — a równe — Tyrany,
Skoro tryumfu im błysły mamidła; —
Niech ponad czasu w dół rwące otchłanie
Wyżéj niż pokus i pych wszystkich sidła,
Wyżéj niż ślepe fal losu igranie
Utrzyma w górze anielskie Twe skrzydła!
Daj jéj na wieki wszechmiłości siłę!
A jak zdeptała ciemność i mogiłę,
Zwycięży żyjąc — nietrwanie żywota!
Nie — nie rozsypie się jak z krwi i błota
Bryły państw wszystkich — bo w niéj będzie cnota
I mądrość Twoja — a toć są okręgi
Arcy-zwycięsta i arcy-potęgi.
Niech u narodów wszystkich się nazywa,
Więc nieśmiertelna i władna i żywa! —
Niech lśnią Jéj czołu sławiańskie korony,
Niech w Niéj Twój Chrystus będzie uwielbiony,
Przez czyn na ziemi — przez Królestwo Boże!......

A August, trzymając „Dzień dzisiejszy“ w ręku, z siłą wygłosił:

Głos w górze:

— Już wszystko spełnione —
Za mną, idź za mną — nowonarodzone
Ty Grobu dziecię! w jednę idziem stronę.

C h ó r.

Coraz wyżéj — wyżéj w górze,
Jak w dwóch głosów zgodnym wtórze
Jeszcze nuta brżmi pieśniana!

G ł o s y g d z i e ś c i:

Będzie Polska w imię Pana!

C h ó r.

Jak kopiące dźwięki rosy
Tają — mdleją — nikną głosy —
Pieśń już ledwo dosłyszana.

G ł o s y g d z i e ś c i:

Będzie Polska w imię Pana!

Po obiedzie wyszliśmy znowu, by jeszcze przypatrzeć się miastu. Lipsk ma fizyonomią *gemüthlich*, tak jak i Drezno. Ruch wtedy był mały — ale jakoś niby wesoły.

Odwiedziliśmy posąg dra Hannemanna — twórcy homeopatyi: stoi na krańcu miasta, plecami doń obrócony. — Miał to być człowiek nadzwyczaj poczciwego serca z poświęceniem dla cierpiącéj ludzkości.

Jedna z wież Lipska, dziś już rozsypana, nosiła ongi napis:

„Durch Zwietracht wird das Grosse klein,
Durch Eintracht gross das Kleine."

Wielka w tych wyrazach a prawdziwa nauka — dla tegom je sobie zanotowała.

Śmierć Augusta.

Śmierć Augusta, spowodowana zapaleniem płuc i nerwową febrą — a podobno, że i z przyczyny zmartwienia — nastąpiła czwartego lutego, w pierwszą rocznicę śmierci ukochanego brata Klemensa......— August w chorobie swojéj, w majaczeniu gorączkowém, ciągle z nim rozmawiał — ciągle go wołał. — W majaczeniu przepowiedział śmierć krewnego — litując się nad żoną jego i dziećmi — która téż i po niedługim nastąpiła czasie. — Potém miewał mowy, jakby na sejmie — piękne zaprawdę i pełne uniesień. — A w krótkich chwilach oprzytomnienia — mimo ciężkiej choroby — powracał dowcip i żartobliwość wrodzona...... Były to przejścia rozdzierające serce. — Skończył, spełniwszy wszelkie powinności chrześciani-

na-katolika. Spowiadał go ksiądz Łobodzki — skazany w roku 1848 na śmierć w Berlinie. A gdy mu wyrok czytano, trząsnął tylko głową, mrugnął oczami, jak to w jego było zwyczaju — i tabaki zażył. Był to Polak z sercem gorącém — który dla Polski byłby oddał wszystko; prawy człowiek i kapłan zacny. Lubili i poważali go wszyscy. August go pokochał — więc téż jego przyzwano......

Pamiętam na zawsze — gdy doktor wszedł do pokoju, gdziem wycieńczona na łóżku leżała — przystąpił do mnie — ponury — z głową pochyloną — ujął rękę moją i wyrzekł: „Skończył!“ — poczułam jak gdyby mi część oderwała się serca — zabolała gwałtownie próżnia — i upadłam z jękiem...... — Doktor uścisnął mi ręce, mówiąc: „Nie widziałem jeszcze takiej boleści!“

Myślałam, że umrę — myśleli to wszyscy, — ale Pan Bóg żyć kazał! — Tęsknota przybijała mnie straszliwa — ponad wyraz wszelki! — Byłam wdową — sierotą!......

Chodziłam jak cień — a raczéj chodzić nie mogłam z powodu gwałtownych uderzeń serca, które tamowały mi oddech. Czasem po razy pare na dzień konwulsyjnym wybuchałam krzykiem — który, fizycznemu ulżył ciężarowi, gdy w płacz się zamieniał.

Odbierałam mnóstwo listów od przyjaciół i zna-

jomych — a pomiędzy temi i od pana Henryka Łubieńskiego z Kurska — za co i tutaj jeszcze serdeczną składam mu dziękę. Otóż i pare z tego listu ustępów, jako cennéj dla mnie pamiątki:

„Kursk, 16 marca 1852.
n. s.

„Łaskawa moja Pani!

„Czyli ten list mój dojdzie kiedy Jéj rąk, nie wiem, bo tylko złowieszcze pisma przedzierają się przez odległe krainy. Pisząc atoli te kilka wyrazów, oddaję Pani hołd należny poważania, jakie dla Niéj zachowałem, i pamięć Jéj męża, z którym niejednę smutną dzieliłem chwilę. Przez Orzeł (Orel), przez ana Lubowidzkiego doszła mnie wiadomość o stracie, jaką przyjaciele i literatura krajowa poniosła. Pani mi stanęłaś na myśli, pierwszym zamiarem było wziąść pióro w rękę, aby Jéj boleść podzielić. Lecz nie miałem prawa wdzierać się w pierwszych tych chwilach, poświęconych tak głębokim uczuciom z odezwą obojętnego, którego może i pamięć już zatartą została. Nie miałem jednakże racyi: zapomina się uciech światowych, razem przeziewanych, ale nie chwil smutku wspólnie spędzonych.

„Lubo więc nie wiem, gdzie Panią znajdą te moje smętne wyrazy pociechy wśród zmarzłéj kre-

ślone strefy; ośmielam się dla ulgi sercu memu szukać za pośrednictwem córki mojéj, sposobu przypomnienia Jéj wygnańca, który niedługo za Jéj mężem pociągnie i jeżeli tam żyje się jeszcze wspomnieniami, w przedsionku wieczności czekać będzie na lube tu jeszcze pozostałe osoby, które walczyć jeszcze muszą o spokój z przeciwnościami smutnego życia.

„W tych dniach doszły mnie przez księgarza z Kijowa dwa tomy „Poranków i Wieczorów,“ a przeczytane w gronie tu się znajdujących rodaków, poszły daléj na wschód orzeźwiać inne, zatęsknione za obrazami i szkicami kraju serca. — Teraz, gdy nasz Hippolit, jak Pani może jeszcze niewiadomo, księgarnią ma w Kijowie, łatwiéj nas będą krajowe dochodzić wydania i rzeźwiéj czas znosić się będzie. A nikt tam nie uwierzy, jakie to uczucie wzbudza, gdy co nowego z literatury naszéj tu się pojawi, aż do kalen darza. Nawet skaczą i cieszą się wygnańcy.

Pan Lubowidzki mieszka w Orle o 150 wiorst odemnie. Nie takby to jeszcze daleko było, gdyby dojeżdżać do siebie było wolno, ale korespondencyą mamy nieprzerwaną. Spodziewa się na wiosnę żony. — Jam szczęśliwszy od niego: miałem tu odwiedziny siostry Sobańskiéj, tudzież panny Adeli z córką moją, która tu kilka miesięcy zabawiła. Prócz tego towa

rzyszy mi nieodstępnie syn mój, ks. Konstanty *), który mi jest teraz ojcem duchownym i wielką dla wielu pociechą.

„Jak ze skały wodę, tak mnie Opatrzność z nieszczęścia mojego dla wielu otwiera źródło łask i błogosławieństw swoich......“

Poczciwy, zacny Bartoszewicz, nieoceniony przyjaciel, jakżeż serdeczno-żałosnemi były jego wyrazy — Wojcicki, Muczkowski....... i tylu innych.

Odezwania się przyjazne i pełne szczerego współczucia balsamem niby stały się chwilowym — ale potém nastąpiło i ściśnienie serca. Byłam wątła, słaba — jak gdyby chwilowa tylko jeszcze na ziemi mieszkanka. — Gdy wieczór zawitał, uciekałam zwykle do ciemnego pokoju — albo, niespostrzeżona od nikogo, w głąb ogrodu — w gęste szpalery, przywołując Augusta......... A nigdy, przenigdy, nawet i rozgorączkowana, chorobliwa fantazya najlżejszego, złudnego nie stworzyła mi widzenia!

Bóg żyć kazał. Ciężar żywota był więcéj aniżeli bolesnym — ale potrzeba żyć było! Więc dźwigając ducha, jak mogłam — stósując się religijnie do

*) Późniejszy biskup augustowski, zmarły na wygnaniu.

woli Bożéj — wzięłam się do pracy umysłowéj, która dla mnie jakoby moralne miała być opium. Kazałam sobie przysłać dykcyonarz angielski, gramatykę i rozgłośny podówczas romans Uncle Tom's cabin — który od razu tłómaczyłam na język polski. Nużyłam umysł — pracowałam nim — a potem padałam wysilona na leżankę — serce się cisnęło — i krzykliwym wybuchnęłam płaczem.

Gdy piękna nastała pora, wychodziłam przez ogród w pole — na łąkę — biegłam i biegłam daleko — a strudzona, znużona wracałam......... Ale po cóż ja to piszę?!

Tymczasem ogłoszono tłómaczenie Chatki wuja Toma we Lwowie — więc ja zawiesiłam swoje. Tłómaczenie było niedostateczne jednakże, bo wypuszczono cały, długi ustęp Elizy u Kwakrów. Następnie wzięłam się do tłomaczenia Ellen Middleton: najlepszy to podobno romans Lady Fullerton, i przekład mój wyszedł u Nathansona w Warszawie.

Radzono mi zewsząd, bym raczéj oryginalne pisała powieści. Rzuciłam się zatém do téj umysłowéj rozrywki i stworzyłam pare małych powiastek, które jednakże zbyt łzawe były. Uznałam to sama — i zamknęłam je w biórku. Późniéj dopiero napisałam powieść „Różni ludzie,“ drukowaną w „Dzienniku Warszawskim,“ którego redaktorem był Julian Barto-

szewicz. Opracowałam ją starannie bardzo, a fatalnie wydrukowali: posełali odcinek w korekcie do cenzury, a co ta wymazała, pozostało oczywiście niedopełnionėm. Zmartwiłam się bardzo, czytając wydrukowaną już powieść i widząc, jak pokaleczoną została. W Poznaniu kazałam niedostatki dodrukować, lecz do niewielu mogłam je tylko egzemplarzy dołączyć.

KONIEC.

Spis rzeczy.

Strona

Proces Augusta Wilkońskiego 1
Lublin 82
Zamek Krupski 97
Zamość 101
Józefa Majchrowiczówna 162
Powrót do Księstwa 165
Karlsbad. Jenerał Franciszek Morawski. H. Laube 177
Lipsk. Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego 213
Śmierć Augusta 220